

NOC LISTOPADOWA

Nakładem „Biblioteki Nowości“ wyszły następujące prace Edmunda Jezierskiego:

A GDY KOMUNIZM ZAPANUJE — 2 tomy

ANDRZEJ ŻARYCZ — 2 tomy

PAŁĘ MOSKWĘ — 3 tomy

w przygotowaniu:

WYSPA LENINA

DOM NA NOWOLIPKACH

96

EDMUND JEZIEŃSKI

NOC LISTOPADOWA

(PIOTR WYSOCKI)

TOM I.

Ś W I T

PRZYKAZANIE ŁUKASIŃSKIEGO

Powieść w 3-ch tomach.



Wydawca: Stanisław Cukrowski.

BIBLIOTEKA NOWOŚCI w WARSZAWIE

20281
Opłata pocztowa ulszczona ryczałtem.

BIBLIOTEKA NOWOŚCI w WARSZAWIE.

Redakcja i Administracja

ulica Senatorska 29.

Konto w P. K. O. 13.355. Tel. 275-03.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie w broszurze (13 tomów) . 12,50 zł.

Półrocznie „ (26 „) . 24 zł.

Kwartalnie w oprawie (13 „) . 22 zł.

Półrocznie w oprawie (26 „) . 42 zł.

Wydanie wytworne w broszurze:

Kwartalnie (13 tomów) . 25 zł.

Półrocznie (26 „) . 48 zł.

Książka wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 152.

63846/1
klocek

Redaktor i wydawca: Stanisław Cukrowski.

K-84/46/63846

MARSZAŁKOWI
J. PIŁSUDSKIEMU,

spadkobiercy idei Wysockiego,
wskrzesicielowi Polski,
tę skromną pracę składa w hołdzie

Autor.

FJW0295888



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymostku

PRZEDMOWA.

Jedną z najpiękniejszych i najwznioślejszych postaci rewolucji listopadowej jest bezsprzecznie Piotr Wysocki.

Skromny podporucznik grenadierów, pod wpływem męki Łukasiewskiego, patząc na swawole władców moskiewskich, na rosnący ucisk, łamanie konstytucji i tamowanie wolności, podejmuje myśl zbrojnego wystąpienia, by z orężem w ręku wolność tę odzyskać, niepodległość Ojczyźnie przywrócić. Nie polityk, nie dyplomata, całą swą akcję opiera na wojску, któremu główną rolę w zamierzonym czynie przeznacza...

A gdy czyn ten stał się faktem dokonany, gdy powodzenie uwieńczyło zamach nocy listopadowej, on, twórca jej i inicjator, miał sięgnąć po najwyższe stanowiska, do których droga stała przed nim otworem, usuwa się w cień, uważając, że dokonał swego, ustępując placu tym, których opinia narodu na wodzów wskazywała....

Że opinia mylić się potrafi, dowiódł najlepiej cały przebieg wojny polsko-rosyjskiej 1830—1831 roku, lecz Wysocki, przepojony w najwyższym stopniu karnością wojskową, z całym zaparciem siebie posłuszny jest nakazom wybranych przez naród wodzów, głuchym będąc na podszepty malkontentów pragnących pozyskać go dla swoich celów obietnicami wysokich stanowisk...

Jedynem pragnieniem jego jest walczyć z wrogiem, a gdy sprawa zły obrót wzięła, — umrzeć za Ojczyznę....

Szukał tej śmierci na placu boju pod Wola, w czasie ostatniego śmiertelnego boju o wolność, w czasie konania rewolucji pod naciskiem nie tyle przemocy wrogów, ile nieudolności wodzów, wskazanych właśnie przez opinję....

Lecz zły los nie pozwolił mu na to szczęście... Wyższe wyroki przeznaczyły go na męczeństwo, którem jakby okupić miał wszystkie przewiny narodu... Nie oszczędzono mu niczego: długiego więzienia w lochach, tortur, wyroku śmierci przez ćwiartowanie, zesłania na Syberję, katorgi, knutowania, wreszcie powrotu do Ojczyzny, pozostającej w niewoli, w ucisku, by był świadkiem nowego porywu do walki o wolność, porywu, zakończonego tragicznie, aż wreszcie w chwili, gdy ucisk wroga osiągnął szczytu, gdy zdawało się, że dążenia tegoż do zniszczenia Polski i Polaków uwięzione zostaną powodzeniem, zesłał mu śmierć ukoicielkę...

W masie tych wszystkich prześladowań i mąk kryształowa dusza jego nie ugięła się, nie zachwiała ani na chwilę, z godnością i dumą znosił je wszystkie, wysoko dzierżąc sztandar Polaka, wznosząc się na najwyższe szczyty bohaterstwa i męczeństwa...

Przepiękna postać Wysockiego zasługuje na to, ażeby wydobyć ją z zapomnienia i postawić na czele wszystkich działaczy rewolucji 1830 r., dając za wzór obecnym i przyszłym pokoleniom.

W pracy mej korzystałem z następujących źródeł:

Dr. J. St. Harbut. — Noc listopadowa.

Wacław Tokarz. — Wojna polsko-rosyjska 1830 — 1831 r.

Wacław Tokarz. — Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa.

Artur Śliwiński. — Powstanie listopadowe.

Artur Śliwiński. — Joachim Lelewel.

Artur Śliwiński. — Maurycy Mochnacki.

August Sokółowski. — Dzieje Polski, tom IV.

A. K. Puzyrewski. — Wojna polsko-ruska 1830 — 1831 r.

Bronisław Pawłowski. — Dwernicki.

Al. Kraushar. — Życie potoczne Warszawy w czasach listopadowych (1830 — 1831 r.).

Michał Janik. — Dzieje Polaków na Syberji.

Al. Kraushar. — Klub patriotyczny warszawski w czasach powstania listopadowego (1830 — 1831 r.).

Maksimow. — Syberja i ciężkie roboty.

Protokóły posiedzeń rady administracyjnej, wydziału wykonawczego tejże rady i rządu tymczasowego w Warszawie od 30 listopada do 5 grudnia 1830 r., oraz szereg pamiętników współczesnych.

I.

Głuchą ciszę wczesnego jesiennego poranku przerwało nagle donośne warczenie bębna...

Jakby odpowiedzią mu były rozgłośnie to ziewania, to przeciąganie się, to wreszcie i przekleństwa, miotane pod adresem dobosza, bijącego zawzięcie w bęben zwykły werbel poranny.

Wielu nakrywało się cienkimi derami na głowę, jakby chcąc stłumić głos ten niemiły i odwlec w ten sposób przykrą chwilę wstawania, — napróżno jednak...

Bęben warczał zajadle, budząc najbardziej nawet zaspanych, a zresztą — za chwilę wejdzie na salę oficer inspekcyjny, pociągając do kary najbardziej opieszłych...

Zrywali się też czempredzej z twardych łóż swoich młodzi podchorążowie, przeciąganiem się i przez rażliwem ziewaniem odpędzając resztki snu, ubierając się spiesźnie przy migotliwym świetle kaganki olejnego, by następnie wypaść na korytarz, do wielkich umywalni z zimną wodą, i tam umywszy się kończyć ubieranie, by w przepisowym czasie stanąć do modlitwy i śniadania.

Z prychaniem i parsaniem, jak stado młodych żrebców, oblewali się zimną, lodowatą wodą, a obtarłszy się, kładli na się nie zwykle mundury codzienne, a galowe, w jakich tylko na parady na Saskim

Placu, wobec cesarzewicza Konstantego występowali.

Blady świt październikowy zaglądał już przez okna koszar, gdy kończyli ubieranie, kontrolując spieszenie a bacznie jeden drugiego, czy sprzączki w porządku są zaciągnięte, czy guziki świecą się, jak lustro, czy lederwerki natarte są kredą do śnieżnej białości, — ażeby tylko baczne oko inspekcyjnego nie dostrzegło jakiej niedokładności, narażając na karę niechybną.

Skończono wreszcie... Schodzą czwórkami do jadalni, tam krótka modlitwa, śniadanie, złożone z żurku gorącego i chleba czarnego, poczem wszyscy wysypują się na dziedziniec szkolny, ustawiają się w szerebach...

Komenda:

— Broń na ramię!... W lewo patrz!

Wypreżają się, jak struny, podchorążowie, a przed frontem ich przechodzi komendant szkoły, podpułkownik Ołędzki, bacznie, zda się nawskroś przenikającym spojrzeniem mierząc każdego, szukając uchybień...

Przegląd skończony. Pada znów komenda:

— Na prawo zwrot! Czwórkami zachodź, marsz!...

I kolumna szkoły podchorążych, człapiąc w rzadzie błocie, rusza przez park Łazienkowski, przechodząc przez most pod pomnikiem króla Jana III, a potem Agrykolą ku górze, poczem Ujazdowską, Nowym światem ku miastu, ku placowi Krasińskich...

Smutnym wielce i ponurym dziwnie był ten poranek dn. 2 października 1824 r.

Na szarem, ponurem tle nieba przewalały się i kłębiły zwały ciemnych chmur, pędzonych przez wichry, grożących każdej chwili deszczem...

Ulice miasta, jakby czyjemiś niewidzialnymi rękoma, zawieszane były bezgranicznymi, zda się, płach-

tami sino-białych mgieł, zasłaniających wszystko jakby futerałem z waty, w którą dziwnie liczni tego ranka przechodnie pogrążali się jakby z wstrętem i odrazą...

Wszystkimi krętymi, ciasnymi, wąskimi uliczkami miasta ciągnęły dziwnym korowodem rzesze ludzkie, — mężowie i niewiasty, młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, ciągnęły ze wszystkich stron z koszar swoich oddziały wojskowe, a celem ich wędrówki był — położony prawie że w środku miasta, między pałacem Rzeczypospolitej, teatrem Narodowym i kościołem OO. Pijarów — plac Krasińskich...

Gdy oddział szkoły podchorążych wybijał sprężyste tempo, wszedł na ten plac, stały tam już, w potężnym czworoboku oddziały nieomal wszystkich wojsk garnizonu warszawskiego, polskie i rosyjskie.

Stały sprężone, w barwnych swych mundurach, i mimo niesprzyjającej aury, w tak cudnym ordynku, jak na placu Saskim w chwili, gdy miał się zjawić na przegląd największy ich miłośnik, a zarazem i tyran najsroższy — sam wielki książę cesarzewicz, Konstanty Pawłowicz.

Na twarzach oficerów i żołnierzy maluje się powaga i smutek...

Udzielają się one kłębiącym się za nimi tłumom szarej, bezbarwnej publiczności cywilnej, zapelniającej pozostały poza czworobokiem, pusty plac...

Napływały tam liczne strumienie ludzkie zewszestrón, by być widzami dziwnego zaiste misterjum, które się na tym placu dnia tego rozegrać miało...

Misterjum pohańbienia i męki narodowej...

Misterjum tragicznego wielce, w którym trzy pierwsze ofiary na stos męczeński wstępować miały...

Misterjum, w którym dążeniom narodu do wolności, do uzyskania i utrzymania naturalnych praw jego,

pierwszy dotkliwy, acz nie śmiertelny cios zadać mia-
no...

I mimo, że plac olbrzymi tłumy przepełniały, ci-
sza panowała na nim grobowa, cisza taka, jaka tylko
być może na pogrzebie umiłowanych a drogich wszy-
stkich osób...

W szeregach wojsk nawet broń nie szczęknęła, a
oczy wszystkich zwrócone były na stojącą pośrodku
czworoboku grupę wyższych oficerów, oczekujących
na przybycie skazańców...

Naraz ciszę tę przerwało głucho, jakby przez kre-
pę, warczenie bębnow... Jednocześnie z tem dał się sły-
sząć ciężki turkot kół wozu i walenie kopyt końskich
o bruk...

Głowy wszystkich, jak na komendę, zwróciły się w
stronę ulicy Długiej...

A po chwili wyłonił się z niej oddział żandarmów
konnych, w stosowanych kapeluszach, otaczających
wysoki, otwarty furgon, w którym, górując nad
wszystkimi, widoczne były stojące trzy wyniosłe po-
stacie męzkie, w świetnych mundurach oficerów wojsk
polskich, z błyszczącymi orderami na piersiach...

Twarze ich pobladłe, wycieńczone długim pobytem
w więzieniu karmelickim, ze śladami udruków zadanych
badaniami i torturami, pełne powagi, dostojności i
dumy były...

Rozstąpił się zwarty tłum ludu, przepuszczając
żandarmów i ten wóz haniebny... Jak na milczącą ko-
mendę obnażały się głowy wszystkich, kornym ukło-
nem witając przybyłych, cześć i hołd najniższy im od-
dając, jakby nie skazańcami, karze haniebnej podle-
głymi, lecz triumfatorami byli... jakby nie pokonanymi
w tej walce bezkrwawej bojownikami, lecz zwy-
cięzcami byli... jakby nie na furgonie hańby, a na ryd-
wanie triumfalnym jechali...

Trzech ich tylko było — Łukasiński, Dobrogoy-

ski i Dobrzycki... trzech tylko, gdyż dwaj ze współ-
oskarżonych towarzyszy niedoli, Dzwonkowski i Życ,
nie mogąc przetrzymać tortur przy badaniu, obawia-
jąc się w mękach wyznać coś, co szkodę sprawie przy-
nieść by mogło, woleli śmiercią samobójczą skończyć...

Naród jednak i wojsko widzieli w nich siebie, wi-
dzieli dążenia swoje i pragnienia najgorętsze, ginące
pod naciskiem przemocy, widzieli w nich pogrzebanie
marzeń swoich i życzeń najsłabszych...

Z ponurym brzękiem żelaza toczył się wolno po
bruku furgon — rydwan, aż wreszcie przy czworobo-
ku wojsk stanął. Sprężyły się wojska na rzuconą ko-
mendę:

— Bacność! prezentuj broń! — a oczy wszyst-
kich skierowały się na postacie trzech skazańców...

Otoczeni koliskiem żandarmów z obnażonymi sza-
blami, pewnym, śmiałym, żołnierskim krokiem weszli
do środka czworoboku, witani honorami wojskowemi,
które im jeszcze przysługiwały, i na wskazanych miej-
scach stanęli, patrząc wokoło dumnym, spokojnym
wzrokiem, z podniesionymi do góry głowami...

Zamilkło warczenie bębnow i naprzód wystąpił au-
dytor wojskowy w mundurze galowym, i rozwinąw-
szy trzymany w rękę wielki arkusz papieru, monoton-
nym głosem odczytywać zaczął, — jako major Waler-
jan Łukasiński, kapitan Ignacy Dobrogoyski i poru-
cznik Mikołaj Dobrzycki — winni są znowy i należe-
nia do tajnych stowarzyszeń, mających za cel bunt
przeciwko władzy prawowitej, i na mocy wyroku Są-
du Wojskowego skazani są na pozbawienie rang ofi-
cerskich i praw stanu; oraz oprócz tego Łukasiński na
9 lat więzienia, Dobrogoyski i Dobrzycki na 6 lat
więzienia, łaską miłościwie panującego cara króla
zmniejszonych Łukasińskiemu do lat 7, a Dobrogoy-
skiemu i Dobrzyckiemu do lat 4.

Skończył czytanie audytor i cofnął się do grupy

dygnitarzy wojskowych i sądowych, a wtedy, na dany znak, z poza tej grupy wystąpił, jakby kryjący się do tego czasu w cieniu, mężczyzna wysoki, barczysty, w czerni przyodziany, o twarzy pospolitej, ponurej, okrutnej, i spiesznymi krokami podszedł do skazańców, stojących w pewnej odległości jeden od drugiego, a mających po bokach po dwóch żandarmów.

Poznały go tłumy i jakby lęk cichy przebiegł wśród nich...

Był to kat stołeczny...

Rozległo się znów głucho, ponure warczenie bębnow, które nie milkło już ani na chwilę przez cały czas trwania tej straszliwej ceremonii...

Kat zaś podszedł do pierwszego majora Łukasińskiego, jednym brutalnym szarpnięciem zdarł mu naramienniki, zerwał z piersi order i rzucił pod stopy, w błoto placu, a wyciągnawszy z pochwy szpadę jego, złamał mu ją nad głową, poczem szczątki rzucił również pod nogi.

Głuchemu trzaskowi łamanej szpady towarzyszył cichy jęk zebranego tłumu, zdławiony szloch i płacz rozpaczny, którego nikt prawie powstrzymać nie mógł.

Wojsko tylko, trzymane w karbach dyscypliną, stało nieruchome, sprężone, choć po twarzy niejednego z oficerów i żołnierzy, zarówno tych, co pamiętali sławne boje napoleońskie, jak i młodzieży ze szkoły podchorążych i innej, rzęsiście łzy spływały.

Skończył kat z Łukasińskim, podszedł do Dobrogoyskiego i Dobrzyckiego, by nad nimi tę samą straszliwą ceremonię odprawić...

A gdy legły już na ziemi, w błocie placu, zdarte naramienniki i order, połamane szpady, cofnął się kat, a do skazańców podbiegli pachołcy jego, o twarzach ohydnych, zwierzęcych, i zdzierać z nich poczęli świetne mundury oficerskie, nakładając wzamian szare, zgrzebne siermięgi więzienne...

Inni znów, usadziwszy ich wprost na bruku, w błocie, golili im głowy, na znak, że od tej chwili wolnymi ludźmi być przestali...

Skończono wreszcie tę ohydłą, potworną ceremonję, a wtedy wystąpił naprzód kowal więzienny i zakuwać im nogi począł w kajdany na buty, a ważyły one według przepisów aż po 22 funty.

Głucho, jak bicie dzwonów pogrzebowych, rozlegały się uderzenia młotów o żelazo, nie dając się słyszeć przez warczenie bębnow, a tłum słuchał ich z zapartym w piersi oddechem...

Skończono i to wreszcie, a wtedy nadeszła ostatnia męka, ostatnia próba... Siłą wtłoczono nieszczęsnym skazańcom do rąk taczki, napelnione gruzem, i w otoczeniu żandarmów, przy niemilknięcem warczeniu bębnow, poprowadzono ku większemu pohańbieniu przed frontem wojska...

Na straszliwą tę Gólgotę Łukasiński szedł pierwszy, szedł prosto, blady, jak trup, z głową ogoloną, podniesioną hardo do góry, w odzieży zbrodniarza, w ciężkich kajdanach, wrzynających się w ciało... Szedł, z jasnym, promiennym wzrokiem, utkwionym w twarze dowódców i żołnierzy, jakby spojrzeniem tem przekazując im do dalszego wykonania testament najświętszy, testament dalszej a wytrwałej walki o wolność Ojczyzny.

Szedł, pchając przed sobą ciężkie taczki, będące jakby symbolem przyszłego życia jego, a za nim podążali obydwa towarzysze niedoli, płacząc się w kajdanach, obciążających i kaleczących im nogi...

Głucho i żałośnie rozlegało się bezustanne warczenie bębnow, lecz nie mogło ono zagłuszyć rosnących z każdą chwilą jęków i płaczu tłumu.... Z ust nieczyich nie padło ani słowo skargi lub przekleństwa, lecz czuć było, że tłum ten zamiera w bólu i męce serdecznej,

cierpiąc narażeni ze skazańcami, łącząc się z nimi w ich ofierze straszliwej.

Plakało i wojsko, nawet oficerowie rosyjscy, dla których sprawa ta obcą, a nawet ze względu na swój charakter, wrogą była, płakali, ogarnięci rozżaleniem ogólnym...

Skończyła się wreszcie ta pielgrzymka straszliwa. Nieszczęsnych skazańców wsadzono znów do furgonu, który wnet otoczyli zwartem kołem żandarmi, i cały ten orszak z chrzęstem żelaza, turkotem kół i waleńiem kopyt końskich o bruk pomknął ku mostowi na Wiśle, ku szosie lubelskiej, by podążyć prosto do Zamościa, w którego fortecy karę swą męczennicy odbywać mieli...

Umilkło warczenie bębnow, padły słowa komendy: „broń na ramię!” — przełamały się szeregi czworoboku i oddziały wojskowe w milczeniu rozchodzić się w różne strony zaczęły, odmaszerowując do koszar...

A szły krokiem równym, wybijając takt nogami, karne, posłuszne, tak jakby z parady na Saskim placu wracały, lecz na twarzach oficerów i żołnierzy był jakiś dziwny wyraz, w oczach ich jakieś dziwne ognie płonęły, które jego cesarzewiczowską mość, gdyby tam był obecny, i gdyby w duszach i sercach ludzkich czytać potrafił, do poważnego zastanowienia się nad wielu sprawami zmusiły.

Rozchodziły się i tłumy cywilnych, wracając do zajęć swoich, a szli oni w ponurem milczeniu, bez zwykłych rozmów i dyskusji, a każdy w sercu swem unosił jakiś ból i żal serdeczny, jakieś ziarno przyszłego buntu, rzucone widokiem tej straszliwej i ohydnej, a przedewszystkiem niesprawiedliwej egzekucji.

Ofiara, złożona przez trzech męczenników na placu Krasińskich w Warszawie, rozpoczynająca tak niedawno przerwane pasmo mąk i tortur umęczonego na-

rodu, nie mogła pozostać bezpłodną i w niedługim stosunkowo czasie krwawy plon wydać musiała.

II.

Pełna ohydy ta ceremonia egzekucji na placu Krasińskich, dziwne wrażenie wywarła na młodym sierżancie szkoły podchorążych, Piotrze Wysockim.

Stał wraz z innymi w szeregu, sprężony, kurczowo ściskając karabin, płonącym wzrokiem wpatrując się we wszystko, co się przed nim działo, a jednocześnie uciuwał dziwne wrażenie, jakby się w nim coś załamało, jakby przed oczami jego rozdarto zasłonę, skrywającą wiele rzeczy tajemnych dla niego, nieznanych...

Wstręt i obrzydzenie do samego siebie i otaczających, przejmowały go na widok tej dziwnej bierności, z jaką patrzano na przebieg egzekucji, na ten policzek haniebny, wymierzony publicznie narodowi...

Wrzało w nim wszystko, a na usta jego rwał się okrzyk:

— Do broni, bracia!... Nie dopuścimy do tego! na wroga!...

I już, już miał ten zamiar szalony w czyn zamienić, gdy naraz zbudziła się w nim zimna, rozważna refleksja:

— Stój! niebaczny!... co zamierzasz czynić?... porwiesz ze sobą garść tylko, a reszta pierzchnie w trwodze!... I co wtedy?... Zastanów się!...

I z gorączkowymi wypiekami na twarzy, dygocąc cały, trwał, jakby obudzony ze snu straszego, łącząc się bólem swoim z bólem męczenników...

A gdy mimo niego w straszliwym pochodzie prowadzono Łukasieńskiego, zajrzał mu w głąb oczu, mimo męki serdecznej, mądrych, poważnych i spokojnych, i

wyczytał w nich jedno tylko, ale potężne przykazanie: trwać, pracować i czekać chwili odpowiedniej, by wolność narodu zdobyć...

Olśniony tym wzrokiem potężnym, który wprost jakby nakazywał nie zrażać się w dążeniu do tego celu jedynego żadnymi przeciwnościami, nawet podobną do tej straszliwą Golgotą...

I zapadło mu to pełne wyrazu spojrzenie Łukasieńskiego w głębinę duszy i ukrył on je tam, jak Sakrament Najświętszy...

Uspokoił się też, gorączka go ominęła, uczuł dziwną moc jakąś, a gdy po wszystkim wracał ze szkołą zboczem wzgórz łązienkowskich, — wiatr jesienny osuszył mu łzy, a w głowie snuły się dziwne, obce mu do czasu tego myśli...

Jakby zbudzony z długiego snu, w którym trwał od lat dzieciennych, automatycznie spełniał swe czynności, z upragnieniem oczekując chwili, gdy znajdzie się sam, by rozważyć wszystko spokojnie i zastanowić się nad tem, co właściwie czynić należy...

Do czasu tego prowadząc życie beztroskie, od sześciu lat służąc w wojsku polskiem, początkowo jako kadet w pułku grenadierów, następnie zaś przed paru laty przydzielony do szkoły podchorążych, pochłonięty ustawicznymi ćwiczeniami i nauką, paradami na placu Saskim i nadmiernym wysiłkiem, jaki był udziałem całego wojska polskiego, by na srogi gniew cesarzewicza nie zasłużyć, — nie miał nawet czasu na zastanowienie się nad znaczeniem słowa: Ojczyzna...

Teraz dopiero ta potworna egzekucja, ta męka i nędra bezgraniczna trzech ofiar przemocy, bojowników wolności, ta światłość tajemnicza, promieniująca z głębi duszy i serca Łukasieńskiego, — olśniły go, dały mu zrozumienie tego zagadkowego dotychczas słowa...

Ujrzał Ją nie w przepychu i glorii, a w nędzy, po-

niewierce i cierpieniu, i poczuł, że dla tego właśnie miłuje ją gorąco, nadewszystko...

I zrozumiał też, że służba Ojczyźnie to nie tylko posłuszne, bezmyślne wykonywanie rozkazów przełożonych, to nie ślepa uległość władzy... lecz również i walka o dobro i szczęście powszechne, to dążenie do wolności, do zrzucenia jarzma tyranów... to bunt nawet...

Leżąc na twardym tapczanie w sali sypialnej koszar, z zamkniętymi oczyma rozmyślał nad minioną potęgą i chwałą tej Ojczyzny, którą napróżno bohaterские wysiłki Kościuszki, Dąbrowskiego, Poniatowskiego z nad brzegów przepaści ratować chciały, byt niepodległy i dawną potęgę przywrócić.

Po krwawych zmaganiach, zamkniętych, jakby symboliczną, straszliwą rzezią Pragi, którą zwycięzca jakby chciał wyrazić, jakimi przyszłe rządy jego będą, nastąpił krótki błysk nadziei, zbudzonej w sercach narodu przez świetną gwiazdę Napoleona, a potem, po pokonaniu olbrzyma, w wyniku targów mocarzy, zrodziła się znów Polska, okrojona, zmniejszona, słaba...

Odrodzenie to jednak fikcją tylko było, gdyż obcy nad nią dzierżył władzę, obcy w niej rządził, depcąc zuchwale wszelkie dawne jej prawa, dławiąc przemocą wszelkie dążenia do odzyskania wolności i dawnej mocy...

Wszak car poprzysiągł uroczyste na Ewangelię, że konstytucji bacznie przestrzegać będzie, i car na każdym kroku konstytucję tę gwałcił...

Zrozumiałem to było, gdyż ognia z wodą nie pogodzisz, a przecież wolna Polska, z władzą, opartą na konstytucji, przyłączona do despotycznie rządzonej Rosji, wiecznem zarzewiem buntów jej groziła, a to przez budzenie wśród podległych carowi ludów wiecznego pragnienia takich samych wolności... Chcąc więc

utrzymać despotyzm w Rosji, należało zdławić konstytucję i wolność w Polsce.

Inaczej być nie mogło...

Stąd też zamiast mądrego i gorącego patrioty, ks. Adama Czartoryskiego, któryby konstytucji i wolności mężnie bronić umiał, namiestnikiem mianowany został dzielny, lecz pełen służalczej uległości, żołnierz, ks. Zajączek, za którego faktycznie rządy sprawował senator Nowosilcow, kreatura nikczemna, nie cofająca się przed żadną zbrodnią, byle tylko korzyści osobiste osiągnąć, siewca ohydneho, nieznanego do czasu tego na ziemiach polskich szpiegostwa, tego najważniejszego narzędzia despotyzmu, który za złoto kupował całe legiony nikczemników, za judaszowe srebrniki braci swych sprzedających...

I oto wolność sejmów gwałcona, na wolność słowa, wbrew konstytucji, kaganiec nałożony, najlepsi synowie Ojczyzny, jak Łukasziński i inni, za samą myśl o wolności na męki wydani...

Stawał przed oczami Wysockiego długi korowód męczenników, stawały dziecinne postacie Zana, Czczota, Suzina, Platera, jedenastoletniego Więckowskiego, i wielu, wielu innych, za młodzieńczą miłość ojczyzny, za dziecinne porywy i swawole, poddawanych torturom i wywożonych w głąb Rosji, oddawanych w żołdacy, lub też, jak Życ i Dzwonkowski, w śmierci samobójczej szukających ratunku...

A wojsko?

Oddane na pastwę okrutnego despoty, cesarzewicza Konstantego, który, jak twierdził, na wsze strony, kochał je, lecz miłość ta odnosiła się tylko do zewnętrznego wyglądu jego, do błyszczących mundurów, do dziarskiej postawy, wyćwiczenia, — natomiast nienawidził szczerze i gorąco duszy jego, nienawidził za gorące umiłowanie wolności, od wieków w nich wszechpione.

Przywykłego do niewolniczej bierności i uległości żołnierza moskiewskiego, irytowała świadomość własnego ja i poczucie honoru żołnierza polskiego... Śmiało spojrzenie jego, nazywał zuchwalstwem, i wypłenił je z armji za wszelką cenę postanowił...

Znęcał się też nad nimi i torturował bez litości, byle złamać te harde dusze i do uległości zmusić... Starych żołnierzy, weteranów wojen napoleońskich, odkrytych wielu bliznami, na jego rozkaz okładano kijami, zasłużonych podoficerów degradowano, a oficerów sztabowych, zelzonych przez niego brutalnie, po chamsku, posyłano na odwach za najmniejsze uchybienie...

Wybuchy gniewu jego były dzikie, straszne; w porywie jego, młodego podoficera śląskiego, za drobne przekroczenie, pokopał butami i ostrogami, tak, iż ten z ran wkrótce ducha wyzionął...

Matki, które przychodziły błagać o miłosierdzie dla synów, znieważał ostatniemi słowy, przeklinał i kopał nogami...

Wielu też nie mogło znieść takiego traktowania... Jedni, z generałami Chłopickim, Kniaziewiczem, Umińskim, ks. Sułkowskim na czele, uciekali ze służby wojskowej... Inni — w śmierci samobójczej ratunku szukali...

Długi był korowód tych krwawych ofiar despotyzmu carewicza, a byli to wszystko ludzie zdolni, młodzi, niektórzy odznaczeni w bojach napoleońskich, kraj swój i honor gorąco miłujący...

Wielu w przytomności carewicza, na placu Saskim życie sobie odbierało, a nazwiska ich z czcią i bólem przez wszystkich powtarzane były...

Żaden jednak nie podniósł ręki na tyrana, by krzywdę swą pomścić, żaden nie chciał plamić rąk krwią jego, wołać sam sobie śmierć zadać, niż zbrodnią zabójstwa kraj od jarzma uwolnić...

A szkoła podchorążych, której Wysocki był wychowankiem?

Opiekował się nią gorliwie carewicz, trzymając ją w największym rygorze, tuż pod swoim bokiem, śledząc bacznie jej życie...

Chciał ich wychować na posłusznych mu ślepo we wszystkim żołdaków, na nowych janczarów, i w tym celu nie dbał wcale o rozwój ich inteligencji, lecz przeciwnie, celowo dążył do obniżenia ducha i poziomu umysłowego podkomendnych oficerów, uważając, iż jedynie są fizycznymi jednostkami, przeznaczonymi do mechanicznego wykonywania rozkazów...

Lecz tu zawiódł się srodze tępy żołdak i despota moskiewski... To nie byli potomkowie dawnych bojarzynów moskiewskich, wychowani i wyrosli w niewolniczej uległości i uwielbieniu carów... Byli to potomkowie dawnych rodów szlacheckich, przeważnie synowie żołnierzy Kościuszki, Dąbrowskiego, Kniaziewicza, ks. Józefa, którzy z domu i z lat dziecinnych wynieśli najpiękniejsze tradycje i wspomnienia, którzy zamiłowanie do wolności mieli we krwi, a kulturą zachodnią, przewyższali znacznie nawet swego władcę, choć był on potomkiem carów moskiewskich, choć babka, Katarzyna Nierządna, kładła nacisk na wykształcenie jego, przeznaczając go na władcę mającego być podbitem Bizancjum...

I podczas gdy carewicz chciał mieć z nich tylko posłusznych, tępych żołdaków, ślepych wykonawców woli swojej, mogących w obecności jego, podczas parady na Saskim placu, dowodzić pułkiem, brygadą, dywizją, — oni wieczorami, nocami, czytali książki, których wstęp do szkoły surowo był wzbroniony, kształcąc swój umysł, a w długich poszeptach nocnych, ogłędając się bacznie, czy nie są podsłuchiwanymi przez szpiegów, radzili nad sposobami walki z Moskwą, i w głębi młodych serc swoich, nową budowali Polskę...

Gdyż już w domach rodzicielskich, pacholećmi jeszcze będąc, czuli potrzebę odbudowania Ojczyzny orężem, śnili i marzyli o służbie w wojsku polskim...

Całe młode koszarowe ich życie zamykało się od rana wyłącznie w książce, ścisłu karabinu, bezgranicznej miłości Ojczyzny i w tych na twardej żołnierskiej przyczynie snach o oddaniu kiedyś swego młodego życia nieszczęśliwej Ojczyźnie, w snach, które im były może jedynym złotem wezgłowiem.

„Była tam zgoda, braterstwo, wielkie koleżeństwo, poświęcenie bez granic, jedność w celach, wierność zaprzysiężonej sprawie.

Od słowa do szabli tak nagle ręka sięgała, że wiele razy zdarzyło mi się być w Szkole Podchorążych, tyle razy mniemałem, iż ten dzień, którego ją odwiedzałem, będzie ostatnim dniem w Polsce dla Moskwy“ (M. Mochnacki).

Rozmyślał nad tem wszystkim Wysocki, leżąc na swem twardym łożu, i dochodził do przekonania, że władza carewicza stawiała się z każdym dniem większą i bardziej dławiącą... Czuł, że ohydny pierścień przemocy z każdym dniem coraz bardziej się zaciesnia i, co najgorsze, nie widział wprost, przynajmniej na razie, wyzwolenia z niego...

Wróg był silny, silniejszy niż kiedykolwiek, o walce z nim teraz nie mogło być nawet i mowy, gdyż przegrana oznaczałaby jeszcze sroższą, jeszcze okrutniejszą niewolę, z której, kto wie, czy wyjście znaleźć byłoby można...

— Co czynić zatem? — zapytywał się w głębinach duszy i nie znajdował odpowiedzi.

A gdy wił się tak w mękach dusznych, gdy cierpiał pelen zwątpienia, posłyszał naraz jakieś głosy w pobliżu... To rozmawiali koledzy jego... Uniósł głowę i począł nasłuchiwać... Czyjś młody dźwięczny głos mówił:

— Stosujemy się do czasu, do okoliczności, jak mówią. Czemuż nikomu nie wpadnie w głowę, że ten czas i te okoliczności są naszym własnym utworem? Że nie my, jesteśmy dziećmi czasu, ale że przeciwnie, czas z naszej woli rodzi się, że w naszej jest władzy kierować jego kołami?... Czas i charakter czasu stwarza mocna wola...

Wysocki bezwiednie nieomal powtórzył ostatnie zdanie:

— Czas i charakter czasu stwarza mocna wola..., — i uniósł głowę, by zobaczyć, kto wymawia to pełne mądrości zdanie, będące jakby odpowiedzią na dręczące go pytanie...

O kilka tapczanów od niego, otoczony gronem kolegów, siedział podchorąży Cichowski, który dnia tego korzystał z prawa wyjścia do miasta, i przy migotliwym świetle świecy, czytał głośno jakieś pismo.

A gdy skończył, Wysocki zawezwał go cichym głosem:

— Sewer!

— Co takiego? — spytał czytający.

— Chodź-no na chwilę...

A gdy Cichowski zbliżył się zdziwiony, spytał go szeptem:

— Coś ty czytał?

— Artykuł p. Mochnackiego, młodego a bardzo zdolnego człowieka, p. t. „Czas teraźniejszy“. Porusza on w nim bardzo doniosłe zagadnienia...

Milczał czas pewien Wysocki, jakby porządkując rozproszone myśli, poczem po chwili spytał:

— A co słyszać w mieście?

— Przygnębienie i smutek... Wszyscy jeszcze nie mogą otrząsnąć się z wrażenia, wywołanego egzekucją... Nazywają ją chęcią specjalną pogwałcenia narodu... Mówią też, że rząd przystąpi do energicznego tępienia wszystkich tajnych stowarzyszeń, ażeby wy-

plenić je do cna... Podobno Roźniecki i Lubowidzki puszczają nowe sfory szpiegów... Obawiają się nowych aresztowań... W całym mieście panuje straszne oburzenie, lecz wszyscy boją się wystąpić... Żle jest i ko-
niec...

Chwilę panowało milczenie, poczem Cichowski, przysiadłszy na tapczanie Wysockiego, szeptem, ogłędając się wkoło, mówić zaczął:

— Słuchaj, Wysocki... Kuzynka moja dostała z Peterburka tomik wierszy tego młodego poety, p. Adama Mickiewicza, który tam został zesłany z Kowna... Wierszy jego nie wolno przywozić do Królestwa... Odpisała mi jeden... mówię ci, precudny... Krzepi on ducha i dodaje mocy... Masz, przeczytaj go... Trzeba będzie porobić odpisy i rozdać naszym...

Wysocki wziął podawany papier i ukrył głęboko...

A gdy noc zapadła i wszyscy posnęli, przy wążem świetle świecy, zasłoniętej starannie, by dyżurny oficer nie spostrzegł tego przekroczenia, czytał chciwie, pochłaniając każdy wiersz, każde słowo... Brzmiały one dla niego, jak surma bojowa, jak przepotężny hymn nadziei, dający podniecie do czynu, do walki zwycięskiej...

Ten hymn rewolucyjny młodości, rwącej się do skrzydeł, by wznieść się „w rajska dziedzinę ułudy, kędy zapal tworzy cud“, „młodości, wylatującej nad poziomy“, usuwającej z posad bryłę świata, wprowadzającej ją na nowe tory, zwalczającej Hydry i Centaury, ażeby tylko powitać jutrzrenkę swobody, za którą zbawienia słońce, — w dziwny stan wprowadził Wysockiego...

Jak w ekstazie, jak w zachwyceniu nabożnem odczytywał każdy wiersz, drząc z przejęcia, porwany potęgą myśli i uczucia, bijącą z niego...

Zdumiało go i jednocześnie zastanowiło dziwne skojarzenie wypadków — porannej egzekucji nad

Łukasińskim i jego towarzyszami z tym wierszem płomiennym, burzącym dotychczasowy porządek świata, wskazującym mu nowe tory...

Czuł budzącą się w sobie dziwną moc i pragnienie wytrwania, byle tylko zamierzenia swoje do upragnionego doprowadzić celu...

Zgasił świecę, i leżąc w mrokach nocy bezsennie, rozmyślał nad tem, co czynić należy...

— Tak, tylko czyn to upragnione zbawienie dać może, — szepnął: lecz na czyn, ażeby okazał się niezawodnym, potrzeba odpowiedniego czasu, a czas ten stworzyć może tylko mocna wola, — powtórzył, parafrazując posłyszane słowa artykułu Mochnackiego...

Tę mocną wolę mieć postanowił, ażeby odpowiednio do czasu, stworzyć czyn wielki, potężny, któryby umęczonemu narodowi dał nie tylko jutrzence swobody, ale i zbawienia słońce...

Świtać już poczęło, gdy zasnął, a w gorączkowych marzeniach senrych widział umęczoną postać Łukasińskiego, który płomiennym wzrokiem wpatrywał się w oczy jego i mówił:

— Idź i działaj, działaj ostrożnie... Niech myśl twoja będzie zajęta jedynie troską o Ojczyznę... Niech cię nie przeraża los mój i towarzyszków moich... My jesteśmy tylko nawozem, na którym wyrosnie wspinał się drzewo wolności narodu... Kryj myśli swe i uczucia, i walcz z wrogiem bronią jego... A gdy zdecydujesz się na czyn, nie cofaj się przed niczem, nawet przed śmiercią... Przygotowuj starannie grunt, by rzucone weń przez ciebie ziarno plon obfity wydało...

III.

Wesoły, niegardzący zabawą i towarzystwem, bez troski sierżant szkoły podchorążych, Piotr Wysocki,

od dnia egzekucji Łukasińskiego zmienił się tak znacznie, że kolegów i przyjacieli uderzyła ta zmiana i wnet przezwiskiem „filozofa“ i „sensata“ go obdarzyli...

Nie unikał towarzystwa kolegów, przeciwnie nawet, szukał go, lecz w prowadzonych rozmowach, jakby w wykonaniu pewnego planu, kierował je zazwyczaj na tematy patriotyczne, na niedole, gnębiącą Ojczyznę, starając się w ten sposób obudzić w nich nowego ducha.

W czasie długich samotnych rozmyślań, opracowywał plan przyszłej działalności, obmyślał, jakby do czynu tak upragnionego przystąpić, wierząc nie złomnie, że czas odpowiedni do działania nadejść musi, że trzeba tylko, z zachowaniem wszelkiej przezorności przygotować się do tego, ażeby wypadki nie zaskoczyły niespodziewanie...

Ewangelją jego stała się „Oda do młodości“ Mickiewicza, której wyuczył się na pamięć i chętnie wobec kolegów swoich wygłaszał...

Zaczął się też gorąco interesować sprawami publicznymi w Polsce, i choć nieraz na myśl o tem, co się w niej działo, krew się w nim burzyła, pięści mimowolnie się zaciskały, a serce ciągnęło do natychmiastowego czynu, — zaciskał tylko zęby i cierpiał, mając świadomość tego, że tylko cierpliwem kładzeniem, cegła po cegle, zrębów przyszłej rewolucji, cel swój osiągnąć można...

Rosło też powoli koło przyjaciół jego, zjednanych powagą jego i bezgraniczną prawością charakteru, które mu miłość i posłuch wśród kolegów zdobyły. Wygłaszane przez niego hasła i zasady, padały, jak ziarenka dobrego siewu, w głąb duszy przyjaciół jego, zmuszając ich do zastanawiania się i rozważania...

Zgłaszano się do niego z propozycjami, ażeby wstąpił do któregośkolwiek ze związków tajnych,

pozostającego pod wpływami masonerii międzynarodowej, lecz wręcz odmawiał, mówiąc:

— Nie nadszedł jeszcze czas do działania, a rozpraszać i rozbijać siły narodowe na wzajemnie zwalczające się organizacje, nie wolno nam, gdyż, osłabieni, wpadniemy w bezsilę i łącznie łupem nieprzyjaciół naszych się staniemy i w jeszcze sroższą niewolę popadniemy...

Z gorzkim też uśmiechem słuchał o przeróżnych wprost dziecinnych projektach i poczynaniach, twierdząc, że sprawa wolności kraju wymaga wytężonej i pełnej powagi pracy, że łączyć się i jednoczyć do tego potężnego wysiłku należy...

Sam dawał przykład tej pracy, gorliwie pracując nad wykształceniem swoim, nad rozszerzeniem swej wiedzy, przez czytanie odpowiednio dobranych dzieł, i do tego zachęcał swych kolegów, dowodząc im, że bez wiedzy odpowiedniej niewiele zdziałać będą mogli...

Pochłaniały też uwagę jego wypadki, rozgrywane się wtedy w Polsce, a smutkiem przejmujące serce każdego prawego patrioty...

Oto car Aleksander, wyzbywszy się resztek liberalizmu, którym tak kokietował wszystkich na kongresie wiedeńskim, z całą zaciętością reakcyjnego despoty występując przeciwko konstytucji polskiej, która, jak twierdził, jak zaraza przenikała do niewolniczej Rosji, zagrażając poważnie samowładnym rządowi jego, zdecydował się wreszcie, po czterech latach zwłoki, zwołać sejm w Warszawie...

Lecz carowi nie podobały się wystąpienia opozycji, zwłaszcza tej, na galerji sejmowej, oburzały go oklaski, jakimi popierała ona posłów, którzy przeciwko zamachom jego na wolność i prawo występowali...

I oto car postanowił od jednego zamachu usunąć tę opozycję, złamać jej moc, i za podszeptem dorad-

ców swoich, zdecydował znieść jawność obrad sejmowych...

Wnet na rozkaz jego opracowano artykuł dodatkowy, znoszący tę jawność, lecz rada ministrów długo stawiała opór i zwlekała z zatwierdzeniem go... Jeden książę Lubecki, posłusznie i bez oporu wykonał to żądanie carskie, a za nim musieli iść i inni ministrowie...

I wnet za tym gwałtem, przyjętym w milczeniu przez społeczeństwo polskie, poszły inne, sroższe jeszcze... A surowa cenzura nie pozwalała o nich pisać, dławiać w bezwzględny sposób wszelki najdrobniejszy nawet przejaw liberalizmu lub opozycji...

Natomiast szeptano tajemniczo o tem, zarówno jak i o tem, — jak przywódców opozycji, posłów kaliskich, Wincentego i Bonawenturę Niemojowskich, nie dopuszczano przemocą do Warszawy, przydając im nawet stałą straż z żandarmów, — w całym mieście, w domach prywatnych; kawiarniach popularnych, jak „Honoratka“, „pod Dzwonnica“, „Wiejska kawa“ i inne...

Szepcący jednak z trwogą rozglądali się na wszystkie strony, czy nie podsluchuje ich gdzie czujne ucho szpiegów, od których aż się roiło w Warszawie, zwłaszcza w przeddzień przyjazdu cara...

Snuli się oni całemi gromadami wszędzie, przenikali do wszystkich zakątków, znosząc obfite raporty szefom swoim, Hieronimowi Szymanowskiemu i Janowi Bogatce.

Ohydne nici szpiegostwa, na którego czele stali tacy ludzie, jak wice-prezydent Warszawy, Mateusz Lubodziecki, i generał Aleksander Roźniecki, przy pomocy wybranych mistrzów, jak Szlej, van der Noot, Kempen, Mackrot i inni, zbiegały się w siedzibie cesarzewicza Konstantego, Belwederze, gdzie naczelny kierunek nadawali mu generałowie mo-

skiewscy, Gendre i Fanshawe, pozostający znów pod zwierzchnią władzą najnikczemniejszego z nikczemnych, głównego służalca Aleksandra i Konstantego, senatora Mikołaja Nowosilcowa...

Mistrz ten sięgnął szpiegostwem aż na dwór carski, śledząc każdy krok cara i jego otoczenia, przejmując listy i wiedząc o każdym wyrzeczonym tam nieomal szeptem słowie.

A przy boku jego stał wytrwale mistrz w dławieniu wolności słowa, osławiony Szaniawski, bezwzględny reakcjonista, niegdyś liberał i jakobin, nie pozwalający na najmniejszy przejaw liberalizmu w druku, ba, nawet nie dopuszczający do przedruku artykułów z pism rosyjskich, o ile tylko dojrzał w nich najmniejszy a nader niepożądany objaw dążeń wolnościowych.

Wiedział o tem wszystkim Wysocki, wiedział nawet i o tem, że i wśród uczniów podchorążówki krążyła plotka o szpiegach Roźnieckiego.

W pierwszych dniach maja 1825 r. zjechał wreszcie do Warszawy car Aleksander I i zamieszkał w pałacu Łazienkowskim.

Witali go uroczyście namiestnik ks. Zajączek i cesarzewicz Konstanty, witali przedstawiciele władz i wyższych sfer społeczeństwa, lecz zachowanie się ludności było zimne, obojętne, jakby z niepokojem oczekiwała, jaki nowy cios spotkać ją może, z rąk wiecznie czarującego swym uśmiechem cara i króla.

Dla podchorążych zaczęły się dni ciężkiej wytężonej pracy, gdyż przeznaczeni zostali do zaciągania wart w Łazienkach i przy osobie carskiej... Od wczesnego ranka w opiętych mundurach, które krępowały swobodę ruchów, nie pozwalając nawet usiąść, pełnili swą ciężką służbę, gorszą stokroć od parad na Saskim placu.

I do tego spadła na nich nowa zniewaga... Car nie

ufał podchorążym, car obawiał się młodzieży polskiej...

Straż nad osobą jego powierzono jednocześnie i wojskom rosyjskim, stacjonowanym w Warszawie...

Car, zaraz po przyjeździe do stolicy, za poradą zauszników swoich, obraził dumę narodową Polaków i znieważył wszystkich, a to przez ogłoszenie uniwersału, w którym pouczał posłów, jak się zachować mają, i kareł ich dążności opozycyjne...

I odtąd upokorzenie następowało za upokorzeniem, a to przez wprowadzenie do sali sejmowej urzędników rosyjskich, którzy spisywali protokoły, a to przez niedopuszczenie do głosu posłów z opozycji, to znów przez niedopuszczenie nawet do odczytania petycji, mających za cel przywrócenie podeptanych praw i głośno dopominających się o nie...

A podczas gdy w społeczności całej aż wrzało z oburzenia, gdy wzrastało rozgoryczenie i nienawiść, — car się bawił, roztaczając wokół czar swego uśmiechu i słodczy obietnic, podejmowany hucznymi ucztami i balami przez ministrów i arystokrację, która chciwie oczekiwała na zaszczyty, jakie na nią z łaski carskiej spaść mogły.

A tymczasem w długich tajemnych naradach pod przewodnictwem sędziwego kasztelana Stanisława Sołtyka, posłowie z opozycji naradzali się, co im wobec podobnego stanu rzeczy czynić należy...

Odrzucono myśl powstania, gdyż naród nie był do niego przygotowany, brakło przytem sił, któreby skutecznie walczyć z niechęcią mogły, zwłaszcza, że wielka część narodu, wierząc jeszcze obietnicom złudnym Aleksandra, niechętnie, a nawet i wrogo do tego by się odniosła...

Zdecydowano też, w braku innej drogi, bronić tylko wytrwale konstytucji na drodze legalnej, wyty-

kać nadużycia rządowe, a zresztą postępować z godnością i umiarkowaniem...

Skończyła się wreszcie sesja sejmowa, a jedynym jej wynikiem było tylko uchwalenie zmiany pierwszej księgi Kodeksu Napoleona, oraz ustanowienie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Jedynym zwycięstwem moralnym — wytknięcie w uwagach nad raportem Rady Stanu rządowi nadużyć rozmaitych i zaniedbania oświaty...

Car raczył wyrazić sejmowi swe zadowolenie... Lecz te puste, bez treści wewnętrznej słowa nie mogły zagoić ran, zadanych Polsce przez Konstantego i Nowosilcowa, nie mogły uspokoić wzburzonej opinii publicznej...

Opuścił car Warszawę, udając się w ostatnią swą podróż przedśmiertną na południe Rosji, do Taganrogu, a w Warszawie życie wróciło do dawnego trybu, — ucisku i niewoli...

Wysocki, mimo, iż zdala się trzymał od życia politycznego kraju, bacznie śledził przebieg wypadków w związku z obradami sejmowymi, rozważał je nie raz w samotności i w rozmowach z przyjaciółmi, i coraz bardziej utrwalał się w przekonaniu, że tylko drogą zbrojnego wystąpienia, a nie rozpraw sejmowych, da się odzyskać wolność i niezależność narodu...

Jednocześnie wszakże zdawał sobie sprawę, że droga ta żmudną jest wielce i że należy przez długi czas jeszcze przygotowywać grunt do niej, by nie zaznać klęski...

IV.

W początkach grudnia 1825 r. schwytały nagle po dłuższych roztopach tak silne mrozy, że lęk ogarnął wszystkich o oziminy, że wymarzną, lecz spadłe wkrótce wielkie śniegi, okryły wszystkie pola grubą

pierzyną, ścieląc na wszystkich drogach sanne znamięta...

Chowali się też ludziska po domach, przy sutym ogniu kominków, i tylko nagła konieczność zmusić ich mogła do wyjścia na powietrze.

Siarczyście też zaklęli strażnicy przy rogatce grochowskiej, gdy późnym już wieczorem dn. 7 grudnia, w samą wigilię święta Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny, gdy wszyscy w mieście do snu się układli, a i oni sami, zebrawszy się przy suto rozpalonym na kominku ogniu, do wypicia kubeczka dobrze przyrządzonego i ożywcze ciepło dającego krupniku się zabierali, — gdy naraz z oddali dobiegł brzęk donośny dzwonków, i zanim przed rogatkę wybiec zdolali, stała przed nią kibitka pocztowa na płozach, w trójkę spienionych koni zaprzęzona...

Przeklinając w duchu, podbiegł do niej strażnik, otulając się po drodze w kożuch, gdy przez okienko padło kilka dosadnych przekleństw i wymysłów istic rosyjskich, przy świetle latarni mignęła zbieła z mrozu twarz feldjegra i papierek, glejt kurjerów carskich...

Podniesiono spiesźnie rogatkę i kibitka pomknęła prosto ku mostowi przez Wisłę, a potem Bednarską ku górze, Krakowskiem Przedmieściem i Saskim placem ku pałacowi Brühlowskiemu, gdzie warty, posłyszawszy z oddali dźwięk tak dobrze im znanych dzwoneczków, wnet szeroko rozwarły bramę, oraz rozstały się, przepuszczając sanie, które, zatoczywszy na dziedzińcu wielkie koło, zatrzymały się przed głównym wejściem...

Podbiegła do sań liberja i dopomogła wysiąść z nich młodemu człowiekowi, kurjerowi carskiemu. Wyglądem swoim przypominał on kulę nieomal, a to skutkiem całej masy futer, w które był opatulony.

Mimo to jednak przemarzył tak straszliwie, że z trudem belkotał coś niezrozumiałego...

Wprowadzono go, a raczej wniesiono do przed-sionka, a potem do komnaty, w której na kominku płonął suty ogień z wielkich bierwion brzoźowych...

Uwolniła służba z futer feldjegra, a gdy ten w cieple odmarzył trochę i odzyskał, zwłaszcza po wypiciu kielicha wina, dar mowy, wnet zwrócił się do dyżurnego oficera i rzekł:

— Prowadźcie mnie do jego carskiej mości cara imperatora...

Ze zdumieniem spojrział nań oficer, uderzony nie-zwykłością tytułu, nadanego Konstantemu, który był tylko carską wysokością, nie mówiąc jednak ani słowa, nie zadając pytań, nie czyniąc uwag, wyszedł z pokoju, ażeby zameldować o przybyciu kurjera gen. Kurucie, który ze swej strony zawiadomić miał o tem cesarzewicza.

Upłynęło parę minut, aż wreszcie wrócił dyżurny oficer z adjutantem cesarzewicza, który rzekł krótko:

— Proszę za mną!

Poprowadził go schodami na pierwsze piętro, do prywatnych apartamentów cesarzewicza i tam, otworzywszy drzwi jednej z komnat, jasno oświetlonej wieloma świecami, rzekł:

— Proszę wejść!

Wszedł kurjer, a widząc stojącego pośrodku komnaty Konstantego w towarzystwie generała Kuruty, padł przed nim na kolana, podając jednocześnie pismo z czarną żalobną pieczęcią...

Poblądł na ten widok Konstanty i przerywanym głosem spytał:

— Skąd?... od kogo?...

— Z Taganrogu, wasza carska mości; pismo od księcia Wołkońskiego i barona Dybicza...

Przesunął ręką po czole, słysząc ten tytuł, Kon-

stanty, jakby chcąc odpędzić jakąś marę straszną, poczem drżącą ręką wziął pismo, złamał pieczęć i przeczytawszy szybko treść jego, gwałtownym ruchem zwrócił się do kąta komnaty, gdzie wisiała złotymi blachami okuta ikona, z płonąca przed nią złotą lampką, i przeżegnawszy się szybko trzykrotnie, z niskimi pokłonami, po cichu modlić się zaczął...

W chwili tej brzydka, potworna, prawie zwierzęca twarz jego nabrała jakiegoś ludzkiego wyrazu, stała się piękną nieomal, a z oczu popłynęły dwa sznury grubych ciężkich łez.

Długo modlił się Konstanty, wreszcie odwrócił się do kurjera, który mimo zmęczenia trwał na klęczkach, i gen. Kuruty, który stał sprężony na baczność, i rzekł:

— Kuruta!...

— Słucham, wasza carska wysokość...

— Kuruta... Brat nasz; a miłościwy monarcha, car Aleksander I Pawłowicz, spoczął w Bogu... Carem naszym i królem zostaje brat nasz, jego carska mość Mikołaj I Piotrowicz... Zaweżwać do mnie brata, księcia Michała Pawłowicza... Polecam jutro odprawić we wszystkich cerkwiach i kościołach nabożeństwa żalobne za spokój duszy zmarłego dobroczyńcy naszego... A ty, — zwrócił się do kurjera: dziś jeszcze wrócisz do Taganrogu i odwieziesz księciu Wołkońskiemu, baronowi Dybiczowi i innym pisma ich, w których przysięgę na wierność mi składają... Jam nie car, carem jest Mikołaj I Pawłowicz, — powtórzył z naciskiem: któremu tę przysięgę tylko złożyć winni...

To rzekłszy, wyszedł Konstanty spiesźnie do przyległych komnat małżonki swej Joanny księżnej Łowickiej, pozostawiając samymi, zdumionych posłyszaniem słowami gen. Kurutę i kurjera.

Ten ostatni zwłaszcza przybrał minę zdumioną i

zrozpaczoną... Pędził do Warszawy pełen różowych nadziei, że za przywiezienie cesarzewiczowi korony carskiej, spotka go hojna nagroda i awans, a tu naraż słyzy tylko rozkaz natychmiastowego udania się w powrotną, a tak daleką drogę, w taki mróz siarczyny...

Aż się wstrząsnął ze zdumienia...

* * *

Księżna Łowicka siedziała w swym buduarze przy kominku, czytając jakąś książkę francuską, zdumiona i trochę zaniepokojona tem niespodziewanem przybyciem kurjera, do którego wywołano jej małżonka, gdy naraż wpadł, trzaskając drzwiami, Konstanty, i skinieniem oddaliwszy siedzącą na uboczu damę z fraucymeru księżnej, podał żonie pismo, przywiezione przez kurjera, mówiąc przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Księżno... żaneto... niema naszego anioła... Car Aleksander umarł...

I nie mogąc już powstrzymać łez, gwałtem cisanących się do oczu, wsparty o kominek zaszlochał gwałtownie, kryjąc twarz w dłoniach.

Pobladła księżna szybko przebiegła wzrokiem pismo i z oczu jej również łzy popłynęły...

Konstanty prędko zapanował nad sobą, i chodząc swoim zwyczajem szybko po buduarze, potrącając meble, wyrzucał z siebie krótkie urywane słowa i zdania...

— Umarł... Alosza umarł... Brat i cesarz... Władca nasz... Anioł i dobroczyńca... Bóg powołał go do siebie... Biedna Rosja... biedna Polska... nie wiedzą nawet co utraciły...

A widząc utkwione w sobie pełne smutku, niepokoju i trwogi oczy umiłowanej żony, zatrzymał się przed nią i rzekł krótko:

— Bądź pani spokojna, nie będziesz panować...

— Konstanty, — rzekła księżna, zalana łzami: czyż ja kiedykolwiek o tem myślałam?... czyż jam pragnęła tej korony cierniowej?... nie chcę jej, nie chcę za żadną cenę, gdyż tylko ból i gorycz przynieść nam może... Płacę tylko po Aleksandrze, który nam nie tylko królem i bratem był, ale i dobroczyńcą...

Twarz Konstantego w jednej chwili zmieniła wyraz, odbiło się na niej rozczulenie i miłość bezgraniczna, i nachylając się nad żoną, pieszcząc jej cudne jasne włosy, rzekł pełnym wzruszenia głosem:

— Wiem o tem, gołąbko ty moja... wiem, że ani ty, ani ja nie pragniemy tej korony... Zimny dreszcz przejmuję mnie na myśl, że mógłbym znaleźć się w tem gnieździe intryg, jakim jest dwór carski... że mógłbym mnie tam spotkać los ojca i dziada... że i ja mógłbym lec z szarfą na szyi, skopany nogami o krutnych, brutalnych żołdaków... O nie, tego ja nie pragnę, choćby nawet za cenę wszystkich koron świata... Wystarczy mi ciche szczęście tu, w Warszawie, w spokoju i zapomnieniu... Zaraz też wyprawię Miszę do Petersburga z pismami, w których potwierdzę moje zrzeczenie się tronu, złożone w senacie, i złożę bratu memu, jego carskiej mości carowi i królowi, Mikołajowi I Pawłowiczowi, przysięgę na wierność i poddaństwo... Nie chcę, nie chcę tej korony strasznej...

Dało się słyszeć pukanie do drzwi i stanął w nich najmłodszy brat cesarzewicza, w. ks. Michał Pawłowicz, bawiący od pewnego czasu w Warszawie.

Uprzedzony o wszystkim przez gen. Kurutę, stał wyprostowany, mówiąc:

— Wasza carska mości...

Lecz Konstanty nie dał mu dokończyć, a schwytawszy w objęcia, zawołał:

— Misza, bracie mój... Alosza umarł... Niema już brata naszego i dobrodzieja...

A gdy ten stał wciąż wyprostowany, w postawie pełnej szacunku, powtarzając:

— Wasza carska mości...

Konstanty zawołał gwałtownie:

— Ja nie jestem carską mością!... Ja nie chcę być carem!... Carem jest brat nasz, Mikołaj I... Misza, mam do ciebie prośbę serdeczną, braterską... Jedź ty zaraz do Petersburga, jedź jak najprędzej... Zawieź ty bratu naszemu i carowi potwierdzenie naszego zrzeczenia się tronu i przysięgę naszą na wierność i poddaństwo... Tam on pewnie dręczy się, matka, nie wie, jakie stanowisko zajmę, czy uznam zrzeczenie swoje, złożone przed ożenieniem się mojem z tą umiłowaną gołąbką moją, czy nie zechcę, mimo wszystko, sięgnąć po koronę Romanowych... Jedź, bracišku, uspokój go, ułatw mu te pierwsze ciężkie chwile panowania i żałoby...

W. książę Michał stał jak wryty, patrząc pełnemi zdumienia oczyma na tego starszego brata, z taką łatwością wyrzekającego się tronu jednego z największych imperjów świata...

A Konstanty gorączkowo, szybko, przerywanemi słowami, wyjaśniać mu zaczął, że wiernym być chce i musi przyrzeczeniu, złożonemu zmarłemu carowi, że tron go wcale nie nęci... że byłoby to dla niego tylko wieczną udręką, że chce uciec od niej, by dalej życie w spokoju i ciszy z ukochaną swą żanetą spędzić...

Nocy tej w pałacu Brühlowskim nikt nie spał... Sprowadzeni do kancelarii urzędnicy przygotowywali spieszenie pod przewodnictwem samego gen. Kuruty różne akta i papiery, które kontrolował bacznie i podpisywał cesarzewicz Konstanty, a gdy tylko świt zabłysnął, wyruszył z Warszawy do Petersburga w. ks.

Michał Pawłowicz, z nieliczną świtą, wioząc do nadnewskiej stolicy tak ważne i tak pożądane dla cara Mikołaja papiery...

*

*

*

Wieść o śmierci cara Aleksandra w Taganrogu tejże jeszcze nocy z pałacu Brühlowskiego rozeszła się po Warszawie, docierając wszędzie, i budząc wielki niepokój, zwłaszcza wśród dygnitarzy cywilnych i wojskowych.

Nie wiadano bowiem zupełnie, jakie stanowisko wobec tych wypadków zajmie cesarzewicz Konstanty, o którego zrzeczeniu się tronu na rzecz Mikołaja I, mętne wiadomości tylko niektórzy z nich posiadali.

To też gdy nadszedł czas zwykłego przyjęcia w pałacu Brühlowskim, zjeżdżać poczęli niezwykle licznie dostojnicy duchowni, cywilni i wojskowi, zaniepokojeni możebnemi powikłaniami, jakie śmierć cara Aleksandra spowodować mogła.

Lecz w pałacu przyjmował ich adjutant cesarzewicza, który oświadczał wszystkim, że Konstanty nikogo nie przyjmuje, że rozkazy w swoim czasie wydane będą, a do czasu tego wszystko po dawnemu pozostaje...

Przyjęci zostali tylko ministrowie i Nowosilcow. Wyszedł do nich Konstanty z zaczerwienionemi oczyma i śladami pełnej udręki nocy na twarzy, i oznajmiwszy o śmierci cara i króla Aleksandra I, rozkazał ażeby dalej swe czynności bez zmiany pełnili...

Wysłuchawszy słów jego, Nowosilcow spytał:

— Jakież będą teraz rozkazy waszej carskiej mości?...

Zmarszczył gniewnie czoło Konstanty i odrzekł:

— Proszę mi nie dawać tego tytułu, który mi się nie należy...

Gdy jednak w dalszym ciągu Nowosilcow nazwał go „carską mością“, — krzyknął gniewnie:

— Po raz ostatni... po raz ostatni proszę pana dać pokój i pamiętać, że naszym carem i królem jest Mikołaj I Pawłowicz...

Rozjechali się wszyscy, pełni dręczącego niepokoju, jakie nowości przyniesie im niepewne jutro...

Zastanawiało tylko wszystkich, że co do złożenia przysięgi na wierność żadne zarządzenia przez cesarzewicza Konstantego wydane zostały...

*

*

*

Do szkoły podchorążych wieść o śmierci cara Aleksandra dotarła następnego dnia z samego rana...

Zawiadomił o niej wychowawców komendant szkoły, podpułkownik gwardji królewskiego pułku grenadierów, Ksawery Olędzki.

Podchorążowie przyjęli wiadomość tę w grobowem milczeniu, gdy zaś komendant wyszedł, korzystając, że dnia tego, z powodu święta uwolnieni byli od nauki i ćwiczeń, zbierali się grupami, rozmawiając cicho o tym, tak żywo zarówno ich, jak i kraj cały interesującym wypadku.

Wysocki siedział zamyślony, półsłówkami odpowiadając na zadawane mu zapytania... A wieczorem, gdy wrócili z miasta ci, którym udało się uzyskać przepustki, otoczono ich zwartem kołem i zasypano gradem zapytań o nastrój, panujący w mieście...

— Spokojnie wszędzie, — odrzekł jeden z nich: zbyt nagle to na wszystkich spadło, ażeby można było coś postanowić, zdecydować... Wszyscy czekają, a uwaga ogółu zwrócona jest na Petersburg i Rosję, jak tam przyjmą tę zmianę na tronie... jak zapatrywać się będą na to, gdy na tronie zamiast Konstantego zasiądzie Mikołaj... Wszyscy powtarzają pogło-

ską, że w wojsku moskiewskiem istnieje sprzysiężenie, które ma zamiar, korzystając z tego, wywołać wybuch rewolucji, by w Rosji zaprowadzić rządy konstytucyjne... Wtedy i my, jak mówią, nie będziemy mogli pozostać obojętnymi widzami tego, co się tam dziać będzie...

— Tylko co? — zimno, bez entuzjazmu spytał Wysocki.

— Wtedy, jak mówią na mieście, winniśmy połączyć się z nimi, ażeby walczyć razem o wspólną sprawę wolności! — z zapalem powtarzał podchorąży posłyszane na mieście zdania.

— Nie, — odrzekł na to stanowczym tonem Wysocki: nam nie wolno mieszać się do wewnętrznych spraw Rosji... Obce nam są one i dalekie... Nie łatwo im się uda zrzucić tyloletnie jarzmo niewoli... A gdy przy pomocy wojsk wiernych mu, car bunt rosyjski uśmierzy, wtedy gniew jego w całości na nas, słabych i bezsilnych skupiłby się i odebrał nawet te szczątki wolności, jakie obecnie posiadamy... Czekać i trwać — to jest nakaz chwili, a niewczesnem, bez podstaw wystąpieniem nie wolno nam burzyć gmachu państwowości naszej i oddawać naród w jeszcze gorszą niewolę i ucisk... Chwila odpowiednia nie nadeszła jeszcze i przed jej wybiciem nie wolno nam lekkomyślnie trwonić tego, cośmy wysiłkiem lat tylu i kosztem tylu ofiar zdobyli...

Te spokojne, trzeźwe słowa oblały jakby zimną wodą zapalne głowy podchorążych, gotowych do natchmianstowego, na pierwsze hasło, czynnego wystąpienia przeciwko znienawidzonemu ciemierzcom.

V.

Prorocze nieomal przewidywania Wysockiego, rychło potwierdzenie znalazły w przebiegu wypadków,

rozgrywających się z błyskawiczną szybkością na ziemiach rosyjskich, a głównie w Petersburgu...

Miedzy daleką północną stolicą, a Warszawą krążyli nieustannie kurjerzy, krzyżowały się pisma, w których bracia wzajemnie jeden drugiemu przysięgi składali, przerzucając koroną Romanowych, jak piłką.

Tylko, że jeden z tych braci wyrzekł się tej korony szczerze i z przekonaniem, pełen lęku przed nią, mając przed oczyma straszliwą wizję potwornie zniekształconych zwłok ojca...

Drugi natomiast wyrzekał się jej dla pozoru, jednocześnie zaś pożądał jej gorąco, pragnął zdobycia jej, jako źródła potęgi i władzy. Wyrzeczenie to jego było spowodowane nie przez poczucie prawa, lecz przez tchórzostwo i lęk przed obrotem, jaki mogłyby przyjąć sprawy, gdyby zaniechawszy formy tej wprost zagarnął władzę...

Trwała ta wymiana korespondencji braterskiej ku wielkiemu utrapieniu umęczonych kurjerów, a tymczasem ze wszystkich stron Rosji mknęli do Warszawy inni kurjerzy, wiozący od przeróżnych satrapów moskiewskich, drżących o swe korzystne stanowiska, czołobitne hołdy i zapewnienia wierności i oddania byle tylko zdobyć względy i łaski nowego cara...

Irytował się Konstanty w swym Brühlowskim pałacu, odsyłał ich z powrotem, nie szczędził gorzkich a czasem nawet brutalnych słów prawdy, wymyślał wprost...

A jednocześnie czynił pewne posunięcia, dające pozór, jakby usiłował zjednać sobie Polaków... Znalazło to zwłaszcza wyraz na przyjęciu w pałacu Brühlowskim, w dniu Nowego Roku 1826 r.

Wyrzekł tam wtedy do zgromadzonych generałów polskich te słowa:

— Wyznać wam muszę, że zmarły brat mój był

wielkim waszym przyjacielem i dużo dobrego o was mi mówił, ale coprawda, to ja często przeciwnego byłem zdania, teraz zaś przyznaję, iż brat mój miał słuszość, a ja nie, bo Polacy są dobrym narodem...

Łącząc te komplementy z odnoszonym ogólnie wrażeniem, iż wielką sprawiało mu przyjemność tytułowanie go „królewską wysokością“, przychodząco do wniosku, iż zamyśla on o tronie królewskim polskim.

I sama myśl o tem przejmowała wszystkich straszliwą obawą, gdyż znając surowość jego i gwałtowność, oraz despotyzm tak obcy naturze narodu polskiego, przewidywano ogólnie fatalne wyniki podobnego obrotu sprawy...

A tymczasem z Petersburga nadchodziły codziennie nieomal głuche, lecz alarmujące wieści o wybuchu tam rewolucji... Pomimo surowej i ostrej cenzury, pomimo ścisłej bardzo tajemnicy, stawiającej mur wprost nieprzebyty między Polską a Rosją, wieści te, przedostając się różnemi drogami, wywoływały niepokój wśród szerokich mas społeczeństwa, budząc jednocześnie słaby, nikły cień nadziei...

Wieści te głosiły, iż działające nieomal jawnie wśród społeczeństwa rosyjskiego, a głównie wśród wojska, związki tajemne, pozostające pod wodzą Rytlejewa i Pestla, a mające charakter wybitnie liberalny i masoński, korzystając ze śmierci cara Aleksandra I i wahania się, a raczej targów Mikołaja z Konstantym o koronę, zdołały podburzyć część wojsk garnizonu petersburskiego do odmówienia złożenia przysięgi na wierność Mikołajowi.

Zbuntowane pułki wystąpiły zbrojnie na plac Izaaka w Petersburgu, krzycząc:

— Hurra Konstanty!... hurra konstytucja! — którą żołnierze w ciemnocie swojej za żonę Konstantego brali...

Przeciwko buntownikom wystąpiły wojska wierne carowi i na placu wynikła zacięta walka. Losy jej długo się ważyły, i gdyby przywódcy rewolucji, zwłaszcza Rylejew i ks. Kachowski spełnili byli swój obowiązek, wytrwali przy wojsku, — zwycięstwo pozostałoby przy nich...

Tymczasem nie pokazali się oni wcale, a żołnierze pozbawieni dowództwa, walczący przez kilka godzin o chłódzie i głodzie, i wystawieni po nieudanych atakach kawalerji na silny ogień artylerji, chwiać się zaczęli i nareszcie pierzchnęli na wszystkie strony...

Tak skończyła się rewolucja petersburska zwycięstwem cara Mikołaja.

Jednocześnie na południu sztandar powstania rozwinęli dwaj bracia Murawiewowie, Siergiej, Apostołem zwany, i brat jego Maciej. Stanąwszy na czele czernihowskiego pułku ruszyli oni ku Białocerkwi, ale na wzgórzach pod Kalinówką napadnięci przez przeważające siły Rotha i Geismara, ulegli przemocy i zupełnemu rozbiciu...

Po stopniach krwią zbroczonych wstąpił car Mikołaj na tron i panowanie swoje rozpoczął od srogiego pomszczenia zniewagi, jakiej doznał od tych, którzy byli zawsze filarami despotyzmu i główną podporą samowładztwa.

Autokrata, przywykły do ślepego posłuszeństwa, człowiek o miernych zdolnościach i mierniejszem jeszcze wykształceniu, a przejęty wysokiem posłannictwem, które, według jego zdania, miało polegać na utrzymaniu ładu i porządku w Europie i na zwalczaniu „złego“, przytem z usposobienia mściwy, uważał bunt żołnierzy za czyn haniebny, o pomstę do nieba wołający, i widział w najśroźszem ukaraniu winnych tylko niedostateczne zadośćuczynienie, za winę właściwie ukarać się nie dającą...

Po uśmierzeniu buntu nastąpiły zaraz gromadne

aresztowania i srogie śledztwo, połączone z torturami, w których sam car osobiście brał udział. Uwięziono Trubeckiego, Rylejewa, dwóch Bestużewych, ks. Oboleńskiego, Bateńkowa, Bułatowa. Aresztowania sięgnęły aż do Warszawy, gdzie wykryto, że do spisku należeli pułkownik Łunin, oficer Küchelber i wielu innych.

Zapełnione zostały kazamaty fortecy Petropawłowskiej i Szlisselburskiej, oraz innych więzień w Rosji, najszlachetniejsi z przywódców ruchu zawiśli na szubienicy, a drogi na Syberję zaludniły się gromadami zesłańców z pośród „Dekabrystów“ i ich rodzin.

Lecz prowadzone z wyrafinowaniem okrucieństwem śledztwo wykryło, że nici spisku rosyjskiego wiązały się z podobnym spiskiem polskim...

I oto nad udręczoną, męczeńską Polską zawisło nowe groźne niebezpieczeństwo...

VI.

Już tak zrządzeniem Boskiem widać danem było, iż mieszkańcy stolicy w tym pamiętnym roku 1826 nie mieli zaznać spokoju.

To z nadnewskiej stolicy nadchodziły alarmujące wieści o rewolucji i krwawej carskiej pomście...

To znów z Zamościa szły niepokojące wieści o wybuchu tam, jeszcze w sierpniu 1825 r. buncie wśród więźniów, którego inicjatorem miał być wiecznie niespokojny duch — Łukasiński, a który miał na celu uwolnienie więźniów; o krwawem stłumieniu tegoż buntu, o surowych karach na wszystkich jego uczestnikach...

A wieści te, powtarzane z ust do usta, rosły przez drogę, olbrzymiały, dochodziły wprost do potwornych

rozmiarów, przejmując trwogą i grozą tchórzliwe duszeczki mieszczuchów warszawskich i tych wszystkich, którzy drżeli na samą myśl jakiegoś śmielszego wystąpienia wobec władzy, a zwłaszcza władzy moskiewskiej...

A tymczasem w rzeczywistości sprawa przedstawiała się tak:

Łukasińskiego i towarzyszy jego, natychmiast po przywiezieniu do Zamościa, umieszczono w kazamacie t. zw. lwowskiej.

Ohydny to był loch, umieszczony głęboko pod ziemią, ciemny, sklepiony, niski, wilgotny, nie opalany zimą. Tapczany zbite z desek lub też goła ziemia, z deską heblowaną zamiast poduszki, stanowiły łoża więźniów, żywność ich była marną, gorszą od tej, jaką nieraz psom się daje, gdyż z 10 groszy dziennie, przeznaczonych na utrzymanie więźnia, komendant ich, major Rozmysłowski, zatrzymywał jeszcze po 2 grosze na pranie, golenie i szuwaks...

Dostawali też więźniowie po pół funta chleba czarnego, ościstego, po misce lichego krupniku z kaszy jęczmiennej, z zuchelkiem mięsa, często śmierdzącego, a wieczorem kaszę z grochem...

Ot tyle, żeby z głodu nie pomarli...

A przy tem wszystkiem wycieńczonych, wygłodzonych, udreńczonych fizycznie i moralnie więźniów, pędzono codziennie, od świtu do późnej nocy, do ciężkiej nad siły pracy przy robotach fortecznych, sypaniu wałów, noszeniu gruzów i piasku, ciosaniu kamieni i t. p.

A do tego jeszcze, za najmniesze przewinienie, na plecy nieszczęśliwych więźniów spadały kije, kije srogie, bezlitosne, tak, że słabsi konali pod niemi...

Mimo jednak tak ohydnych warunków nie upadł na duchu Łukasiński, zamknięty wraz z dziesięciu towarzyszami niedoli w ciasnej kazamacie...

Przejęty swą ideą, ogarnięty niczem niepomaganą potrzebą snucia opowieści o Polsce, wolnej, potężnej, takiej, jaką sobie wyobrażał w marzeniach swoich, nocną porą, gdy strażę się pospały, w słowach prostych, zrozumiałych dla tych prostych ludzi, opowiadał o Polsce, o jej niedoli i nieszczęściach, a jednocześnie, jako przykład, stawiał bohaterów starożytnej Grecji, którzy niczego się nie lękali, byle tylko Ojczyznę od jarzma tyranów uwolnić.

Śluchali go chciwie towarzysze niedoli... Hojnie rzucane przez niego ziarna na urodzajną padły glebę, gdyż przecież z samych warunków bytu każdy z nich nosił w sobie bunt...

Najgorliwiej jednak słuchał go sąsiad z twardego tapezana... Był to młody lecz zapalczywy żołnierz I pułku piechoty linjowej, Tadeusz Sumiński, dusza rogata i nieuległa, skazany za niesubordynację na 12 lat twierdzy, ulaskawiony przez Konstantego do lat pięciu...

Chciwie pochłaniał on te opowieści czarowne, snute w mrokach lochu więziennego, wnoszące do niego jakby jasno płonące słońce tak upragnionej i umiłowanej wolności... Przejął się też niemi tak wielce, że baśń w czyn zamienił postanowił, i wkrótce, pod jego kierownictwem, a za wiedzą Łukasińskiego, w kazamacie ich powstał spisek, mający na celu wydobycie się z twierdzy, opanowanie jej, następnie przedostanie się do Galicji...

Myśl, rzucona przez Łukasińskiego, kielkowała, rozwijała się, przebijając mury więzienne, aż wreszcie krwawy płon wydała.

W dniu 28 sierpnia 1825 r. wyprowadzono oddział, z 209 więźniów złożony, nazewnątrż fortów na roboty, a strzec ich miała garść spieszonych ułanów i weteranów... Nagle Sumiński, uważając, że chwila odpowiednia do działania nadeszła, wyskoczył z szere-

gów, rzucił się na jednego z ułanów, uderzeniem pięści powalił go na ziemię i wyrwawszy mu pałasz, wołać począł:

— Koledzy! godzina wolności wybiła!... Niech żyje nasz naczelnik major Łukasiński!...

Lecz okrzyk ten uderzył w próżnię... Żaden z kolegów nie ruszył w ślady jego, choć było wśród nich kilkunastu wtajemniczonych w zamiary spiskowe...

Stał Sumiński zdumiony, widząc niepowodzenie swych zamiarów i zupełną przegraną, i wtedy, ogarnięty szalem rozpacz, rzucił się na wszystkich z pałaszem w rękę i bijąc, pędził przed sobą, jak trzodę bydła tak, że więźniowie, i straż z bronią w rękę, zmieszani razem, uciekali przed nim do zewnętrznych wałów twierdzy...

Już błysnęła mu w oddali brama, nadzieja ucieczki, gdy naraz zastąpił mu drogę żołnierz 4 pułku szaserów, Pońsko, i starłszy się z nim na pałasze, broń z ręki wytrącił...

Widząc bezbronnym Sumińskiego, nadbiegło wnet siedmiu więźniów, należących do spisku, i z całą nieszczemnością dusz podłych, by przypodobać się władzy i przebaczenie jej kupić, rzucili się na niego, powalili na ziemię i skrępowali sznurami przy pomocy nadbiegłych żołnierzy.

Sledztwo rozpoczęło natychmiast. Bity i torturowany bez miłosierdzia Sumiński wyznał wreszcie w mękach, iż zachęcony był do czynu swego przez Łukasińskiego, iż zamiarem ich było, po wypędzeniu załogi, opanować twierdzę, a następnie zwrócić się do monarchy o ułaskawienie, w przeciwnym zaś razie zamierzali po wysadzeniu min, wysadzić siebie wraz z fortecą w powietrze...

Na rozkaz komendanta twierdzy, gen. Hurtiga, przystąpiono do badania Łukasińskiego... Przyznał się on szczerze, iż rzeczywiście zachęcił Sumińskiego

do tego przedsięwzięcia w zamiarze wspólnej ucieczki...

Raport o całym zajściu przesłał gen. Hurtig Konstantemu po paru dniach, zwalając całą winę li tylko na Łukasińskiego i Sumińskiego...

Zwołano natychmiast sąd pułkowy, który przeprowadziwszy pośpiesznie śledztwo, po dwóch niespełna tygodniach wydał wyrok, skazujący obydwóch oskarżonych na karę śmierci przez rozstrzelanie...

Wyrok ten skazańcy przyjęli bez zastrzeżeń, zupełnie obojętnie, zrzekając się udania do łaski monarszej i prosząc o jaknajrychlejsze stracenie, by kres mękom położyć...

Księżę Konstanty, otrzymawszy w Ems wiadomość o wypadkach w Zamościu, natychmiast przesłał gen. Kurucie swą decyzję: Łukasińskiego i Sumińskiego wobec wszystkich zgromadzonych więźniów, oraz w przytomności generała Malletskiego, poddać karze cielesnej, wymierzonej w stopniu surowszym, niż to miało miejsce z innymi więźniami, usiłującymi zbiec z Zamościa, przyczem chłosta miała być dopełnioną, natychmiast, następnie obydwaj skazani mieli być trzymani w odosobnieniu bezwarunkowem, przyczem termin kary ma zostać zdwojony, t. j. dla Łukasińskiego do lat 14, a dla Sumińskiego do lat 10, wreszcie po upływie tej kary nie mieli być zwolnieni, jak tylko za specjalnym rozkazem w. księcia.

Wtedy Kuruta przesłał Konstantemu wyrok sądu polowego, lecz w odpowiedzi otrzymał polecenie skasowania tego wyroku, jako nieprawego, oraz trzymania się poprzedniej decyzji...

Zwlekano w Zamościu z wykonaniem kary cielesnej, czekając, ażeby się wszystko uspokoiło, gdy naraż przyszedł nowy rozkaz, nakazujący poddać Łukasińskiego nowej indagacji w sprawie rozgałęzienia towarzystwa tajnego, do którego należał.

Było to wynikiem zwierzeń, jakie uczynił Łukasiński przy śledztwie gen. Rautenstrauchowi w sprawie Towarzystwa Patrjotycznego... Do tego kroku, obciążającego go bardzo, skłoniła go obawa o los towarzyszy, prowadzących dalej dzieło jego, a już tropionych przez władze, śledzonych... Chcąc ocalić ich od zagłady, postanowił wyjaśnić wszystko, ofiarnie biorąc na siebie cały ciężar winy.

Tymczasem czekała go nowa tortura. W obecności jego i wszystkich więźniów dokonano nakazanej egzekucji na osobie Sumińskiego. Wyliczono temuż 400 kijów, a następnie krwią zbroczonego, nawpół żywego, wrzucono do lochu podziemnego...

Śledztwo w sprawie nowych zeznań Łukasińskiego prowadził początkowo Karol Hübner, później przybyły specjalnie z Warszawy gen. Kołzakow.

Łukasiński wyznawał wszystko szczerze, nic nie kryjąc, lecz zarazem nie wydawał nikogo.

Konstanty natychmiast po otrzymaniu protokołu z zeznań Łukasińskiego, powrócił do Warszawy, lecz nie uczynił żadnych kroków represyjnych przeciwko osobom, wymienionym w zeznaniach. Zawezwał tylko do Warszawy Prądyńskiego, od którego zażądał szczerego przyznania się do winy. Zrazu zaparł się tenże wszystkiego, przyznając się tylko do należenia do Wolnomularstwa Narodowego, lecz następnie, gdy go zaczął badać sam Konstanty, przyznał się do należenia do Towarzystwa Patrjotycznego...

Dziękował mu zrazu Konstanty za tą szczerłość, lecz następnie czynił wymówki, iż pozwolił na osądzenie Łukasińskiego, nie dzieląc z nim ławy oskarżonych...

Natomiast zawziął się na drugiego z oskarżonych, Morawskiego, z którym miał na pieńku za jego działalność pisarską i należenie do opozycji. Wysłała żandarmów z rozkazem uwięzienia go i przewiezienia do

Warszawy, celem przeprowadzenia badań, ale gdy żandarmi otoczyli dom Morawskiego, tenże zdołał się wymknąć i uciec zagranicę...

Nie wystarczało Konstantemu śledztwo, prowadzone w Zamościu; celem ściślejszego przeprowadzenia badań, wydał rozkaz przywiezienia stamtąd obydwóch skazańców, Łukasińskiego i Dobrzyckiego, gdyż Dobrogoyski nie przetrzymał udręczeń więzienia i zmarł.

Wieziono ich w wielkiej tajemnicy, tak że nawet jeden o drugim nic nie wiedział, a wieziono okutych w kajdany, z zawiązanymi oczyma, zawiniętych w burki, pod silną eskortą kozaków.

Nie przywieziono ich do Warszawy, jakby w obawie czegoś tajemniczego, groźnego, a umieszczono w Górze, w koszarach artylerji gwardji, dokąd zjechali wkrótce Nowosilców i Kuruta celem prowadzenia in-dagacji...

Nowosilców prowadził ją ze zwykłą perfidją, uciekając się nawet do podstępów i udręk moralnych, lecz Łukasiński trzymał się poprzednich zeznań swoich, nie oskarżając nikogo, a Dobrzycki chciał nawet zamorzyć się głodem, i wogóle odmawiał wszelkich zeznań, i dopiero pod naciskiem Łukasińskiego udzielił pewnych szczegółów o związku kaliskim.

Badano jeszcze Węgrzeckiego i Machnickiego, lecz ci nic ważnego nie zeznali... Na tem poprzestał Konstanty, postanawiając całą sprawę umorzyć!

Wnet jednak po krwawem wstąpieniu na tron cara Mikołaja I wypłynęła znów na widownię, porywając nowe ofiary, szukając żeru dla nigdy niesytego Molocha pomsty obrażonego i okrutnego despoty...

Na wieść o krwawej rozprawie cara z Dekabrystami, lęk i przerażenie ogarnęły całe społeczeństwo, które spodziewać się poczęło najgorszych dla siebie wyników z rządów słynącego z bezwzględności, wie-

rzącego głęboko w swe boskie posłannictwo, a jednocześnie tępego umysłowo despoty, jakim był Mikołaj I. Wielu dalej widzących patriotów, z przerażeniem czuło, że był konstytucyjny Polski jest poważnie zagrożony, że z najmnieszego powodu rozpocznie się srogi ucisk, że jarzmo niewoli stanie się znacznie cięższem...

Car jednak zrazu okazała się przewidującym politykiem... Zagrożony rewolucją w Rosji, mając wciąż jeszcze przed oczyma krwawe widmo Dekabrystów, nie śmiał się ważyć na ostrzejsze wystąpienie przeciwko Polakom, nie chciał budzić tam przedwcześnie wybuchu rozpacz, gdyż wiedział dobrze, że w owym czasie głośnem echem odbiłby się on w Rosji, znalazłby tam oddźwięk i poważnie mógłby zachwiać podstawami carskiego tronu, a może nawet i wręcz go wywrócić...

Car był przezorny, car był ostrożny...

To też w manifestie swym do Polaków, ogłoszonym w dn. 25 grudnia 1825 r. zapewniał, że panowanie jego będzie dalszym ciągiem panowania Aleksandra, przyczem nie brakło i słowa „przysięgi“, że wszelkich wolności, konstytucją zastrzeżonych, ściśle przestrzegać będzie...

Lecz z manifestu tego wiało takim zimnem lodowatym, był tak suchy, jakby go kaprał moskiewski, a nie król panujący pisał, nie zapowiadał żadnych zmian na lepsze, natomiast zmroził wszystkich, nadzieję lepszej przyszłości odebrał, a gorliwych patriotów w smutek i przygnębienie pogrążył.

Wszakżeż pozostawał w Polsce Konstanty i cała sfera czynowników moskiewskich z Nowosilcowym na czele, a czyż przy nich mogły być jakiekolwiek zmiany na lepsze przeprowadzone?... czy dopuszczają oni do tego?... czy zrzekną się władzy, zaszczytów... i dochodów?...

W to nikt nie wierzył i wierzyć nie mógł...

Zresztą przyszłość rychło bardzo dowiodła słuszności tych obaw...

Toć nieszczęsny Łukasiński siedział wciąż jeszcze w lochu więziennym, a nienasycony w swej zemście Konstanty, torturami, głodem i biciem zmusić go chciał do zeznań, któreby mu nowe ofiary dały...

A z nadnewskiej stolicy nadchodziły wieści coraz groźniejsze, coraz straszniejsze o niezliczonych aresztowaniach, wyrokach śmierci i tysiącach zesłańców do kopalń sybirskich... Mściwy car słał na śmierć i męki katorgi nie tylko samych spiskowców, ale i rodziny ich, i przyjaciół, i wszystkich tych, na których choć cień podejrzenia padał... A mękę zesłania poprzedzały straszliwe męki tortur, prowadzonych nie raz pod osobistym kierunkiem samego cara...

I oto naraz, jak grom, rozeszła się wieść, że pod wpływem tortur wycisnąć zdołano z nieszczęsnych Dekabrystów zeznania, iż spisek ich pewnemi, nader wątpliwościami, związany był ze spiskiem polskim, i trwoga straszliwa przeszła nad ziemią polską... Nikt nie był pewien dnia ani godziny, i nikt nie wiedział nawet, kiedy na dom jego runie zgraja zbirów, by powlec go do więzienia...

A zbirzy moskiewscy pracowali gorliwie, gdyż w krótkim przeciągu czasu zbrakło miejsc dla aresztowanych w więzieniach warszawskich i nowe lochy szykować dla nich trzeba było...

Car Mikołaj, poczuwszy się pewniejszym w Rosji, pokazał Polsce swe wilcze kły i pazury...

VII.

Przed samymi nieomal świętami Wielkanocnymi r. 1826, przypadającymi w pierwszej połowie kwiet-

nia, w sam poniedziałek wielkiego tygodnia ściśle powiadziawszy, otrzymał Wysocki, — „za dobre sprawowanie“, jak podkreślił wyraźnie oficer - instruktor, dając mu przepustkę, — pozwolenie wyjścia na miasto i przebywania tam aż do północy...

Pozwolenia te były w czasach owych rzadkością, gdyż z niewiadomych powodów, od czasu ostatnich wielkich aresztowań, wstrzymano je prawie że zupełnie...

Wysocki, rad wielce z uzyskanej możliwości wychylenia się poza mury koszar, zobaczenia, jak mówił, innych twarzy, niż te, które widział dotychczas, a zarazem odetchnięcia świeżem powietrzem i zdobycia upragnionych wiadomości, po należytem wypucowaniu munduru, ażeby zaraz na wstępie, w razie spotkania księcia lub którego z jego adjutantów, na karę nie zasłużyć, około godziny czwartej z południa wyszedł na miasto...

Ciepłe podmuchy wiosenne dawały się już uczuwać, na stokach wzgórzy przy Agrykoli i w Łazienkach kielkowała już bujnie trawa, a pączki drzew, nabrzmiałe i błyszczące, groziły lada chwila pęknięciem i okryciem świeżą zielenią liści. Na krzakach widniały już drobniutkie listeczki, śmiało rozwijające się po wydobyciu z niewoli zimowych powijaków.

Wysocki, oddychając pełną piersią, szedł Alejami Ujazdowskimi ku Nowemu Światu, by minawszy go, zapuścić się w ulice miasta, by spotkać znajomych, których nie widział oddawna i nagadać się z nimi dowoli...

Miasto, przez ten czas, kiedy nie mógł uzyskać przepustki, nie zmieniło się wcale, — zauważył z po ciechą: te same brudne, pełne błota i wybojów ulice, te same chałupki drewniane, nawpół zawałające się nieraz między murowanymi piętrowymi kamieni-

cami, — lecz natomiast zmienili się znacznie ludzie, — co już spostrzegł z mniejszem zadowoleniem.

Na ulicy znać było ruch przedświąteczny... Wyboistym środkiem Nowego Świata, grzęznąc w błocie po osie, toczyły się fury, wyładowane towarami, czasem przemknęła się karoca, którego z magnatów, w czwórkę koni zaprzężona, czasem znów karjolka w parę koni w lejc, którą powoził jakiś według ostatniej mody przyodziany elegant.

Lecz na twarzach ludzkich nie było znać radości z nadchodzącej wiosny.. Wyrity był na nich jakiś smutek, jakby strapienie jakieś tajemne, dręczące wszystkich, a starannie w głębi duszy ukrywane.

Snuły się dość gęsto patrole, a czasami przeszedł oddział wojskowy...

Ażeby zasięgnąć bliższych informacji o sprawach publicznych, postanowił Wysocki w pierwszym rzędzie zajść do popularnej kawiarni Honoratki na Miodowej, będącej głównem ogniskiem wszelkich wiadomości, spodziewając się spotkać tam kogo ze znajomych...

Wstąpił po drodze do katedry św. Jana, gdzie krótko, lecz gorąco modlił się przed ukrzyżowanym cudownym Chrystusem...

Kościół, mimo pory popołudniowej, był szczelnie wypełniony, a na twarzach modlących się widać było oprócz smutku, jakieś żarliwe błaganie, jakąś prośbę serdeczną, ażeby Pan nad Pany modłów ich wysłuchał i zło, które nad głowami wszystkich wisiało, odwrócić raczył.

Wyszedłszy z kościoła, przez Stare Miasto, Piekiełko, Rycerską i Kapitulną, wyszedł na Miodową.

Wobec zapadającego zmierzchu mrok już w Honoratce panował, a płonące lampy i świece nie bardzo rozpraszały ciemności, zwłaszcza, że kłęby dymu

tytuniowego spowijały wszystko i wszystkich w szaro-błękitną mgłę.

Wysocki, wszedłszy do wnętrza, oszołomiony został zrazu panującym tam gwarem... Nizko sklepienna, o ścianach niegdyś bielonych, sala kawiarniana przepelniona była rojem gości różnego wieku, rodzaju i stanu.

Byli tam młodzi i starzy, szlachta i mieszczenie, urzędnicy i wojskowi, a wszyscy siedząc przy stolikach, przy szklanicach wina lub piwa, rozmawiali, pochyleni ku sobie, szeptem, który przypominał sobą brzęczenie ula pełnego pszczół.

Usługiwały gościom fertyczne dziewczęta w czystych sukienkach i fartuszkach, w zalotnych czepeczkach, roznoszące na tacach żądane napoje, a na wszystko baczne oko miała, królująca przy wielkim bufecie, sama gospodyni, popularnie Honoratką zwana...

Wysocki przeciskać się zaczął między stolikami, poszukując znajomych, gdy naraz powstrzymał go okrzyk:

— Panie Piotrze, prosimy do nas...

Obejrzał się, ażeby zobaczyć, kto go wzywać może, i ujrzał siedzącego przy stole dawnego koleżę, Cichowskiego Seweryna, a przy nim Ponińskiego Stanisława, również byłego podchorążego, oraz dwóch cywilnych, których nie znał...

Podszedł, przywitał się, a przedstawiony owym cywilnym, Rupniewskiemu Nikodemowi i Józefatowi Ostrowskiemu, zasiadł przy ich stole, a wnet zawezwana przez Cichowskiego fertyczna panna Zosia, postawiła przed nim lampkę wina, darząc go przytem jednym z najmiłszych uśmiechów.

Rozmowa toczyła się zrazu o rzeczach obojętnych, o sztuce, niedawno wystawionej w teatrze Narodowym, o wspólnych znajomych, o wiośnie, o zbliżają-

cych się świętach, aż wkońcu, jakby obowiązkowo, zesłała na sprawę publiczną...

Wszczął ją Cichowski, zwracając się do Ostrowskiego, na którego twarzy, mimo sypanych żartów, widniał smutek i jakby ból utajony, z zapytaniem:

— Panie Józefacie, co panu jest, czy pan nie chory czasem, że taki smutny?... Czy pana co nie boli?... —

— Czy mnie co nie boli? — odrzekł Ostrowski, machając ręką beznadziejnie i zniżając głos do szeptu: gnębi mnie ból, który przejmuję dziś każdego polaka... Te ustawiczne aresztowania... to gnębenie i męki braci naszych... Toż wygląda wszystko na to, że car i Konstanty w szale zemsty swej wszystkich najlepszych ludzi w Polsce do lochów chcą wpakować... Codziennie nieomal dziesiątki ludzi idą pod kluczyk... Każde niebaczone słowo, wyrzeczone przed komisją, każde doniesienie niezliczonej zgrai szpiegów, pociągają za sobą nowe i nowe ofiary... Zbrakło wszak już miejsca w więzieniu karmelickim zapchanym więźniami lochy pałacu brühlowskiego, zamieniono na więzienie klasztor marcinkanek, a gdy mało im tego, gdy zbrakło miejsc, przerobiono na więzienie lochy ratuszowe... tam, w tych ciemnych, wilgotnych podziemiach, gnije teraz kwiat młodzieży polskiej, gnije bezowocnie dla Polski... Przecież tam, lada chwila, na głupie doniesienie podłego szpiega, i my wszyscy znaleźć się możemy... A kraj cały, ogarnięty rozpaczą, ręce łamie bezsilnie, bezradnie, biernie oczekując na to, co z nim car i Konstanty uczynią, co zdecyduje sławetna komisja śledcza...

— A cóż kraj w chwili obecnej uczynić może? — spokojnie spytał Wysocki, który z uwagą słuchał słów Ostrowskiego.

— Co kraj uczynić może? — odrzekł tenże: zdobyć się na czyn, na mężki czyn! na wybuch, któryby

był jednym olbrzymim protestem wobec całego świata przeciwko tej samowoli i zbrodni...

— Na czyn, — rzekł wtedy Wysocki: lecz czyn ten pociągnąłby za sobą nowe setki i tysiące ofiar.. Wybuch w chwili obecnej porwałby ze sobą nieliczną garść zapaleńców, którzyby rychło ulegli przemocy i kraj w jeszcze większej niedoli pogrążyli, uniemożliwiając na długie lata walkę o wolność... Porą nie jest po temu... Spójrzmy trzeźwo, bez romantyzmu na sytuację... Car Mikołaj, po zdławieniu rewolucji w Rosji, jest teraz silniejszym, niż kiedykolwiek. Wojska moskiewskie, niewolniczo uległe, ażeby zmasać swą winę niedawnego buntu i pozyskać względy władcy, ruszyłyby na Polskę potężną lawiną, by zgnieść ją, zdławić, by pozbawić i tej odrobiny wolności, której jej zazdroszczą... A Europa?... Ogarnięta falą reakcji i despotyzmu władców, dla których Mikołaj jest symbolem silnej władzy, palcem-by nie ruszyła nawet, gdyby Polska padła zwyciężona, gdyby spłynęła potokami krwi niezliczonych ofiar... Radziłyby nawet temu byli, gdyż, zdaniem ich, zniknęłoby na zawsze zarzewie wiecznych buntów, wieczny protest przeciwko gwałtowi przemocy, wieczny wyrzut sumienia za zbrodnię na Polsce przez rozbiory dokonaną... Sytuację obecną najlepiej zrozumiał podpułkownik Krzyżanowski, gdy przed aresztowaniem swoim, namawiany przez przyjaciół, ażeby albo wsiadał na koń i rozpoczynał rewolucję, albo też uciekał, wybrał aresztowanie i nazajutrz znalazł się u Karmelitów, gdzie srogim torturom poddany został...

Słuchali z zajęciem tej spokojnej napozór, a jednak mimo szeptu pełnej zapału i gorącej miłości dla sprawy przemowy jego, gdy naraz Rupniewski trącił go w łokieć niby niechcący i mrugnął znacząco...

Umilkł Wysocki i obejrzał się, zdumiony tem jakby ostrzeżeniem... Zobaczył zbliżającego się do stolika

młodego jeszcze człowieka, o twarzy zniszczonej, żółtej, na której szczególną uwagę zwracały oczy, czarne, biegające na wszystkie strony, jak myszy, otulające wszystkich jakby przylepiającem się spojrzeniem, pragnącem wdrzeć się we wszelkie tajniki duszy...

Osobnik ten podszedł do nich, zdjął kapelusz i z przesadnie uprzejmym ukłonem rzekł:

— Waszmość panowie darują... W sali tak pełno, że miejsca znaleźć nie można... Pozwólą mi panowie przysiąść się do ich stolika i wypić filiżankę kawy...

Słuchali go ze zdziwieniem, gdyż zaskoczyła ich ta propozycja, zwłaszcza, że miejsc przy innych stolikach nie brakło... Nie wiedzieli, co odrzec mają nieproszonemu gościowi, gdy naraz Rupniewski wybuchnął głośnym śmiechem i odrzekł również głośno:

— Mości Kowalski, na cóż ta maskarada?... Poznałem waści zaraz, choć strój zmieniłeś... Nie pasuje on jakoś do ciebie... lepiej ci było w kapocie... Siadaj sobie, siadaj, i słuchaj, o czem gadamy... Rozmawiamy o naszych sprawach sercowych, a te chyba nie interesują ani ciebie, ani twego patrona pana wiceprezydenta Lubowidzkiego...

Te umyślnie głośno wypowiedziane słowa zwróciły uwagę ogólną na sali, gwar ucichł i wszyscy od stolików w tę stronę ciekawie odwracać się zaczęli, a jegomość, nazwany przez Rupniewskiego imię Kowalskim, zawrócił na pięcie, wtłoczył na głowę kapelusz i spiesźnie wyszedł z kawiarni, mocno trzasnąwszy z irytacji drzwiami.

Biegły za nim wślad śmiechy i drwiny, a słowo „szpieg“ dość gęsto się powtarzało....

Zdumieni słuchali tego wszyscy zebrani przy stoliku, a Rupniewski objaśnił im:

— Jegomościa tego znam dobrze... Jest to ex-czeładnik szewcki, Kowalski, który przed dwoma laty

jeszcze łątał cnotliwie buty na Zapiecku... Sprzykrzyła mu się jednak ciężka praca na stołku i zapragnął lekkiej a dobrze płatnej, to też zaciągnął się do Lubowidzkiego... Spotykam go też od czasu do czasu przy pracy w różnych przebraniach i zawsze demaskuję go... Próbował mścić się na mnie za to, sprowadził nawet rewizję, lecz nic nie znaleźli... Potrzymani mnie też parę dni u Karmelitów i wolno puścili... Widzę jednak, że rozmowa nasza, na temat tak ciekawy, spokojnie tutaj prowadzoną być nie może... Może się tu znaleźć więcej szpiegów, którzy podchwyciwszy jakie słówko, doniosą na nas i możemy mieć nieprzyjemność... Proponuję więc panom przeniesienie się do mnie... Tam będziemy mogli mówić swobodnie, bez żadnych przeszkód, a znajdzie się przytem i lampka niezgorszego wina...

Przystali na to chętnie i zapłaciwszy należność, znaleźli się w krótkim czasie w zacisznym, gustownie umeblowanym pokoju przy ul. Podwale, gdzie zasiadli wokoło stołu, na którym stały butelki z winem i pełne tegoż kielichy...

Gdy już zajęli miejsca, rzekł Rupniewski:

— A może teraz pan Wysocki zechce kontynuować dalej swe wywody... Są one bardzo ciekawe...

— Ja już skończyłem, — rzekł krótko Wysocki, a wtedy odezwał się Ostrowski:

— Tak, to jest wszystko słuszne, co mówił pan Wysocki, o ile brać wszystko pod rozwagę i rozstrzygać sprawy tylko zimnym rozumem... Lecz niezawsze ten zimny rozum decyduje o zwycięstwie... Nawet wtedy, gdy wszystko zdaje się być obliczonem z matematyczną ścisłością, gdy rozważono wszystkie pro i contra, w ostatniej chwili wypaść może jakaś nie wiadoma, która cały rachunek zburzy i w niwecz obróci... Toż samo ma się z wszelkimi walkami rewo-

lucyjnymi... Wszelkie wyliczenia, wszelkie przygotowania zawieść muszą, gdy w grę wchodzi zapal, który porywa masy, zdolne do stworzenia cudów... I mam wrażenie, że poryw taki, zwłaszcza połączony z jednoczesnym wybuchem rewolucji w Rosji, rewolucji, obalającej tron carów, dopiąłby swego i wolność Polsce wywalczył...

Ironiczny uśmiech przewinał się po ustach Wysockiego...

— Panie Ostrowski, — odrzekł: pan ma usposobienie wielce zapalne i daje się porwać romantyzmowi, którego jest pan, jak widzę, gorącym zwolennikiem i wytrwałym wyznawcą... Lecz niech pan pamięta, że romantyzm jest obecnie w Polsce nietylko w poezji, ale i w polityce nie w modzie, że zwalcza go zawzięcie klasycyzm, a ten jest zawsze chłodny, zrównoważony, obcy wszelkim porywom... Długi też jeszcze czas upłynie zanim romantyzm zwycięży, zanim głosząca go młodość przyjdzie do głosu... Teraz zarówno w polityce i w życiu, jak i w poezji, głos mają starcy — klasycy, którzy wszystko zaraz podciągają pod miarę rozumu, i którzy w razie jakiegoś wystąpienia garści zapaleńców, wnet podnieśliby alarm: Ojczyzna ginie! — gdyż gubią ją niewczesne porywy, łamiąc ustalony już porządek prawny, doprowadzając kraj do nędzy i ruiny... Pan, panie Ostrowski, bujając w obłokach, nie widzi tego, że dla większości, zwłaszcza tak zwanych czołowych przedstawicieli narodu, pozostających jeszcze pod czadem słodkich słówek i zapewnień Aleksandra, i wierzących niezłomnie, że Mikołaj będzie jego naśladowcą, Ojczyzna kończy się na granicach jego folwarku, i gdy jemu dobrze się dzieje, sądzi, że i w całej Ojczyźnie jest dobrze, i dlatego pragną, ażeby ten dobrobyt i spokój pozostały jaknajdłużej niezamąconymi... I oni, wierzajcie mi, panowie, pierwsi powstaną i kamienie

potępienia rzucą na tych, którzyby im spokój ten i dobrobyt odebrać chcieli... Przejrzyjcie dzieje insurekcji Kościuszki, czytajcie o trudnościach i przeszkodach, jakie w pracy swej dla dobra Polski napotykali Batory, Sobieski i inni królowie, o potęgę państwa dbający... Eh, co tam mówić, takich panów sobków, niestety, w naszej społeczności jest większość... Mówisz o Rosji... Wierzysz jeszcze, że łączny wybuch mógłby być przynieść korzyść Polsce... Złudzenie, romantyczne złudzenie... Czyż rewolucja grudniowa w Petersburgu nie otworzyła ci oczu?... Czyż nie spostrzegłeś, że oprócz paru szlachetnych, godnych uwielbienia jednostek, które męczeństwem bohaterski swój porów okupiły, — reszta to gromada nikczemnych niewolników, płaszcących się uniżenie przed tupnięciem buta carskiego, myślących tylko o zachowaniu dobrobytu, zdobyciu zaszczytów i majątku, choćby za cenę spokoju i hańby niewoli... Czyż nie nauczyło cię jeszcze prawdy to ohydne wyparcie się towarzyszy buntu nawet przez samych uczestników jego?... O, długie jeszcze lata upłyną, zanim Rosja otrząśnie z siebie jarzmo niewoli tyłowiekowej i stanie się wolnym, równym innym, narodem... Twierdzisz, że zwycięstwo rewolucji w Rosji, poparte przez nas, przyniosłoby Polsce wolność! O jakże się mylisz! Wszakże wiadomo, że zarówno Krzyżanowski, który z nimi pertraktował, jak i komitet spiskowy, wyrzekli się dalszych rokowań, widząc bezowocność swych usiłowań... Wszak z wyjątkiem Pestla ani jeden ze spiskowców moskiewskich nie chciał nawet i słyszeć o złączeniu z Polską Litwy i Rusi, o daniu niezależności Polsce. Niektórzy z nich, marzyciele, mieli myśli o stworzeniu wielkiej federacji ludów słowiańskich pod hegemonją Rosji, nie zastanawiając się nawet nad tem, że dla nas, dla polaków, tak różnych od nich kulturą, wiarą, tradycją i wszyskiem, myśl ta jest nie do przyjęcia,

że garść narodu polskiego utonęłaby w morzu słowiaństwa rosyjskiego, i że sama ta idea jest dla nas niebezpieczniejszą od ucisku i znęcania się Konstantego i Mikołaja, gdyż te hartują tylko ducha narodu, czynią go odpornym i budzą ustawiczną myśl o zdobyciu niepodległości, podczas, gdy tamta doprowadziłaby do stopniowej utraty hartu i odporności, przyczyniłaby się do zlania polaków z moskalami, wytwarzając z nich odłam narodu rosyjskiego, jedno z licznych plemion słowiańskich, zaludniających olbrzymie terytorjum Rosji...

Ze zdumieniem i uwagą słuchali wszyscy tych głęboką mądrością natchnionych wywodów tego sierżanta szkoły podchorążych, który, zdawałoby się, poza sztuką i nauką wojskową, niczem innym nie interesował się, a który, oprócz trzeźwości sądów, zdradzał taką wprost zdumiewającą znajomość rzeczy... Mimo woli też Ostrowski, mimo różnicy poglądów, zgodzić się z wywodami jego musiał. Próbował jednak do ostatka bronić swego zdania i rzekł:

— Więc pocóż te ofiary, pocóż te cierpienia setek więźniów, gdy zdaniem pana dobro Polski wymaga, ażeby dotychczasowy stan rzeczy pozostał?...

— Ofiary?... cierpienia? One są niezbędne, gdyż w ogniu ich hartuje się dusza narodu, ofiary budzą sumienie narodu, wytrącają go z błogości dobrobytu i nasuwają myśli niepokojące o zemście... Słuchając opisów cierpień męczenników, najbardziej nawet odporni nie mogą pozostać obojętnymi i przejmują się odruchowo nienawiścią i obrzydzeniem do sprawców tych cierpień... Czyż pan sądzi, że opowieść o tem, jak Łukasziński, sprowadzony z Góry do Warszawy dla konfrontacji z nowymi więźniami odsłonił tylko przed komisją swe rany, torturami zadane, i zapytał, czy można się z tem liczyć, co w katuszach nieprzytomnie zeznawał, nie wzruszy nikogo?... Wszak wieść niesie,

że straszny widok bohatera, stojącego przed komisją, jak krwawy wyrzut, przyobleczony w łachmany więzienne, nawet sędziów przejął dreszczem i wprawił w odrętwienie... A cóż dopiero wrażliwe uczucie narodu?...

A czyż wieść o tem, jak Andrzej Plichta zachowuje się podczas badań, że komisja nie indagować, ale krwawe walki z nim staczać musi... Albo o tem, jak Sabiński oburzony do żywego zeznaniami, jakie w obecności jego składał jeden z nielicznych na szczęście zdrajców, ks. Jabłonowski, porwał się na nieszczęsnego, chwycił go za gardło żelaznymi rękoma i wobec całej komisji jął dusić straceńca, a gdy mu w tem przeszkodzono, wówczas doprowadzony do szału, sam sobie gardło poderżnął...

Albo o straszliwych mękach i torturach Krzyżanowskiego i tylu innych, którzy zwycięsko opierają się pokusom komisji, — czyż te opowieści nie są zdolne dokonać tego, czego by nie dokonało tysiące agitatorów... Ofiary te stanowią podłoże, stanowią grunt, na którym kiedyś wejdzie i zakwitnie wspaniałe drzewo wolności narodu...

Zapał, z jakim mówił Wysocki udzielił się wszystkim, a zwłaszcza Ostrowskiemu, który porwany nim, rozgorączkowany, wykrzyknął:

— Lecz kiedy to nastąpi? — kiedyż nadejdzie ta chwila upragniona?...

— Trzeba czekać... — Czas musi zrobić swoje... — Chwila ta jest bliższą może, niż nam się zdaje... lecz nie należy jej przyspieszać niewczesnymi porywami, które tylko szkodę przynieść mogą...

— Ale trzebażby już działać, grunt przygotowywać, zawiązywać organizacje, — gorączkował się Ostrowski.

Uśmiechnął się na to Wysocki i odrzekł:

— I znów zapelnąć więzienia moskiewskie, znów

dawać ofiary... nie, to zadrogo kraj kosztuje... dosyć już tych ofiar, teraz trzeba przestać bawić się w dziecinne organizacje i spiski, a wziąć się energicznie do pracy nad obudzeniem dusz i sumień narodu... do zjednoczenia wszystkich dla jednego wielkiego celu...

Cisnęły się wszystkim pytania, jak to on tę pracę sobie wyobraża, lecz Wysocki, spojrzawszy na zegarek, wstał, oznajmiając, że późno już jest, że musi odejść, ażeby nie spóźnić się do szkoły na oznaczoną godzinę...

Pozegnali się więc, wychylili ostatnie lampki wina i Wysocki wyszedł...

Zaledwie opuścił bramę, od ściany przeciwległego domu odkleiła się postać tak haniebnie wydrwionego i zdemaskowanego przez Rupniewskiego szpiega, wytrwale czatującego na niego w pragnieniu zemsty, i skradając się, podążyła za nim.

Wysocki z Podwala przez Plac Zamkowy wyszedł na Krakowskie - Przedmieście i podążył prosto w stronę Alei Ujazdowskiej, do koszar... Ciemności na ulicy panowały wielkie, ledwie rozjaśnione umieszczonymi gdzieś gdzieś lampami olejnymi, rzucającymi mdłe światło na niewielkiej przestrzeni... Pusto na ulicach było zupełnie, zrzadka napotykał spóźnionych przechodniów, czasem przeszedł ront policyjny, lub przemknął się powóz... Na Nowym-Świecie minął go pędzący galopem kozak cesarzewicza, wiozący snąc jakieś pilne pismo do Belwederu...

Zbliżył się już prawie do Wareckiej, gdy naraz instynktem raczej przeczuł, niż posłyszał, że ktoś za nim idzie... Mimowoli obejrzał się i w słabym świetle lampy olejnej dojrzał skradającą się pod ścianami domów jakąś postać... Z nienaturalnych, niepewnych jej ruchów domyślił się, że to jakiś szpieg podąża za nim, i postanowił przekonać się o tem...

Przeszedłszy jeszcze pewną przestrzeń, skreślił nagle w Chmielną i ukrył się w mroku, za załamem mu-

ru... Szpiegująca go postać przesunęła się dalej i z pewnym trudem, mimo ciemności, poznał w niej imię pana Kowalskiego...

— To ty, bratku, mnie szpiegujesz, — szepnął: czekaj, dam ja ci nauczkę.

Przeczekał jeszcze czas pewien i ostrożnie za szpiegiem posuwać się zaczął, obserwując go bacznie...

Szpieg doszedłszy do Jerozolimskiej spostrzegł dopiero, że osobnik, za którym szedł, znikł bez śladu... stanął zdziwiony i z głupią miną rozglądać się zaczął wokoło...

Naraz poczuł, jak czyjeś silne uderzenie wtlacza mu kapelusz na głowę, tak że zakrył mu on oczy, a jednocześnie posłyszał cichy szepot:

— Milcz, jeżeli ci życie miłe i chodź za mną...

Zdrętwiał szpieg i chciał krzyczeć, lecz gdy jednocześnie poczuł uklucie sztyletu w pierś, zamilkł i posłusznie poszedł za tajemniczym napastnikiem...

Wysocki, ujawszy go za kołnierz, prowadził w dół, niedawno przebitej ku Wiśle, spadzistej ulicy Jerozolimskiej, pustej zupełnie i niezamieszkałej, a znalazłszy się na dole przy Solcu, zatrzymał się, szybko ściągnął z niego elegancki fraczek, rozdarł go bez ceremonji na połowę, jedną skrępował mu nogi, drugą rękę w tyle, nie omieszkawszy szczerle zakneblować ust, poczem wniósłszy go pracowicie po stromem zboczu na szczyt wzgórza, porzucił tam pod płotem, mówiąc:

— Poleżysz tu sobie do rana, chłód nocny oduczy cię od szpiegowania spokojnych obywateli...

To rzekłszy, śpiesznie oddalił się Solcem do Czerniakowskiej, a stamtąd do Agrykoli, do koszar.

Zmarznętego i zdrętwiałego szpiega za dnia dopiero znaleźli jadący na targ i zawiadomili o nim ront policyjny. Z trudem doprowadzono go do przytomności, lecz opowiadanie jego było tak chaotyczne i niewyraźne, że przesłuchujący go wice-prezydent Lubo-

widzki machnął ręką i zekpał go w najstraszniejszy sposób, zwłaszcza za zniszczenie skarbowego a tak eleganckiego stroju...

Od tego czasu imię panu Kowalskiemu, uznanemu przez zwierzchników za niedołęgę, nie powierzano żadnej delikatnej roboty szpiegowskiej...

A Wysocki, zdążywszy na apel do szkoły, położył się spać na swoje twarde łóżę, rad w głębi duszy z fi-gla, wypłatanego szpiegowi... Rozumie się, że z tem przed nikim się nie pochwalił...

VIII.

Upalne noce lipcowe 1827 r. podchorąży Wysocki spędzał bezsennie...

Pierś jego rozsadzało jakieś dziwne pragnienie wolności, z niecierpliwością oczekiwał chwili, gdy rozewrą się przed nim wrota szkoły, gdy pozbędzie się choć częściowo pęt dyscypliny szkolnej, tak uciążliwej i męczącej, krępującej swobodę ruchów...

Czuł się straszliwie zmęczonym, do czego w pierwszym rzędzie przyczyniły się egzaminy, związane obowiązkowo z ukończeniem szkoły, egzaminy nie tyle z przedmiotów teoretycznych i wiedzy ścisłej, ile z ćwiczeń i obrotów taktycznych, na które główny nacisk kładł wysoki protektor szkoły, cesarzewicz Konstanty.

Przebrnął przez to wszystko Wysocki i od maja był już nominowany na podporucznika gwardji, gdy naraz stało przed nim nowe zagadnienie, dręczące go wielce, wzbudzające niepokój i zmuszające do głębokiego zastanowienia się nad tem, co mu czynić należy...

Za parę dni złożyć ma przysięgę na wierność...

Przysięgę, którą uważał za świętość i której złamać honor mu za żadną cenę nie pozwalał.

Znał dobrze jej formułę i powtarzał ją nieraz, rozważając, co mu czynić należy.

Brzmiała ona:

„Ja, Piotr Wysocki, przysięgam Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, iż Najjaśniejszemu Mikołajowi I Cesarzowi Wszech Rosji, Królowi Polskiemu, Panu naszemu miłościwemu i Jego Następcy, Cesarzewiczowskiej Mości, Wielkiemu księciu Aleksandrowi Mikołajewiczowi wiernie służyć i w pokoju lub wojnie tak się sprawować będę, jak wojskowemu honor kochającemu przystoi. Obiecuję powinności mojej we wszystkim zadośćuczynić i wszelkie rozkazy Zwierzchności z winnym wykonywać posłuszeństwem. Nietylko zaś wszystko, coby ku zdradzie lub szkodzie Jego Cesarsko - Królewskiej Mości i Ojczyzny mojej zmierzać mogło, przestrzegać i oddalać przyrzekam, oraz w każdym zdarzeniu dla dobra Ich i chwały przelewać krew i życie poświęcać, za uroczysty przyjmuję obowiązek. Tak mi Boże dopomóż i niewinna Syna Jego męka“...

Przysięgę tę składać miał na wierność carowi, którego uczucia względem Polski dobrze mu znane były...

O obowiązkach względem Ojczyzny wspomniane w niej było tylko ubocznie, a gdy car przeciwko tej Ojczyźnie wystąpi, jak mu postąpić należy?...

Czyż wtedy ta przysięga na wierność carowi obowiązywać go będzie?... Czy nie przyniesie honorowi jego ujmy, gdy tę przysięgę złamie?

W udręce tej dusznej zmagaly się w nim dwa pojęcia: komu był w pierwszym rzędzie winien zachować wierność: carowi czy Ojczyźnie? Jak ma postąpić, gdy ktoś stanie ku zdradzie Ojczyzny lub działać będzie na jej szkodę, a zwłaszcza, gdy tym kimś bę-

dzie sam car, którego w tej przysiędze połączono z Ojczyzną?...

W tym wypadku musiał przecież postąpić wbrew przysiędze, wbrew honorowi, o którym przysięga wspominała...

Nad tem, po czyjej stronie w tym wypadku by stał, nie rozmyślał wcale... To już dawno zdecydowane zostało w sumieniu jego...

Wszakżeż Ojczyzna pierwszą była od cara i po jej stronie stanąć był powinien...

I powoli z tych przeróżnych powikłanych problemów przysięgi wyłaniała się jedna wielka prawda...

Przysięgi swej w stosunku do cara winien dotrzymywać dotąd, dopóki ten car nic na szkodę lub zdradę Ojczyzny czynić nie będzie... Gdy tylko jednak car w stosunku do Polski złe zamiary okaże, gdy na wolność jej dybać pocznie, — Ojczyzna musi być pierwszą i z przysięgi swej względem cara rozwiązany będzie...

I nie przyniesie to ujmy żadnej honorowi jego, gdyż właśnie ten honor, honor Polaka, zawsze Ojczyźnie na pierwszym miejscu stawiać mu każe...

Przyjście do takiego ostatecznego wniosku, uspokoiło go znacznie...

Tak, w tych warunkach, złożyć przysięgę może...

I w dniu 16 lipca 1827 r. w obozie pod Powązkami, w obecności dowódcy pułku grenadierów gwardji, podpułkownika Józefa Zdzitowieckiego, oraz kapelana tegoż pułku, ks. Midowicza, złożył ją uroczystie wraz z kolegami, którzy z nim razem szkołę ukończyli...

Składał ją blady i przejęty ważnością chwili, a gdy podpisał uroczysty akt jej, westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi.

Skończył się pierwszy etap jego życia... Z ucznia szkoły podchorążych, z pionka, podległego rozkazom przełożonych, z sierżanta, stawał się oficerem, wcho-

dził do wielkiej rodziny oficerów wojska polskiego...

Otwierało się przed nim szersze znacznie pole działania, które go prędzej mogło doprowadzić do celu, o którym marzył od tak dawna...

IX.

Nic a nic się nie zmieniło w Polsce w r. 1827 i 1828, a nawet jakby pogorszyło... Lochy więzienne, jak i przedtem wypełnione były, w całym kraju nie było prawie rodziny, któraby nie była okryta żałobą, a ucisk, gnębienie wolności rosły, potężniały z każdą chwilą...

Karnawał w r. 1827, w wesołej i gwarnej zazwyczaj stolicy, głuchy był i posępny. Pod pozorem żałoby po zmarłym carze zaniechano ulubionych zabaw i tańców, smutek głęboki i powszechny panował we wszystkich towarzystwach polskich, sięgał nawet do Belwederu...

Powtarzano powszechnie słowa księżnej Łowickiej:

— Trudno myśleć o zabawach, kiedy niema prawie domu, któryby nie był dotknięty i nie ubolewał nad losem krewnego lub przyjaciela...

Takież samo usposobienie panowało i w r. 1828, z tą tylko różnicą, że opinia publiczna, podniecona toczącym się wtedy sądem sejmowym, stała się jeszcze bardziej drażliwą, że kobiety, bywające na zabawach w domach rosyjskich, ścigano nielitościwie, że na balu w Resursie kupieckiej, nakazanym przez policję w dn. 3 grudnia, nikt z Polaków się nie ukazał...

Wzburzenie ogólne rosło równolegle z postępem wielkiego procesu, obejmowało nie tylko ludność stolicy, ale i wojska, przywykłe do karności i bezwzględnego posłuszeństwa...

Wysocki, mianowany wkrótce po swem promowa-

niu na podporucznika gwardji, we wrześniu 1827 r., instruktorem szkoły podchorążych, wykładającym w niej taktykę, mając obecnie większą swobodę ruchów, bacznie śledził przebieg wypadków, żywo odczuwając wszystkie najcięższe zajścia i łącząc się z bólem całego narodu...

A w stolicy rozgrywały się sceny zaiste tragiczne...

Celem zbadania olbrzymiej ilości więźniów, ustanowiono specjalną komisję, na której czele stanął prezes Senatu, Stanisław Zamoyski. Należeli do niej oprócz niego, Stanisław i Franciszek Grabowscy, Nowosilcow, gen. Hauke, gen. Kuruta, gen. Mohrenheim, gen. Rautenstrauch, gen. Krywcow i Kołzakow.

Wieczorami, do rzesiście oświetlonych sal pałacu Brühlowskiego, gdzie zasiadała ta komisja, wprowadzano przywiezionych z więzień oskarżonych.

Spokojnie napozór, przy herbacie, roznoszonej przez liberyjną służbę wokoło, rozpoczynało się badanie, obfitujące w straszne, prawdziwie tragiczne epizody...

Cesarzewicz Konstanty i wierny sługa jego, gen. Roźniecki, sprawowali zarazem obowiązki kluczników i stróżów więziennych...

Na posiedzeniu komisji tej Konstanty toczył zacięty bój o oryginalnie przezeń pojęty honor munduru wojska polskiego, — oto starał się dowieść nie tylko przed carem, ale i przed światem całym, że żaden z oficerów w spisku udziału nie brał, że wojsko polskie, będące benjaminkiem jego, do czynów takich nie jest zdolne...

Komisja bała się opierać woli cesarzewicza, ograniczyła też śledztwo tylko do Krzyżanowskiego i Prądzyńskiego, i fantazji jego nie jeden z wojskowych ocalenie swe zawdzięczał.

Tem srożej za to mścił się na już uwięzionych i o winę poszlakowanych...

Okrucieństwo jego w postępowaniu z Łukasieńskim przeszło wszelką miarę.

Niegodnym i nieszlachetnym podstępem przymusił Krzyżanowskiego do zeznań...

Prądyński, przygnębiony więzieniem i znęcaniem się przy badaniu, chciał zamorzyć się głodem...

Rok cały trwała praca komisji, rok cały torturowano wprost oskarżonych, chcąc męką wydusić z nich zeznania, lecz wyniki tego trudu nikłe były bardzo...

Żadnych nowych szczegółów nie ujawniono, nie wykryto nawet śladów spisku, dążącego do powstania, a w całym oskarżeniu oprzeć się trzeba było na obciążających zeznaniach ks. Jabłonowskiego, który, zamknięty do Petersburga, stawiony przed carem i zastraszonego przez tegoż torturą, wszystko mu wygadał, sądząc, że tą szczerością gniew jego prześlagać zdoła...

Uzyskano to tylko, że dowiedziano się o porozumiewaniu spiskowców polskich z rosyjskimi, i że istniała jakaś organizacja, lecz szczegóły jej stanowiły tajemnicę...

Materiał ten był chwiejny i niedostateczny, kompromitował on w pewnym stopniu oskarżonych, można jednak było w ostateczności uformować z niego akt oskarżenia, i przez odpowiednie naciąganie faktów potępić ich...

Takie też były dążenia Konstantego i Nowosilcowa...

Tylko że pierwszy działał z pobudek nienawiści do dążeń wywrotowych zaledwie miłujących swą wolność Polaków, — drugi, przeciwnie, miał w tem swój własny, dobrze zrozumiany interes...

Gdyż wyrok skazujący obwinionych, potwierdzałby tylko raporty jego do Petersburga o buntowniczem usposobieniu Polaków, że Polska jest podminowana przez jakobinów, że on, jako stróż ładu i porządku,

był jedynym opatrnościowym mężem stanu, który te zgubne kierunki odkrył i w zarodku stłumić usiłował...

W tem oświeceniu Nowosilcow występował, jako wierny, gorliwy sługa carski, zwalczający prądy rewolucyjne, a wszystkie jego poprzednie gwałty i nadużycia, choćby śledztwo wileńskie, inaczej zgoła wyglądały...

A gdy śledztwo ukończono, wywiązał się nowy pojedynek, z napięciem uwagi i nerwów śledzony przez całe społeczeństwo polskie...

Nowosilcow domagał się stawienia obwinionych przed sądem wojskowym doraźnym, wiedząc dobrze, że tylko on jeden może wydać wyrok zgodny z życzeniami Konstantego i jego...

Przeciwstawił mu się śmiało minister skarbu, ks. Lubecki, który udawszy się z delegacją polską do Petersburga, zjednawszy tam sobie bystrością umysłu i śmiałością poglądów przychyłność cara, zdołał wyjednać to, że car w dn. 19 kwietnia 1827 r. na mocy art. 152 Konstytucji, nakazał zwołać Sąd sejmowy, celem wydania wyroku na oskarżonych o zbrodnię stanu.

Westchnieniem ulgi przyjął cały naród wiadomość o tem, gdyż była to pierwsza porażka Nowosilcowa, a zarazem jakby pewna, słaba coprawda wskazówka, iż car usiłuje przestrzegać praw, przez konstytucję zastrzeżonych.

Wszczęła się znów teraz walka około sądu sejmowego, gdyż zarówno naród, jak i Konstanty z Nowosilcowem, rozumieli dobrze, że od wyroku tego zawisły nieomal przyszłe losy Polski.

Wszelkie też wysiłki obydwóch stron skierowane były ku temu, ażeby umysły sędziów przychylnie dla swoich celów usposobić...

Przed sądem stanąć mieli: senator Sołtyk, pułkownik Krzyżanowski, Grzymała, Plichta, ksiądz Kon-

stanty Dombek, Stanisław Zabłocki, Roman hr. Zału-
ski i Franciszek Majewski...

Na pierwsze posiedzenie Sądu Sejmowego, wyzna-
czone na dz. 13 czerwca 1827 r., senatorowie stawili
się bardzo licznie, a ks. Adam Czartoryski, który usu-
nął się prawie że zupełnie od życia politycznego, w po-
czuciu ciężających na nim obowiązków, przybył aż
z Włoch, gdzie od dłuższego czasu bawił...

Przewodnictwo sądu, z woli cara Mikołaja, objął
najstarszy wiekiem osiemdziesięcioletni senator wo-
jewoda Bieliński, a prokuratorem został Antoni Wy-
czachowski, znakomity znawca prawa. W liczbie sę-
dów znaleźli się: arcybiskup warszawski Woronicz
i biskup sandomierski, Burzyński, cieszący się ogólną
miłością i szacunkiem.

I tu Konstanty nie mógł się powstrzymać od od-
działywania na sąd grozą postrachu. Pałac Krasiń-
skich, w którym posiedzenia Sądu się odbywały, oto-
czono zgrają sług i agentów policyjnych, galerje dla
publiczności zapelniono szpiegami, tak, że nawet naj-
bliższych krewnych tam nie dopuszczono, a posiadaj-
ący karty wstępu, musieli zapisywać nazwiska swo-
je w specjalnej księdze, narażając się w ten sposób na
zemstę carewicza i prześladowania policyjne.

Przed pałacem stanęła, pod nazwą straży honoro-
wej, poważna siła zbrojna: dwie kompanje piechoty
i szwadron ułanów, pod dowództwem wyższego ofice-
ra, a gdy mimo to publiczność zbierała się tłumnie,
ażeby przynajmniej zobaczyć oskarżonych, nakazał
Konstanty przywozić ich w karetach zupełnie zasło-
niętych, pod eskortą żandarmów...

Generałowi Dwernickiemu, dowodzącemu oddzia-
łem eskortującym więźniów do sali sądowej, nakazał
Konstanty rozdać żołnierzom ostre ładunki, a wtedy
dzielny generał oświadczył oficerowi, przysłanemu

z rozkazem, że w razie rozruchu strzelać do ludu nie
będzie...

Mścił się też lud warszawski na cesarzewiczu za te
wszystkie represje i zarządzenia, a to karteluszkami,
rozklejanemi po rogach ulic i rozdawanemi obficie, z
wierszami okolicznościowemi, satyrami, bajkami i ka-
rykaturami, oraz staczał bójki z policją, strzegącą pa-
łacu Krasińskich...

Policja konfiskowała te świstki, zaledwie jednak
zniknęły jedne, natychmiast na ich miejsce zjawiały
się nowe, równie jadowite, zuchwałe, rewolucyjne, że
zaś prasa, bacznie strzeżona przez Szaniawskiego, nie
mogła się wypowiedzieć otwarcie, więc ogół tem skwa-
pliwiej rozchwytywał te ulotki, gorąco a szczerze przy-
klaskując autorom.

Otóż wśród tych pisemek znalazła się odezwa, kra-
żąca w niezliczonych odpisach, a ciesząca się szczegól-
nem uznaniem publiczności, odezwa, która zatrzęsała
sumieniem niejednego Polaka, a w sercach wszystkich
odgłos znalazła...

Odezwa ta była zatytułowana:

„Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Kró-
lestwa Polskiego, z okazji Sądu Sejmowego“.

Było to dzieło Maurycego Mochnackiego, który dla
skuteczniejszego zakonspirowania swojej osoby, wy-
stąpił w masce obywatela z innej dzielnicy Polski i
przemówił jako starzec, stojący nad grobem...

A co mógł czuć i myśleć prześladowany widmem
szubienicy, grożącej ludziom, dla których żywił naj-
wyższą cześć i szacunek, to wyraziło się w piśmie.
I ból, i żal, i rewolucyjność autora, złączyły się w je-
den spiszowy dźwięk, i zahuczały jak dzwon, rozkoły-
sany potężnem uderzeniem.

Najpierw wykazał Mochnacki znaczenie, jakie Sąd
Sejmowy ma w oczach społeczeństwa, przedstawił na-
dzieje i obawy, wzbudzone w całym kraju, a choć wy-

rok skazujący nazwał zbrodnią i szatańską niegodziwością, nie uprzedzał wypadków, lecz do serc sędziów kołatał.

A kołatał przedziwnie, po mistrzowsku, genialnie: nie szafował błagalnymi słowy, lecz pytał np.: kto po wyroku potępiającym mógłby jeszcze miłować Ojczyznę? Dziwne pytanie, ale któryż z sędziów, czytając taką mowę, nie zadrżał, któryż z wahających się senatorów nie pomyślał o ogromie ciężącej na nim odpowiedzialności...

Mochnacki obiecywał sędziom wdzięczność narodu, ale jednocześnie groził pogardą całych pokoleń, jeśli by małoduszność wkradła się w serca senatorów.

„Jużby wtenczas, — groziła odezwa: — śmiało rzec trzeba, że nie na sejmie grodzieńskim, kiedy nieprzyjacielem Rzeczypospolitej działa i sprząta wojenne obrócił przeciwnie izbie radnej panów, nie pod Maciejowicami, ani w falach Elstery, ale teraz, wobec nas, na Sądzie Sejmowym, Polska zginęła... Całość Ojczyzny nierozdzielna!... Słowa te potężne i dzielne i nad miecz z obu stron ostrzejsze i nad wszystkie ptaki i anioły prędsze, przelecają jak dźwięk miedziany mimo uszu naszych? azaliż wydrzecie tę duszę z ciała Rzeczypospolitej, aby onej zwłoki snadniej podeptać mogli nieprzyjaciele? Co skoro się ziści, a nie dopuść tego, Panie! siwą głowę moją do końca życia mego, na znak żałoby, popiołem posypywać będę, i, osiadłszy gdzieś na puszczy, narzekać będę, że rodacy, senatorowie, wybrani starsi ojcowie ludu, nie pomnąc na potomność i sławę u postronnych, ostatni śmiertelny cios zadali wspólnej rodzicielce i karmicielce naszej“...

Kończyła się zaś ustępem, jakby zwiastującym bliską burzę rewolucyjną:

„Choćby nawet przyszło stracić tę Polskę, jaką dziś macie, to ją lepiej straciecie, aniżeli byście mieli

skazać na rusztowanie sam zamysł odbudowania całej i niepodległej!!!

Mimo zwrotów o „siwej głowie“, mimo wyrażen, przywodzących na myśl starczość autora, cała odezwa zdradzała krew młodą, burzliwą, namiętną. Niemal w każdym słowie syczała podeptana godność, a skroś kłęby perswazji przeblyskiwała groźba, jak sztylet przyczajony. Ale siła potępienia dorównywała przekonująca siła uczucia. Wdzierając się tą drogą do serc senatorów, Mochnacki grał później na zdobytych sercach, nastrojał je na ton górny i nawiązywał łączność pomiędzy gronem sędziów, a bezimiennym tłumem...

W tem tkwiła moc odezwy i tem się tłumaczy potężne wrażenie, jakie wywołała.

A rozgłos, jaki zdobywało pismo Mochnackiego, szumne pochwały, idące w ślad za nim, były wyraźną wskazówką, czego społeczeństwo oczekuje od sądu, i jakiego domaga się wyroku. To też „Głos Obywatela“ w zadumaniu czytali poważni senatorowie i porwani potężną wymową, zgadywali pocichu, kto był autorem tak niezwykłego pisma. Ale zgadywali nadaremnie. Wśród sędziów jeden biskup Woronicz posiadał tajemnicę. Pocziwy starzec, do głębi wzruszony odezwą, zawezwał do siebie autora, uściskał go i ze łzami w oczach błogosławił na dalszą drogę życia.

Wśród takiego naprężenia umysłów i tak zaciętej walki, w której terrorowi najeźdźców przeciwstawiano wzniosłą ideę i siłę ducha, zebrał się Sąd Sejmowy i z całą powagą, z całym zrozumieniem obowiązków i zadań, na nim ciężących, przystąpił do pracy...

Nie zawiódł Sąd pokładanych w nim przez społeczeństwo nadziei. Zaraz na pierwszym posiedzeniu wybrał komisję, która miała śledztwo na nowo przeprowadzić... Był to krok najważniejszy, sprawę całą rozstrzygający...

Tą decyzją zburzono odrazu cały sztuczny gmach

śledztwa, prowadzonego przez dotychczasową komisję śledczą w drodze administracyjnej, przy użyciu najniegodniejszych środków, zmuszających oskarżonych do zeznań, nie dających żadnej podstawy do oskarżenia.

Siedem miesięcy trwały te badania ponowne, a przed delegacją przesunął się cały korowód świadków z majorem Łukasińskim na czele, który pierwszy odwołał swoje poprzednie zeznania...

Odsłoniwszy przed przejętymi zgrozą sędziami pokrwawione plecy, wołał:

— Zważcie panowie, czy można wierzyć temu, co w tych boleściach zeznawałem?...

Tak samo zeznawali i inni...

Mozolnie krok za krokiem, prowadzona praca komisji śledczej, obaliła wszystkie misternie postawione zarzuty zbrodni stanu, stwierdziła, że towarzystwa tajne, dążąc do utrzymania narodowości i wskrzeszenia Ojczyzny, nie zamierzały nic innego, jak przeprowadzić do zupełnego skutku i utwierdzić to, co postanowienia Kongresu wiedeńskiego Polakom przyznawały i co cesarz Aleksander w mowach swoich niejednokrotnie obiecywał...

Pragnienie odzyskania niepodległości nie było także czynem karygodnym, gdyż Aleksander nadał byt odrębny Królestwu pod warunkiem połączenia z Rosją, a spiskowi o oderwaniu się od cesarstwa wcale nie wspominali...

Ze wszystkich zarzutów, podniesionych przeciw oskarżonemu, pozostawał tylko jeden, owo porozumiewanie się ze spiskiem rosyjskim na konferencjach kijowskich.

Lecz w tych okolicznościach Sąd, złożony z Polaków, tak samo czujących i myślących, jak i oskarżeni, nie mógł wydać wyroku potępiającego.

To też wyrokiem, ogłoszonym w dn. 10 czerwca

1828r., jednomyślnie, gdyż tylko jeden gen. Krasiński głosował za zupełnem potępieniem oskarżonych, pułkownik Krzyżanowski skazany został za stosunki ze spiskowcami rosyjskimi na trzy lata więzienia, Plichta, Grzymała i Ks. Dombek na trzy miesiące, kapitan Majewski na sześć miesięcy aresztu, z odliczeniem czasu spędzonego już w więzieniu. Pozostałych uniewinniono.

Jednocześnie przyszła wieść o wyrokach na oskarżonych w prowincjach zabranych, gdzie ustanowiono sąd osobny...

Spadły tam na nich kary o wiele sroższe: Mikołaj Worcell, Stanisław Karwicki oddani w żołdacy, Anzelm Iwaszkiewicz, Piotr Moszyński i Anastazy Grodecki poszli na Sybir, dwaj pierwsi na lat 19, ostatni na 15, inni, jak Marcin Tarnowski, Ludwik Sobański, Feliks Cisowski, Stanisław Jotejko, Wiktor Ossoliński odpokutowali udział w spisku dłuższem lub krótszem więzieniem w twierdzy, Michała Romera pozbawiono nadto urzędu marszałka i orderów, jednego tylko Antoniego ks. Jabłonowskiego ulaskawił car zupełnie, przez wzgląd na szczere wyznanie, osobiście przezeń uczynione z wynurzeniem żalu, oraz za szczególną gorliwość, z jaką dopomagał, aby odkryć wszelkie rozgągnięcia tajnych towarzystw.

Spółceństwo polskie odetchnęło z ulgą po ogłoszeniu wyroku Sądu Sejmowego.

Lecz jednak na tem nie skończyła się sprawa... Wyrok ten oburzył w wysokim stopniu zarówno Konstantego, jak i cara. Pierwszy z nich używał wszelkich sposobów godziwych i niegodziwych, ażeby zgubić oskarżonych; groźbą, postrachem, perswazją, nadzorem policyjnym trapił senatorów od początku do końca, a nie osiągnąwszy zamierzonego celu, uważał wyrok za zniewagę osobistą i słał do Mikołaja raporty, w których starał się dowodzić, że „sprawied-

liwość senatorów nie była bezstronną“ i że „Sąd nie opierał się ściśle na prawach“.

Car niemniej zgorszony od brata, widział w postąpieniu senatorów polskich czyn karygodny, zachętę do buntu i powstania.

Kiedy minister sekretarz stanu przedstawił mu w kwatrze głównej w Izmańlowie treść wyroku sądowego, powiedział:

— Uratowali winnych, lecz zgubili kraj...

Do Konstantego zaś pisał po odczytaniu sprawozdania prezesa Bielińskiego:

„Wnoszę stąd, że prezes Sądu Sejmowego tym raportem uchybił obowiązkom swoim względem monarchy, względem Ojczyzny i że sam powinien być o zbrodnię stanu oskarżony“.

Na żądę pomsty cara jednak był nałożony hamulec... Wyrok był opinią całego Sądu, pociągnięcie wszystkich senatorów do odpowiedzialności groziło w Polsce powstaniem, którego car, przystępując do wojny z Turcją, w chwili gdy wojska rosyjskie stojąc nad Dunajem, szykowały się do walki z potężnym nieprzyjacielem, obawiał się bardzo...

Podstępny car usłuchał głosu rozsądku i w milczeniu przyjął wyrok sądu...

Lecz Konstanty, którego dotyczyło to osobiście, nie mógł przejść nad tem do porządku dziennego. Powstrzymał ogłoszenie wyroku, senatorom kazał pozostać w Warszawie, a bratu doradził, aby zapytał się Rady Administracyjnej Królestwa: „czyli wyrok Sądu Sejmowego przypisać trzeba błędnym wyobrażeniom o naturze zbrodni stanu, albo też dążności zachęcenia najwystępniejszych zamiarów“.

Usłuchał go car i cała sprawa przeniosła się do Rady Administracyjnej, gdzie miała się stoczyć zacięta walka między Nowosilcowem a Lubeckim...

Pojedynek ten, w którym Lubecki, główny inicja-

tor skierowania procesu na tory konstytucyjne i zwołania Sądu Sejmowego, musiał wystąpić w obronie własnego dzieła, o ile nie chciał stracić zaufania carskiego i ulec współzawodnictwu Nowosilcowa, był bardzo trudny, gdyż w Radzie Administracyjnej zasiadali ludzie bądź słabi, bądź od rządu zależni, bądź Konstantomu zupełnie oddani.

Lubecki mógł zatem liczyć tylko na własne siły i poparcie jednego Mostowskiego, który rozumem, niezależnością sądów i patriotyzmem przewyższał swych kolegów.

Nie ulegało przytem wątpliwości, że Nowosilcow użyje wszelkich środków ażeby potępić Sąd Sejmowy i jednocześnie z tem pogrzebać wziętość i wpływy swojego wroga Lubeckiego..

Górujący jednak nad wrogiem rozumem Lubecki zwyciężył, bijąc go własną jego bronią, a mianowicie opierając się głównie i wytykając zarazem wszystkie błędy statutu organizacyjnego, który był dziełem senatora.

Popierał go gorliwie Mostowski, który wywody swoje zakończył następującą trafną uwagą:

— Trudną jest rzeczą, jeżeli niepodobną, aby naród podbity, pomimo najlepszych wzajemnych chęci, porozumiał się odrazu z tymi, co nad nim panują, zwłaszcza, gdy zasady wzajemnych ich rządów były od wieków zupełnie sobie przeciwne. Pokolenia minąć muszą, zanim zdołają zrozumieć nowo zdobyci poddani, że im już nie dyskutować, ale słuchać wypada. Czas, który już w nas nawet znaczne zrobił zbliżenia, powinien zwolna dokończyć swego dzieła. Nim to nastąpi, dla osłodzenia nieodłącznych od podobnego stanu rzeczy nieporozumień, dobrotliwe nieba nakazują z jednej strony powolność, z drugiej pobłażanie.

Z innych ministrów, jeden tylko minister wojny Hauke potępił postępowanie Senatu i podłość swoją

posunął do tego stopnia, że żądał aby odtąd każdą sprawę o zbrodnię stanu sądził trybunał, złożony w połowie z rosyjan, a w połowie z polaków.

Lubecki zwyciężył potęgą argumentów, ścisłością rozumowania, bystrością i trafnością poglądów.

W dniu 10 listopada 1828 r. zapadła ostateczna decyzja Rady Administracyjnej w tym sensie: „że wyrok Sądu Sejmowego mógł być skutkiem mylnych wyobrażeń o naturze zbrodni stanu, lecz, że ich przypisywać nie można skłonności Senatu do zachęcania zamiarów przewrotnych i przeciwnych istniejącemu porządkowi rzeczy, lecz brać się ma jedynie za następstwo nieuchronne niedostatecznych przepisów prawnych do ukrócenia zamachów stanu odnoszących się...”

Był to cios silny, niespodziewany dla Konstantego i Nowosilcowa, i tem dotkliwszy, że wychodził z łona rządu, w którym zasiadali najwyżsi urzędnicy, posiadający zaufanie monarchy, a w kraju po większej części nielubiani...

Przesyłając też carowi raport Rady Administracyjnej, zaopatrzył go Konstanty w komentarz, zwalający całą winę na Lubeckiego i uczucia patryjotyczne polaków, oraz zachęcający cara do oporu...

Lecz car raport otrzymał w chwilach bardzo trudnych dla Rosji, gdy mimo pozornych zwycięstw w Turcji, armja rosyjska, przetrzebiona bitwami, chorobami, brakiem żywności i furażu, cofnąć się z szeregu pozycji musiała; gdy car miał przed sobą nie tylko nowe walki w roku następnym, ale i groźbę interwencji mocarstw zachodnich, które z niepokojem patrzyły na postępy zaborczej polityki rosyjskiej...

W takich warunkach inaczej przedstawiała się sprawa polska Mikołajowi w Petersburgu, niż Konstantemu w Warszawie.

Mściwy i nieprzebaczący nigdy uraz doznanych,

car w tym wypadku uważał za stosowne okazać się pozbłażliwym i wyrozumiałym.

Więc choć go mocno dotknęła opinia Rady Administracyjnej, choć w duchu przyznawał słuszość Konstantemu i Nowosilcowi, to jednak kazał wyrok Sądu Sejmowego ogłosić, senatorów, dotąd internowanych, z pod dozoru policyjnego uwolnić i równocześnie wyrazić Senatowi, z wyłączeniem jednego gen. Wincen- tego Krasińskiego, najwyższe swoje niezadowolenie.

Lecz zemsta jego dosięgła, mimo wszystko, wszystkich oskarżonych. Z pogwałceniem konstytucji, w lipcu 1828 r., pod pretekstem konfrontacji ze spiskowcami rosyjskimi, wywieziono w kibitkach do Petersburga; Grzymałę, Plichtę, Krzyżanowskiego, Majewskiego i Zabłockiego, i tam w wilgotnych lochach twierdzy Petropawłowskiej osadzono, gdzie długi czas jeszcze za „nierozsądny patryjotyzm polski“ pokutować mieli...

Nad Krzyżanowskim, który, jako pochodzący z Ukrainy, uważany był za poddanego rosyjskiego, odprawiono powtórny sąd i skazano na całe życie na Syberję. Towarzyszy jego po pewnym czasie zwolniono.

Ksiądz Dombek, który bezskutecznie usiłował dopełnić samobójstwo, umarł w więzieniu, a senator Sołtyk został rażony paraliżem.

Tak się skończyła ta ohydna i straszliwa sprawa, której skutki w niedługim czasie okazać się miały.

X.

Podporucznik Piotr Wysocki, ukończywszy wykład taktyki w szkole podchorążych, wyszedł z jej gmachu w Łazienkach, ażeby udać się do domu.

Były to pierwsze dni grudnia. Panował lekki mróz,

cały park okryty był białą zasłoną śniegową, na której zachodzące słońceślało całe bogactwo swych purpurowo-złotych promieni.

Stanąwszy na progu, Wysocki z rozkoszą odechnął świeżem orzeźwiającem, mroźnem powietrzem i zrobił już parę kroków w stronę Agrykoli; gdy naraż stanął przed nim, jakby wyrósł z pod ziemi, mały chłopiec, może dwunastolatek, i przyłożywszy dłoń do granatowej rogatywki, okolonej siwym barankiem, jakby salutując rzekł:

— Melduję panu podporucznikowi, że dziadunio jest umierający, i prosi bardzo, żeby pan podporucznik zechciał przyjść do niego...

Zatrzymał się zdumiony Wysocki, nie rozumiejąc dobrze, co może on chcieć od niego i co oznaczają jego słowa...

Chłopca nie znał zupełnie... Ubrany on był schludnie, choć ubogo, a okrągłą zarumienioną od mrozu twarzączkę jego, rozjaśniała para błękitnych, pełnych sprytu oczu.

— Jaki dziadunio? — spytał chłopca Wysocki.

— Melduję panu podporucznikowi, — recytował tonem raportu, wyprężony jak struna, chłopiec; że sierżant pułku grenadjerów, Wojciech Stępień...

Nazwisko to w jednej chwili wyjaśniło wszystko Wysockiemu... Wnet przepomniął sobie starego sierżanta 4 pułku grenadjerów, przydzielonego do szkoły podchorążych w charakterze instruktora.

Stała mu w oczach jego postać sucha, zawiędła, jego twarz orla, spalona przez wichry, poznaczone licznymi bliznami, a rozjaśniona błękitnymi, czystymi dziecięcymi nieomal oczyma, okolona siwymi bokobrodami, o czaszce łysej, jak kolano...

Wojciech Stępień, stary wiarus napoleoński, którego życie całe nieomal zeszło na tułaczce i bojach, którego opowieści o bitwach, w których brał udział,

tak lubiał słuchać, a który jego jednego najbardziej wyróżniał ze wszystkich podchorążych i darzył szczególnymi względami...

Sierżant Wojciech Stępień umierający... Ten, który z tyłu bitew i utarczek wychodził zawsze cało, gdyż, jak mówił, kula, przeznaczona dla niego, nie została jeszcze odlaną...

Stały mu, jak żywe, w pamięci dzieje tego żołnierza z krwi i kości, które znał z jego opowieści...

Żołnierz pułku grenadjerów, brał udział w kampanji moskiewskiej w r. 1792, następnie walczył w insurekcji Kościuszkowskiej, a ranny na Pradze, cudem nieomal z rzezi ocalał...

Przyszedłszy do zdrowia, osiadł w Warszawie, ożenił się i zaczął prowadzić stateczny żywot, gdy naraż doszła do uszu jego wieść o legjonach, formowanych przez Dąbrowskiego we Włoszech.

Zagrała w nim krew żołnierska, porzucił żonę i nowonarodzoną córkę, zostawił kram, który na rynku Starego Miasta prowadził, i narażając powielokroć swe życie, przedarł się przez Austrię do Włoch, gdzie do legji nadwiślańskiej wstąpił.

W ustawicznych bojach doczekał się tej radosnej chwili, że w 1806 r. wkroczył do Warszawy ze swoim pułkiem.

Żona, borykająca się z trudnościami przy prowadzeniu kramu, nie poznała go z razu, a potem przywitała z radością... Uściskał żonę, ucałował gorąco dziecko, którego nie znał prawie, oddał żonie garść zdobytych w czasie długich bojów dukatów, by kram swój rozszerzyła, lecz o wystąpieniu z wojska nawet słuchać nie chciał...

Przy formowaniu nowych wojsk Księstwa Warszawskiego, zaliczony został do 4 pułku grenadjerów, gdzie dostał szarżę sierżanta, następnie wyprawiony do Hiszpanji, walczył tam pod Chłopickim przy

obleżeniu Saragossy, potem wielka wyprawa na Moskwę w 1812 r., z której wrócił cudem ocalony z garścią swoich, by wnet potem wyruszyć z pułkiem do Niemiec... Bitwa tam szła za bitwą, aż wreszcie po strasznej klęsce pod Lipskiem, po ostatecznem rozgromieniu potęgi Napoleona, wrócił ze zwłokami księcia Józefa do Warszawy...

Przybył akurat w porę, ażeby pożegnać żonę, która, zmorzona trudami, zmarła tak cicho, jak żyła.

Wydał córkę za mąż, za spokojnego, statecznego majstra szewckiego, imię pana Kacpra Wojniaka, któremu miał tylko jedno do zarzucenia, że był zatraconym cywilem, nie mającym żadnego zrozumienia dla sztuki wojennej, a sam, przy formowaniu wojska Królestwa Polskiego, wstąpił znów do dawnego swego 4 pułku i zamieszkał w koszarach na Zakroczymskiej, od czasu do czasu tylko odwiedzając i córkę i zięcia, i ciesząc się widokiem wnuków, o których nieraz opowiadał Wysockiemu.

Uznany za jednego z najlepszych podoficerów, przed paru laty przydzielony został, jako instruktor do szkoły podchorążych, przed rokiem zaś abszytowany, przeniósł się na mieszkanie do córki...

A teraz umierał...

Namyślał się chwilę Wysocki, co ma czynić, gdyż na wieczór zaproszony był do jednego z blizkich znajomych, gdzie spodziewał się zastać pewną młodą a bardzo ładną osobkę, dla której serce jego żywiej bić zaczęło...

Zajęty tą myślą, odruchowo spytał chłopca:

— A cóż jest dziadkowi, że umiera?

— A to moskiewscy żołnierze pobili go kijami tak, że od tygodnia ruszyć się nie może, a dziś kazał prosić pana podporucznika, — odrzekł chłopiec.

Aż drgnął Wysocki, posłyszawszy to, i spytał:

— Jakto pobili?

— A tak, że dziadzio coś powiedział, szpieczy posłyszeli, zabrali dziadzia do aresztu, a tam dali mu 200 kijów... Tatko przyniósł dziadka nawpół żywego, a teraz on umiera...

Ta straszna wiadomość, wypowiedziana tak spokojnie przez dziecko w niezrozumieniu całej jej zgromy, w jednej chwili zmieniła całą decyzję Wysockiego, odrzuciła precz wahanie...

Jakto, ten stary żołnierz, który tylekroć uniknął śmierci na polu chwały, umierał teraz od kijów moskiewskich siepaczy...

Zwrócił się do chłopca i rzekł krótko:

— Prowadź!...

Chłopiec wysunął się naprzód i prawie biegnąc, prowadził go w dół Agrykołą do Solca. Gdy tam się znaleźli, spytał go Wysocki:

— A gdzie mieszkacie?...

— Na Browarnej, panie podporuczniku...

Próżno oglądał się Wysocki za dorożką, i po długiej wędrówce, poślizgując się na zmarzłym i udeptanym śniegu, na grudach błota, przez Solec i Dobrą, dostali się na Browarną...

Chłopiec wprowadził go do jednopiętrowego murowanego domu, i przez ciemne schody weszli na pierwsze piętro, gdzie wnet otworzyły się drzwi, prowadzące do jednego z licznych mieszkań.

Znaleźli się w obszernej kuchni, która jednocześnie za warsztat szewcki służyła. Siedziało w niej przy robocie paru czeladników i terminatorów.

Na przywitanie Wysockiego wstał mężczyzna lat średnich, o sympatycznej, rozumnej twarzy, w zielonym wielkim fartuchu, i pokłoniwszy się grzecznie, rzekł:

— Dziękujemy panu podporucznikowi, że przyszedł, bo to ojciec już od wczoraj wciąż o panu mó-

wi... Pan podporucznik pozwoli, zaraz się dowiem, czy nie śpi...

Wprowadził go do przyległego dużego pokoju, który służył snąc za jadalnię i sypialnię dla całej rodziny. Oświetlony migotliwym światłem świec, zastawiony zgrabnymi choć prostymi sprzętami, czysty ten pokój sprawiał nader miłe wrażenie... W kącie, przy palącym się piecu, siedziało skurczone troje dzieci różnego wieku, które na widok wchodzącego Wysockiego podniosły ciekawie główki, przypatrując się nie tyle jemu, ile jego mundurowi.

Chłopiec, który przyprowadził Wysockiego, przyłączył się do nich i coś szeptem im opowiadał...

Do uszu Wysockiego, który na zaproszenie majstra Wojniaka usiadł na krześle, dobiegały tylko pojedyncze cokolwiek głośniejsze wypowiedane słowa i zdania:

— ...Jak będę duży, to też będę mieć taki mundur...

— ...I ja będę w polskim wojsku, jak dziadzio, służyć...

— ...A ja będę bić moskali, którzy dziadzia bili...

Po chwili otworzyły się drzwi przyległego pokoju, i stanęła w nich młoda jeszcze, przystojna kobieta, schludnie, choć skromnie ubrana, i skłoniwszy się Wysockiemu, rzekła:

— Pan podporucznik zechce wejść...

Wszedł do tego pokoju Wysocki, i przy migotliwym świetle świec zobaczył sędziwego sierżanta, leżącego na twardym łóżu żołnierskiem...

Wszystka krew, zda się, uciekła z twarzy jego, podobnej do ulepionej z wosku maski, tylko oczy, błyszczące gorączką, wskazywały, że życie kołace się w nim jeszcze...

Na czystej bielusińskiej koszuli błękitniała wstaż-

ka krzyża Virtuti Militari, oraz, jak purpurowa róża, rozkwitała Legja...

Na czysto bielonej ścianie małego pokoiku, nad łóżem umierającego, tuż pobok krzyża i obrazu Czystochowskiej Panienki, z płonąca przed nim lampką, widniał rozwieszony mundur czwartaka, czako jego i pałasz...

Wysocki spiesznie podszedł do sierżanta i w milczeniu uściśnął dłoń jego. W oczach umierającego błysnęła radość, uśmiech przewinął się po bladych ustach. Z pewnym trudem wyrzekł:

— Dziękuję panu podporucznikowi, że przyszedł...

A po chwili odpoczynku mówił dalej:

— Stanę wkrótce do apelu z raportem przed Najwyższym Dowódcą, chciałem mu też zanieść wiadomość, jak wygląda oficer polski...

Wysocki z nietajonem wzruszeniem patrzył na starca, wreszcie spytał:

— Lecz jak się to stało, sierzancie?... co wam jest?...

Stary żołnierz nie odrzekł ani słowa, tylko rozchylił koszulę, ukazując wyschłe ciało, pełne blizn po zagojonych ranach od cięć szabel i kul, ukazując plecy, sine, opuchłe, zbroczone zaschłą krwią, stanowiące jedną olbrzymią, niezagojoną jeszcze ranę...

Wysocki aż cofnął się z przerażenia i z trudem wyjąkał:

— Co to?... za co?...

A stary żołnierz, zakrywając tę ranę straszną, ostatnią, cichym, lecz wyraźnym głosem mówić zaczął:

— Posłuchajcie, panie podporuczniku, a dowiecie się wszystkiego...

Przed tygodniem z dwoma starymi przyjaciółmi, takimi samymi abszytowanymi żołnierzami, jak ja,

zeszliśmy się w winiarni na Podwalu, i przy lampce miodu zaczęliśmy rozprawać o sprawach publicznych. Mówiliśmy o wszystkim, mówiliśmy po cichu, gdyż wiedzieliśmy dobrze, że wszędzie snują się szpiegdy, którzy z łatwością na człowieka donieść mogą i sprawić tylko niepotrzebny kłopot... Lecz w miarę wychylanych lampke, zapominałem o tej ostrożności, i gdy jeden z kompanów wspomniał o naszym majorze Łukasińskim, nie mogłem się pohamować i na cały głos zawołałem:

— Nasz major Łukasiński dobry i sprawiedliwy był człowiek... Żle tylko zrobił, że zanim go ci dręczyciele uwięzili, nie stanął na czele wojska, któreby go usłuchało, i nie wypędził tego plugastwa!...

Te nieostrożne słowa moje posłyszał widać jeden z kręcących się w winiarni szpiegów, gdyż po wyjściu naszym z niej podeszło do nas trzech cywilów i kazało iść za sobą...

Nie chcieliśmy ich słuchać, stawialiśmy opór, lecz przywołany przez nich ront ogarnął nas i na odwach poprowadził. Przespaliśmy się tam, a następnego dnia zabrali się do badania...

Ja nic nie pamiętałem prawie, co mówiłem, lecz szpieg wszystko powtórzył, i mnie... mnie... starego weterana, — tu stary żołnierz zaczerwienił się z oburzenia: mnie z którym sam Naczelnik rozmawiał, któremu książę Józef własnoręcznie krzyż *Virtuti Militari* przypiął, któremu sam cesarz *Napoljon* po bitwie pod Moskwą legję dał, — skazali bez sądu na dwieście pałek, jako że buntownikiem jestem...

Opierałem się im, krzychałem, protestowałem, żądałem, żeby mnie do samego cesarzewicza poprowadzili, któremu chciałem sprawę przedstawić. Śmieli się jednak tylko z tego i wnet przywoławszy moskiewskich żołnierzy, wołyńców, na ławie rozciągnęli i kije wyliczać zaczęli...

Nie pisałem nawet podczas tej egzekucji, gdyż staremu żołnierzowi nie przystoi zdradzać, że ból cierpi, lecz pod koniec siły mnie opuściły, i ja... ja..., którzy najśrodsze bóle z ran znosiłem, zemdlałem, jak stara baba...

Takim mnie znalazł zięć mój, który szukał mnie od rana i za pozwoleniem komendanta odwachu zabrał i przywiozł do domu...

Zawezwali zaraz doktora, zastosował ten różne maście i smarowania, obiecując, że wyleże się z tego, lecz rany tej, która tkwi tu, — tu stary żołnierz wskazał na serce: zagoić on nie potrafi... Czuję też, że nadszedł mój czas, że trzeba będzie stawić się na apel u Najwyższego Wodza...

Umilkł stary żołnierz, a Wysocki, ukląknawszy przy łożu jego, ujął go za rękę i cicho, przerywanym głosem, mówić zaczął:

— Sierzancie... nie przejmujcie się tem... trudno... to jeszcze jedno tylko ogniwo w straszliwym łańcuchu przemocy... Major Łukasiński jeszcze więcej cierpiał... jego też katowali... i znosił on wszystko dla Ojczyzny... Przyjdzie czas, że krzywdy nasze i cierpienia pomszczone zostaną... Za wolą Boga kres tym nieprawościom położony będzie... Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy...

Słuchał go sierżant Stępień z zamkniętymi oczyma, a po chwili wyszeptał:

— Ja też to wszystko Bogu ofiarowałem... Ja tak, jak i nasz major... Myślę też, że Pan Bóg długo nie zniesie tego i ześle karę swoją... Że wy, młodzi, panie podporuczniku, pomścicie nas... przyjdzie jeszcze ten czas, że Polska wolną będzie i że nie będzie w niej żaden ucisk panował...

Umilkł stary żołnierz, wyczerpany do szczętu, a Wysocki, nachylając się nad nim, wyszeptał z mocą:

— Przysięgam ci, sierzancie, że wszystkie krzyw-

dy pomszczone będą, i że Polska musi być wolną, a najeźdźca wygnany.

Blady uśmiech przewinął się po ustach sierżanta, który uściśnął rękę Wysockiego i rzekł:

— Niech wam Bóg błogosławi i pomaga...

Długą chwilę panowała w pokoiku cisza, przerywana tylko ciężkim, świszczącym oddechem umierającego...

Naraz sierżant otworzył szeroko oczy, rozglądać się zaczął wokoło, wreszcie wyciągnął rękę, jakby chcąc zdjąć pałasz ze ściany..

Wysocki domyślił się tego i podał mu go, a on z uśmiechem przytulił go do piersi...

W tej chwili weszła córka sierżanta i nachylając się nad ojcem, rzekła cicho:

— Ojczy, ksiądz przyszedł z Panem Bogiem..

— Niech wejdzie, — rzekł sierżant.

Rozległ się dźwięk dzwonka i do pokoiku wszedł sędziwy kapłan...

Wyszli z niego wszyscy, a umierający pozostał sam ze sługą Bożym...

Wysocki usiadł na krześle w przyległym pokoju i z zadumą patrzył na skupione w kącie, przy piecu, milczące, jakby rozumiejące wartość chwili, dzieci.

Krótko trwała spowiedź starego wojaka; wkrótce kapłan przywołał wszystkich i udzielił mu Komunii i Ostatniego Namaszczenia Olejami Świętymi...

Stary sierżant, po pojednaniu się z Bogiem, jakby poweselał i nabrał otuchy... Rozglądał się wokoło swemi jasnymi, dziecięcemi oczyma i spostrzegłszy stojącego na uboczu Wysockiego, skinął na niego, by się zbliżył, a gdy ten nachylił się nad nim, wyszeptał:

— Pamiętajcie, panie podporuczniku... Bóg jest sprawiedliwy... On wam pobłogosławi i dopomoże... Ja Mu przy raporcie zamelduję i proszę o usilnie o pomoc będzie...

Wtem, jakby ból straszliwy, wykrzywił twarz jego... poderwało go coś, tak, że aż usiadł na łożu.. Wpatrywał się czas pewien w przestrzeń, jakby widział coś niezwykłego...

Podbiegli do niego wszyscy, gdy naraz opadł na poduszki, z ust jego wydarł się jakby szept, jakby okrzyk:

— Idę, wodzu!... Vive l'Empereur!...

Ostatnim wysiłkiem drętwiejącą ręką zerwał z piersi krzyżyk Virtuti Militari, i tuląc go do ust, skończył..

Rzuciła się do niego z głośnym płaczem córka, z krzykiem przybiegły wnuki, nachylił się ze szczerą żalnością zięć, a ksiądz sędziwy, żegnając krzyżem świętym, odmawiał modlitwy za konających...

Stary sierżant 4 pułku grenadierów, Wojciech Stępień, srodze skrzywdzony przez najeźdźców po wielu latach sławnych bojów, podążył na apel do Najwyższego Wodza, by mu przy raporcie złożyć skargę na straszliwy ucisk, jaki Ojczyzna jego cierpiała, by przez krwawe rany i blizny swoje wybłagać dla niej zmiłowanie i wyzwolenie...

Wysocki stał na baczność, czcząc w ten sposób starego żołnierza, poczem nachylił się nad nim, ucałował stygnące czoło jego, i pocichu wyszedł...

Noc już panowała, mroźna noc grudniowa... Przez Bednarską podążył na Krakowskie Przedmieście, a potem na Widok, do mieszkania swego...

Zapomniał w zupełności o zabawie, na którą był zaproszony, o tej, którą miał tam spotkać... Myśli jego pochłonięte były wspomnieniami tragedji, której dopiero co był świadkiem...

Znalazłszy się w mieszkaniu, odprawił ordynansa, a zasiadłszy przed kominkiem, puścił wodze myślom...

Wpatrując się w płonące na nim polana, rozmyślał nad wszystkim, wiązał, kojarzył, aż wreszcie przy-

szedł do wniosku, że podobny stan rzeczy dłużej trwać nie może, że podobnego ucisku i samowoli dalej już biernie znosić nie można, że czas już pomyśleć nie tyle o zemście, ile o zrzućeniu dławiących wszystkich kajdan...

Oni, młodzi, żołnierze, którzy postawieni są na straży honoru i wolności Ojczyzny, muszą zacząć działać, muszą tworzyć tę siłę, któraby z odrętwienia obudziła całe społeczeństwo, któraby kres położyła tym ofiarom niezliczonym...

Trzeba jednak do działania przystąpić ostrożnie, tworzyć spisek umiejętnie, wciągając do niego tylko ludzi pewnych, ażeby przedwcześnie nie zdradzić się przed wrogiem, by nie spotkał ich los Łukasińskiego i towarzyszy jego...

Blady świt zaglądał już przez okna pokoju, gdy Wysocki zbudził się z rozmyślań swoich... Na twarzy jego, pełnej powagi, widniało postanowienie, którego już nie zachwiać nie mogło...

XI.

Szymek Wałęka, ordynans podporucznika Piotra Wysockiego, był wielce zdumiony zachowaniem się tegoż w pierwszej połowie grudnia 1828 r.

Rozmowny i wesoły zazwyczaj podporucznik, zmienił się raptownie. Ani zażartował, ani nie zaśmiał się, ani nawet nie prowadził z nim zwykłych gawęd wieczornych, tylko siedział przy stole, założonym książkami i papierami, i wpatrywał się w przestrzeń, rozmyślając nad czemś głęboko, lub też pisał coś spiesznie, kreślił, lecz zwykle to, co napisał, dał na strzępy i starannie palił w piecu...

Zdawało się już Szymkowi, że czemciś rozgniewać musiał pana podporucznika, że taki na niego nie ła-

skaw, a może niezdrów się czuje, gdyż rzadziej już wieczorami wychodził z domu, czy to do Honoratki, na kawę i pogawędkę z przyjaciółmi, czy też do znajomych, i to z tych wizyt powracał późno bardzo, i przytem zamyślony, że aż strach, czego dawniej, jako żywo, nigdy nie bywało...

— A może to Adwent tak odprawia pobożnie? — rozmyślał cny ordynans.

Już miał się zapytać pana podporucznika o prawdziwy powód jego zmartwienia, przejęty troską serdeczną, gdyż, mimo iż dopiero od roku był przydzielony do niego, przywiązał się szczerze, gdy naraz w dn. 15 grudnia, pan podporucznik, powróciwszy po południu jak zwykle, ze szkoły, przywołał go do siebie i rzekł:

— Słuchaj, Szymek, czy ja ci ufać mogę?

Wytrzeszczył pełne zdumienia oczy ordynans, nie rozumiejąc zgoła tego zapytania. Stał tylko wyprężony na baczność i bełkotał:

— Panie podporuczniku... panie podporuczniku...

Uśmiechnął się Wysocki i powtórzył:

— Idzie o to, Szymek, czy ty zrobisz wszystko, co ci każe, i czy potrafisz być głuchym i ślepym na wszystko, co możesz usłyszeć lub zobaczyć?

— Panie podporuczniku, — odrzekł Szymek, któremu się we łbie cokolwiek przejaśniło: wszystko, jak Boga kocham, dla pana podporucznika zrobię, a milczeć będę, jak grób...

— Dobrze, pamiętaj więc, że przyjdzie dziś do mnie parę osób w ważnej sprawie... Usiądziesz potem przy drzwiach i nikogo nie wpuścisz, a każdemu będziesz mówić, że mnie w domu nie ma... Rozumiesz?

— Rozumiem, panie podporuczniku, — odrzekł Szymek.

— No więc idź, i pamiętaj, co ci mówiłem...

Wyszedł Szymek, a Wysocki zasiadł przy stole, pi-
sząc coś z długim namysłem...

Zasłonił wreszcie okna szczelnie i czekał...

Ciemno już było zupełnie, gdy schodzić się zaczęli
podoficerowie Gwardji Królewskiej Pułku Grenadje-
rów: Karol Paszkiewicz, Józef Dobrowolski, Karol
Karsznicki, Aleksander Łaski, oraz podchorąży Józef
hr. Gurowski.

Witał ich Wysocki, a gdy wszyscy się zebrali i za-
siedli przy stole, rzekł:

— No cóż, koledzy, słysząc u was?...

— Żle słysząc, — odrzekł Paszkiewicz: ucisk coraz
większy, szpiegów tylu się snuje, że człowiek boi się
nawet słowo wyrzec, nie wiedząc, czy nie zostanie zro-
biony donos i czy nie znajdzie się u Karmelitów....

— U Karmelitów to chyba byłoby trudno, — od-
rzekł z ironją Karsznicki: toć tam takie przepełnienie,
że nowych więźniów nie mają gdzie pakować...

— No to w innym więzieniu, — odrzekł Paszkie-
wicz: przecież przybyło ich teraz tyle...

— Tak, — więzień, więźniów i szpiegów namno-
żyło się u nas coniemniara, — dorzucił Łaski.

— A szpiegów to coraz nowych kaptują, — rzekł
Dobrowolski: nie żałują na to pieniędzy... Ot teraz,
niedawno, chcieli zwerbować u czwartaków podporu-
cznika Łubińskiego....

— No i co? — spytał Wysocki.

— A no nic... Nie udało się... Odpowiedział im, że
aż w pięty im poszło... Za to go na odwach wsadzili...

— Tak, tak... Karzą odwachem i biją za byle co....
Nigdy tylu naszych tam nie siedziało, co teraz, a jak
mi mówiono, codziennie nowe różgi sprawiać muszą...
Biją nawet starych żołnierzy, w bojach zasłużonych,
nie zważając ani na ich rany, ani na zasługi...

— Wiem o tem dobrze, — rzekł Wysocki i opowie-
dział historję sierżanta Stępnia.

W czasie tej straszliwej opowieści twarze młodych
żołnierzy mieniły się oburzeniem i gniewem, w poczu-
ciu swej bezsily zaciskali pięście, a oczy ich miały
błyskawice.

— Jeszcze jedna ofiara przemocy, — rzekł Łaski,
gdy Wysocki skończył swą opowieść...

— A Łukasiński, — rzekł nagle Paszkiewicz: któ-
rego po torturach u Karmelitów, po pohańbieniu na
placu Krasińskich, po mękach w Zamościu, przywieźli
do Góry, znów się tam nad nim znęcali, skłaniając do
zdrady, i teraz tam trzymają, gnojąc w lochu...

— A Krzyżanowski, — dorzucił Łaski: którego mi-
mo wyroku Sądu Sejmowego, wywieźli do Petersburga,
by później bezprawnie wysłać na mroźny Sybir...

— A ks. Dombek, który po nieudalém samobój-
stwie, po torturach zadanych, mimo wyroku uniewin-
niającego, zmarł w więzieniu...

— A prześladowania Adolfa Cichowskiego, który,
nie mogąc ich znieść, sam z sobą skończył...

— A życ i Dzwonkowski...

— A te korowody więźniów, których, nie chcąc się
fatygować, pan senator Nowosilców do siebie, do Fra-
scati przyprowadzać każe, ażeby w tem nowem miej-
scu tortur zeznania mu potrzebne z nich wymuszać...

— A te setki wdów i sierot po zamordowanych,
lub tych, którzy zamknięci w lochach więziennych,
za umarłych uważani być mogą...

I tak jedna za drugą snuły się te opowieści stra-
szliwe o prześladowaniach okropnych pozbawionego
wolności narodu.

A w miarę snucia ich coraz gorętszy płomień ogar-
niał dusze młodych żołnierzy, serca ich coraz mocniej
biły, pięści się zaciskały, a oczy miały błyskawice...

Ogarniające ich uczucia były tem straszniejsze, że
czuli całą swą niemoc wobec przewagi gnębiącego

kraj wroga, że czuli się wobec niego bezradni i nie wiedzieli doprawdy, co czynić należy, by ohydne to jarzmo, mackami swemi oplatające Polskę całą zrzucić...

Z nich wszystkich największy spokój zachował jeden tylko Wysocki, który bacznie obserwował ich oblicza, a gdy umilkli i pochyłili głowy, jakby przytłoczeni bezmiarem niedoli, porwał się i dźwięcznym głosem mówić zaczął:

— Koledzy!... Widzicie, że ucisk, jaki Polska cała znosi, doszedł do szczytu, że wróg, który się znęca nad nami, spokojny i bezpieczny jest, ufając w to, że my się na żaden czyn nie zdobędziemy, że panowanie jego długotrwałe będzie, że zmaltretowawszy nas, odbierając nam jedną za drugą z zaprzysiężonych wolności, w gromadę pokornych i uległych mu we wszystkim niewolników zamieni!... Koledzy, tego dłużej znosić nie wolno... Czas pokazać wrogom, że Polak nigdy niewolnikiem nie był i nie będzie, że nie jesteśmy bezwonnym bytłem moskiewskiem, płaszczącym się przed carami i ich satrapami!... Koledzy, czas już przystąpić do czynu, któryby nam wolność, a Ojczyźnie wyzwolenie dał...

Skończył swą płomienną przemowę Wysocki, a zebrani, wpatrując się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma, zaskoczeni tem nieoczekiwanem zupełnie wystąpieniem jego, siedzieli w milczeniu, jakby rozważając posłyszane słowa...

Trwało ono dość długo, wreszcie Gurowski przebrał, je mówiąc:

— Do czynu!... Tak, czas już przystąpić do niego... Lecz jest nas garść tylko... Cóż my możemy zrobić?

— Tak, garść jest nas tylko, — odrzekł mu spokojniej już Wysocki: lecz takich, jak my, są całe zastępy... Na zew nasz staną całe miliony, obudzi się naród, znoszący w milczeniu jarzmo najeżdźcy, stanie

przy boku naszym, a wtedy nie straszne nam już będą wszystkie moce niewolników moskiewskich... Myśmy powinni być tymi, którzy, budząc sumienie narodu, z niego przyszłe zastępy bojowników wyprowadzą...

— Wysocki ma słuszość, — rzekł Paszkiewicz: ale jak to zrobić?... Tyłu już próbowało i wszyscy marnie zginęli...

— Może i my zginiemy, — odrzekł mu z powagą Wysocki: może i nas śmierć haniebna czeka, lecz po nas, za naszym przykładem, przyjdą nowe zastępy mścicieli, aż wreszcie zaświta ten dzień promienny, że Polska będzie wolna i niepodległa... Zresztą, czyż śmierć, choć w mękach i hańbie, nie jest stokroć szczytniejszą od obecnej niewoli i poniewierki?...

— Tak, tak, — przywóztórzyli jednogłośnie zebrani i, wyciągając do niego ręce, zawołali:

— Wskaż nam tę drogę, prowadź nas, bądź nam wodzem!...

— Wodzem nie będę, — odrzekł na to Wysocki: gdyż godniejszych i lepszych odemnie jest mnóstwo... Chcę tylko w miarę mych sił służyć Ojczyźnie... Posłuchajcie mnie...

W skupieniu zasiedli wszyscy, wpatrując się w twarz Wysockiego, a ten spokojnie, z powagą mówić zaczął:

— W zamierzeniu naszym musimy iść śladem Łukasieńskiego, który nam wzorem będzie... Musimy działać w tajemnicy wielkiej, by wróg, uprzedzony, nie mógł przedsięwzięciom naszym przeszkodzić... Musimy przede wszystkim obudzić wojsko, przygotować je do dalszej walki, a za wojskiem, przysięgam wam, pójdzie naród cały...

— Plan twój jest bardzo dobry, — rzekł Paszkiewicz: i wszyscy na niego przystajemy, lecz powiedz nam, poucz nas, co czynić mamy?... Tyś naszym wo-

dzem w tej sprawie, i wszyscy ci posłuszeństwo przyrzekamy...

— Tak, tak, tak, — przyświadczyli zebrani.

— A więc słuchajcie, — rzekł Wysocki: w czasie długich rozmyślań moich nad sposobami ratowania zgębnionej Ojczyzny, obmyśliłem co następuje: każdy z nas ma w każdym pułku znajomych oficerów i przyjaciół, gorących patriotów, z bólem patrzących na to, co się w Polsce dzieje... Stopniowo, ostrożnie, by nie wzbudzić podejrzeń, wciągajmy ich do sprzyśnięcia naszego, które winno objąć całe wojsko polskie... Gdy się to stanie, gdy nadejdzie chwila odpowiednia, wystąpimy zupełnie przygotowani do walki...

— To strasznie długo, — rzekł Łaski.

— Tak, to potrwa długo, może lata całe, — odrzekł Wysocki: lecz pamiętajmy, że ostrożność musi być głównym przewodnikiem naszym, że przy zachowaniu jej tylko coś zdziałać dla sprawy możemy... Wolno też, krok za krokiem, naprzód w sprawie naszej posuwać się będziemy, cierpliwie wyczekując na odpowiednią chwilę... Uzbrojeni też w ostrożność i cierpliwość, celu swego dopniemy...

Chwilę trwało milczenie, wreszcie Paszkiewicz rzekł:

— Zgadza się na wszystko i idziemy, Wysocki, pod twoją komendę... Ty wodzem naszym będziesz...

Uśmiechnął się Wysocki i odrzekł:

— Wodzem, gdy przyjdzie czas działania, jakim wam już mówił, będzie najgodniejszy, ten, który naród poprowadzi do zwycięstwa... Znajdzie się on wśród naszych generałów, a ja będę jedynie najposłuszniejszym wykonawcą rozkazów jego... Teraz zaś najważniejszą rzeczą jest przygotować grunt dla przyszłych walk o wolność, zgromadzić siły...

Umilkł na chwilę, poczem znów mówić zaczął:

— Ażeby jednak umocnić ten nasz związek, zapewnić mu trwałość i siłę, ażeby każdy z nas czuł się związany i rozumiał całą świętość obowiązków, przyjętych na siebie, musimy złożyć przysięgę...

— Złożymy ją, — odrzekli wszyscy...

Wysocki postawił na stole krucyfiks, przy nim dwie płonące świece, wszyscy stanęli wyprostowani w koło, a on uroczystym, pełnym siły głosem mówić zaczął:

— Przed Bogiem i Ojczyzną naszą ujarzmioną, odartą z praw i przywilejów konstytucyjnych, przysiegamy naprzód nie wydać na przypadek uwięzienia, żadnego członka zawiązującego się towarzystwa, choćby z tego powodu przypadło ponieść najsroższe męczeństwo. Powtóre połączyć wszystkie usiłowania, oddać życie, gdy tego potrzeba będzie w obronie zgwałconej ustawy konstytucyjnej. Po trzecie ostrożnie rozszerzać związek za wiedzą podpisanych członków towarzystwa, nie przyjmować ani pijaków, ani szulerów, ani ludzi skazitelnego charakteru...

Uroczyście powtarzali za Wysockim rotę przysięgi zebrani, a gdy skończyli, ucałowali krzyż i uściśnęli sobie prawicę...

— A teraz, bracia, do pracy, — rzekł Wysocki: pomnijcie jeszcze raz być ostrożnymi i przezornymi, a wtedy powodzenie zamiary nasze uwieńczy...

Rozeszli się wszyscy, umówiwszy się uprzednio o termin następnego zebrania, na którym taktyka działania początkowego ustaloną być miała, a Wysocki, pozostawszy sam, zasiadł w fotelu i wpatrzywszy się w płonące na stole świece, puścił wodze marzeniom...

Odprawił na spoczynek napróżno przypominającego mu o wieczery ordynansa i rozmyślał...

...Przed oczami jego jawiły się wizje krwawych zapasów konfederatów barskich, zacięte boje Kościu-

szki o wolność, zakończone straszliwą klęską pod Maciejowicami...

...ohydna, krwawa rzeź Pragi...

...tysiące męczenników, poniewolnie na Sybir wywożonych...

...krótki błysk pomyślności za czasów Księstwa Warszawskiego...

...nadzieje, zbudzone Królestwem Kongresowem...

...a potem nowy korowód męczenników: młodzież wileńska, Łukasiński, Życ, Dzwonkowski, ks. Dombek, Sołtyk, Krzyżanowski, Cichowski, Wilczek i tysiące, tysiące innych...

Siedział tak długo po północy, zatopiony w myślach, układając plany na przyszłość...

Nad ranem dopiero, gdy świece się wypaliły, wstał wreszcie, ukląkł przed wiszącym nad łóżem wizerunkiem Częstochowskiej Paniarki w gorących zatonął modłach o powodzenie tej sprawy wyzwolenia Ojczyzny, jaką brał na swoje barki...

XII.

W piękny wiosenny wieczór kwietniowy, w małej, starej kamienicy przy ul. Długiej, tuż przy kościele OO. Paulinów, w pokoju położonym od ulicy, a słabo oświetlonym płomykami dwóch świec, płonących na biurku, zarzuconem w beładzie książkami i papierami, na puszystym dywanie, zaścieniającym podłogę, otulony w wzorzysty szlafrok, otoczony kłębam dymu z fajki, leżał Maurycy Mochnacki...

Tuż przy nim na dywanie leżała książka rozwarta, lecz umysł jego daleko był od niej...

Rozmarzony ciepłem wiosennego wieczoru, ożywczem powietrzem, wpadającym kłębam przez otwarte okna, a niosącym wonie niezbyt odległych, rozkwit-

ających ogrodów Żoliborza, leżał, z wzrokiem utkwionym w przestrzeń, zajęty myślami swemi...

A niewesołe musiały być one, gdyż coraz zmarszczka głęboka przecinała czoło jego, a w cokolwiek skośnych oczach błyskały jakby płomienie buntu, gniewu...

W tych chwilach samotności i ciszy, niczem nie zamąconej, rozpamiętywał on swą przeszłość, mimo lat młodych jeszcze, burzliwą i sławną...

Wspominał, gdy za znieważenie policjanta za to, że jeszcze jako studenta uniwersytetu skarcił go za palenie na ulicy zabronionego tytoniu, z wyroku w. ks. Konstantego, bezwzględniego i surowego, musiał przez dni czterdzieści pracować wraz ze zbrodniarzami w parku belwederskim, a potem, na rozkaz tegoż księcia, wydany z uniwersytetu, miał przed sobą zamkniętą drogę nie tylko do dalszej nauki, ale i do wszelkich urzędów...

Jak następnie potem uwięziony w związku ze spiskiem Wolnych Braci Polaków, zdradzony przez zeznania Heltmana, znalazł się w więzieniu karmelickim...

Pieszczony całe życie przez matkę, przyzwyczajony do wygod, znalazł się naraz w zimnej, pustej celi, na twardym łóżu, rzucony na pastwę samotności, ciężkiej do zniesienia w dzień, a jeszcze straszliwszej w nocy, gdy naprężone nerwy z przerażeniem przyjmują każdy odgłos, przerywający okropną, dręczącą umysł i duszę ciszę...

W przerażeniu zrywał się na twardym łóżu swoim na każdy zgrzyt klucza w przyległych celach, na każde westchnienie, lub też krzyk bólu dręczonego w ciągu dnia, w czasie badania sąsiada... To znów warczenie bębna warty mąciło tę ciszę, doprowadzając nerwy do zupełnego wyczerpania.

Nic dziwnego też, że parę miesięcy takiego stra-

szliwego życia, rozprzęgło w zupełności jego nerwy i doprowadziło go prawie że do szaleństwa... Daremnie porywał się do walki z ogarniającą go coraz bardziej rozpaczą. Pragnienie wolności, niepohamowane, gwałtowne, mocne, jak strach przed trumną, szarpało jego sercem i przenikało całe jestestwo...

W mękach tych i torturach bezgranicznych, słabła jego wola, upadał hart i tracił stopniowo moc panowania nad sobą, stawał się chwiejnym, posłusznym narzędziem mocniejszej woli, którą wyobrażała komisja śledcza, przed którą od czasu do czasu stawać był zmuszony...

Stawał przed nią wyczerpany udręką wewnętrzną, bezsilny, i pod krzyżowym ogniem jej zapytań, wahał się, drżał, zdradzając przytem swój stan wewnętrzny, a z umęczonej duszy nie umiał już wykrzesać stalowych błysków swej potężnej woli...

A przytem opłatał go w zupełności w swe prowokatorskie sieci jeden z członków komisji, Hankiewicz.

Na wspomnienie tego nazwiska zimny dreszcz przebiegał ciało Mochnackiego, a w oczach błyskała nienawiść bezgraniczna...

Nikt mu tyle i takiej krzywdy nie wyrządził, nikt bardziej nie sponiewierał duszy jego i nie napoił go większą pogardą dla samego siebie...

Opłatał go on całą siecią ojcowskiej pieczołowitości, rad i nauk, niby podyktowanych troską o przyszłość jego, wyzyskał słabość jego, wykorzystał wszystkie chwile jego upadku duchowego, aż wreszcie namowami swemi, pod pozorem uniknięcia rzekomo dalszych prześladowań, skłonił go do popełnienia dwóch czynów haniebnych, które wieczną i niestartą plamą zaciążyć na nim miały...

Pierwszym z nich było napisanie pod wpływem, a nawet prawie że pod dyktandem Hankiewicza me-

morjału o szkolnictwie w Polsce, niestety, podpisanego przez niego...

Godził on w nim w podstawy polskiego szkolnictwa, potępiał wszystkie pisma wolnościowe, w których sam niegdyś pracował, zachęcał do stosowania środków administracyjno - represyjnych, a nawet apologował cenzurę, która w czasach owych wprost drakońską była...

Za cenę tego memoriału, będącego dokumentem hańby, po ośmiu miesiącach wolność odzyskał.

Ale gdy opuścił mury więzienne, gdy rozprężone nerwy do równowagi przychodzić zaczęły, gdy jasno zdał sobie sprawę z tego, co uczynił, zadrżał, przejęty zgrozą na myśl o tem...

Wpadł w zupełną depresję duchową, milczał, prześiadywał zamknięty w swoim pokoju, wzrok jego stał się ponury, bojaźliwy, niedowierzający. Lęk go przejmował przed ciemnościami, a gdy matka, miłująca go gorąco, mówiła mu o pochwałach, jakimi memoriał jego obsypywali wojewoda Grabowski i cenzor Szaniawski, wybuchał gniewem, nazywając go hańbą swoją...

Lecz czekała go jeszcze jedna próba, jeszcze jedno upokorzenie, które do poprzedniej hańby nową dorzucić miało...

Pod naciskiem i wpływem matki, która w bezgranicznej miłości swojej ratować go chciała przed grożącym mu niebezpieczeństwem, a pozostawała pod wpływem osób, chcących za wszelką cenę złamać go i unieszkodliwić, zdecydował się wstąpić do biura cenzury...

Lecz tu już nie mógł nagiąć się do wymagań zwierzchnika swego, Szaniawskiego, nie mógł się stać bezwolnym narzędziem w ręku jego, i nie spełniał włożonych na niego obowiązków... Wywoływał tem niezadowolenie Szaniawskiego, które znalazło wyraz

w liście tegoż do niego, który zachowywał jako dokument, mogący mu się przydać w potrzebie.

Pisał w nim:

„Urzędowe raporty przekonywują mnie, że ciągle, od kilku miesięcy, nie bywasz w biurze w godzinach oznaczonych. Musiałem dawniej strofować cię o to w protokołach posiedzeń; później ostrzegał cię o tem generalny referent, jako z urzędu do tego obowiązany, któremu nawet nieprzystojnie, bo w niegrzecznych wyrazach odpisałeś. Wszystko było bezskuteczne do zwrócenia cię na drogę powinności urzędnika... Wiem, że nie masz chęci pracować w tym rodzaju służby, i tego ci za złe nie poczytuję. Gorszysz mi całe biuro...

Załamanie się jego miało jeszcze i ten skutek, że odwrócili się od niego wszyscy dotychczasowi przyjaciele i znajomi, i unikać zaczęli...

Zarząd Związku „Wolnych Polaków“, dowiedziawszy się o tem, w przekonaniu, że Mochnacki wyjawiał władzom istnienie tego związku i jego członków, z polecenia przebywających w więzieniu Piątkiewicza i Heltmana, oskarżył go, pod przewodnictwem Ernesta Dydaka, o zbrodnię zdrady i wydał na niego wyrok śmierci, po uprzednim przeprowadzeniu rozprawy. Wyrok ten zatwierdziły wszystkie trzy łóże, a na wykonawcę jego został wyznaczony „moralista“ i miecznik związku E. Dydak, który zażądał od związku dania sobie do pomocy F. Kollera.

Na łącznem posiedzeniu łóż zastanawiano się nad rodzajem kary śmierci i sposobem jej wykonania. Na wniosek Dydaka postanowiono go utopić w Wiśle, a wyrok ten miał wykonać Dydak przez pchnięcie Mochnackiego w czasie przechadzki w głębie Wisły.

Wyroku tego nie wykonano, lecz wieść o nim doszła do Mochnackiego.

Gorzki też uśmiech wykrzywił usta jego, gdy przypominał to sobie.

A potem... Korzystając z upomnienia, danego mu w liście przez Szaniawskiego, w dniu 10 września 1927 r. porzucił znienawidzoną służbę w cenzurze.

Pozornie zdawał się być pogodzonym z losem, lecz w głębi duszy jego kipiał wulkan... Rwał się do czynu, do działania, a tu mu podcięto skrzydła i zmuszono do wleczenia się powolnego po ziemi...

Zaczął pracować w wydziale fabryk komisji rządowej spraw wewnętrznych, zaczął pisać w piśmie „Izys Polska“, — ale zajęcia te rychło znienawidził...

Zagłębił się w nauce, studjował filozofję i literaturę, w studjach nad niemi przelewając na papier choć część tych myśli, które pod wpływem niedawnych przeżyć i warunków życiowych zrodziły się w niespokojnej głowie jego...

Odżył trochę w czasie Sądu Sejmowego, rzucając płomienny, aczkolwiek bezimienny ze względów bezpieczeństwa „Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego“, — czytany i powtarzany przez wszystkich, który w znacznym stopniu zaważył na wyrok tegoż.

Lecz to nie zaspakajało gorącej, rwącej się do czynu i walki duszy jego, nie zaspakajała go również i walka, jaką prowadził ze zwolennikami klasycyzmu w literaturze, w obronie romantyzmu, walka zacięta, choć na pióra tylko prowadzona, a jednająca mu zaciętych wrogów w obozie przeciwników...

Ogólna apatja, ogarniająca społeczeństwo wobec bezmiaru prześladowań, sypiących się na naród, zmierzila go i przejmowała pogardą...

A jednocześnie wiał się w męce poczucia własnej bezsily i niemożności zaradzenia złemu...

Leżał tak Mochnacki na kobiercu, spowity kłębami dymu tytoniowego, dręcząc się własnymi myślami, gdy naraz rozległo się ciche pukanie do drzwi...

Porwał się, jakby ze snu zbudzony, przetarł dło-

nią czoło, jakby chcąc odpędzić resztę dręczących go przed chwilą myśli i rzekł:

— Proszę wejść!...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł brat jego, Kamil, sierżant szkoły podchorążych, zamykając za sobą drzwi starannie...

Przywitali się bracia serdecznie, gdyż łączyła ich miłość gorąca, zwłaszcza ze strony Kamila, który z uwielbieniem patrzył na starszego brata.

Z bólem też spojrział na wybladłą twarz Maurycego, na której praca wyczerpująca, troski i udręki piętno swe wyrzyły.

Zasiadłszy przy biurku, rzekł:

— Słuchaj, Maurycy, przychodzę do ciebie w ważnej sprawie, od której los Polski może zależeć...

Uniósł się Mochnacki na łokciu i patrząc przez kłęby dymu na brata, spytał krótko:

— W jakiej?

— Chcę ci zwierzyć tajemnicę jedną, którą i ty musisz zachować przy sobie... Oto w wojsku tworzy się spisek...

Przy słowie „spisek“ porwał się z kobierca Maurycy, i zasiadłszy na krześle tuż przy bracie, spytał gorączkowo:

— Spisek?... jaki?... przeciw komu?... kto stoi na czele?...

Uśmiechnął się Kamil i odparł spokojnie:

— Poczekaj... Dam ci odpowiedź na wszystkie pytania... Otóż za przyczyną podporucznika Wysockiego utworzył się w wojsku spisek, do którego należą przeważnie młodzi oficerowie... Zadaniem jego jest ogarnąć wszystko wojsko, ażeby, gdy chwila odpowiednia nadejdzie, wystąpić i zrzucić jarzmo najeźdźców i dać Polsce wolność i niepodległość...

— Albo zgnić w więzieniu i powędrować na Sybir,

— z goryczą rzekł Maurycy, choć oczy jego płonęły niesamowitym blaskiem...

— Być może i to nas czeka, — spokojnie rzekł Kamil: lecz przed grozą tego cofać się nam nie wolno... Mamy dwie drogi przed sobą: albo wywalczyć wolność za wszelką cenę, i do tego dąży nasz spisek, albo z pokorą niewolniczą znosić dalsze jarzmo... Tę pierwszą drogę wybrał Wysocki, i my wszyscy, którzy się z nim złączyliśmy, zginiemy raczej, niż wyrzekniemy się naszych dążeń i zamiarów...

Mochnecki zerwał się z miejsca i biegać począł po pokoju, podobny w swym barwnym szlafroku do jakiegoś olbrzymiego ptaka, miotającego się w klatce...

Ważył coś w myśli, zastanawiał się, wreszcie, zatrzymawszy się przed bratem, spytał:

— Ilu was jest?...

— Jest nas dużo... Prawie wszyscy młodzi oficerowie i podchorążowie należą już do spisku... Prócz tego są i posłowie sejmowi, którzy nas popierają, a nawet sędziwy Niemcewicz, powiadomiony o istnieniu spisku, przychylnie do nas się odnosi...

— A kto będzie wodzem?... czy Wysocki?... pytał gorączkowo Mochnacki.

— Wysocki nie chce... Mówi, że jego nazwisko nie pociągnęłoby nikogo... Twierdzi, że gdy rewolucja wybuchnie, wtedy wódz się znajdzie, wódz o rozgłosnem i sławnem nazwisku, który pociągnie za sobą i wojsko i naród...

— Mądry jest ten wasz Wysocki, — mruknął Maurycy: lecz czyż który z tych generałów, oddanych duszą i ciałem Konstantemu, przyłączy się do was?...

— Znajdzie się... Jest przecież Kniaziewicz, jest i Chłopicki...

— Ci może, — rzucił Maurycy i znów biegać począł...

— A jakąż ja mam grać rolę w tym spisku? — spytał po chwili.

— Wysocki, oprócz wojskowych, chce wciągnąć do spisku i cywilnych, tych zwłaszcza, którzy mają lub mogą mieć wpływ na tłumy... Nie chce on rewolucji oprzeć tylko na wojsku, ale i na masach ludowych, gdyż twierdzi, że bez nich wojsko samo nic nie zrobi...

— Słusznie mówi, — rzekł Maurycy: trzeba i ten cały tłum poruszyć, wyrwać go z bierności, rzucić mu potężne hasło wolności, a wtedy razem z wojskiem utworzy on potęgę, której żadna moc nie złamie...

Rozpalał się już, gorączkował, odnajdywał samego siebie, w tem wezwaniu do czynu, jakie mu brat przyosił...

Czuł budzącą się w nim moc, opadała z niego bez śladu słabość i bezwola, które go gnębiły, rwał się do tego czynu, którego wyniku nikt nie mógł przewidzieć, a który jednak miał przełamać straszliwe kolisko apatji, gnębiącej naród.

— Tak, — mówił do siebie, biegając po pokoju: — dobrać zespół ludzi płomiennych, gotowych na wszystko, rzucić w nich zarzewie buntu, rozpalić je, a potem poprowadzić na wroga, który nas gnębi... Tak, myśl piękna, cudowna, i każdy prawy Polak do niej się przyłączy... Dość tej hańby, tego poniżenia, czas już zrzucić pęta i wobec całego świata dowieść, że Polacy wolnymi być pragną...

Kamil z uśmiechem radości słuchał słów jego, a gdy zatrzymał się przed nim po chwili, pytając:

— A kiedy zamierzacie rozpocząć? — odpowiedział:

— Czas nie jest jeszcze oznaczony... Wysocki twierdzi, że przedtem należy wszystko zorganizować, przygotować, ażeby przez najmniejsze uchybienie nie

zaszkodzić sprawie... Trzeba też czekać na odpowiednią chwilę...

— Ma rację, — rzekł Maurycy: — pośpiech może tylko szkodę przynieść, a trzeba wszystko dobrze wyliczyć...

Usiadł potem przy biurku i pograżył się w myślach, kryjąc twarz w dłoniach. Trwało to długo, wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Dobrze, powiedz Wysockiemu, że należę do was i wszystkie siły, nawet życie, poświęcę dla sprawy... Pragnąłbym się z nim zobaczyć i pomówić osobście...

— On również tego pragnie, — rzekł Kamil: możebyś zatem jutro, w wieczornej porze, przyszedł do niego...

— Dobrze, będę, — rzekł krótko Maurycy.

— Spisek nasz, — zaczął mówić Kamil: — musi teraz rozpocząć jeszcze szerszą pracę... Zapowiedziane jest wszakże przybycie w niedługim czasie cara Mikołaja do Warszawy na koronację... Może to da odpowiednią chwilę do wystąpienia... Musimy być więc gotowi...

Wstał Kamil i pożegnał brata, spiesząc się do koszar, jeszcze raz umawiając się o godzinę bytności tegoż u Wysockiego...

Maurycy, zostawszy sam, stanął w oknie, i patrząc na usiane gwiazdami niebo, utonął w marzeniach...

Tak, teraz nadeszła dla niego chwila nie tylko rehabilitacji, ale i pomsty za krzywdy doznane od wrogów... Teraz pokaże, do czego jest zdolny, i znajdzie pole do czynu... Płonące w sercu jego pragnienie wolności znajdzie nareszcie ujście, i ogień, który w nim płonie, roznieci w sercach braci swoich...

Wtem wzrok jego padł na okno, płonące jasnym światłem w przeciwległej kamienicy... W świetle tem widać było średnich lat mężczyznę, szczupłego, o twa-

rzy zmęczonej, pochylonego w mozolnej pracy nad księgami.

— Lelewel, — szepnął Maurycy: — gdy on będzie z nami, sprawa nasza wygraną będzie...

Do późnej nocy świeciło się w oknie Lelewela, pogrążonego w pracy; do późnej nocy świeciło się w oknie Mochnackiego, pogrążonego w myślach nad oczekującymi go zadaniami...

Szary świt dopiero, wstając nad uśpionem miastem, zgasił te światła, w tych dwóch oknach ludzi, tak różniących się usposobieniem, a tak jednako myślących o wyzwoleniu z ucisku umiłowanej nadewszystko Ojczyzny...

XIII

Car Mikołaj przybywa do Warszawy...

Przybywa, ażeby koronować się na króla polskiego w prastarej katedrze św. Jana...

Przybywa, ażeby przez akt ten zacieśnić jeszcze bardziej łańcuchy, przykuwające Polskę do imperjum rosyjskiego i do jego samowładnych panów...

Pomni wszyscy byli niedawnych zająć w związku z Sądem Sejmowym, i despotycznego złamania praw i obowiązków konstytucyjnych w związku z wyrokiem tegoż...

Pamiętne jeszcze były wszystkim niezliczone aresztowania, okrutne tortury uwięzionych, a potem korowody kibitek, wywożących nieszczęsnych wygnańców na Sybir...

Pomne wszystkim były zarządzenia nowego cara i króla, odbierające resztki pozorów wolności i zaciśkające jeszcze bardziej obrozę na szyi pognębionego narodu...

Car przybywa do Warszawy...

Prawda, od pewnego czasu ten ucisk jakby sfolgował, car jakby starał się zjednać sobie Polaków... A choć nie cofnął żadnego ze swych rozporządzeń, ograniczających wolność, zastrzeżoną konstytucją, za to starał się głaskać uczucia narodu i schlebiać jego dumie...

Oto w roku 1828 polecił wystawić w kościele O.O. Kapucynów kapliczkę na pomieszczenie serca króla Jana III, oświadczając przy tem: „że ma sobie za prawdziwe ukontentowanie, iż może uczcić grobowcem, z własnych funduszków wzniesić się mającym, drogie szczątki bohatera, wybawcy chrześcijaństwa, i że przez to może dać dowód czci, jaką jest przejęty, dla czynów i znakomych przymiotów jednego z najdostojniejszych poprzedników swoich...

W oświadczeniu tem przemilczał, iż tocząc w czasie owym wojnę z Turcją, w pysze swej uważał się za równego Sobieskiemu bohaterowi...

A gdy pod naporem wojsk rosyjskich padła twierdza turecka Warna, przysłał do Warszawy 12 dział tureckich, jako „ofiary zadość czyniącą ceniom młodego bohatera, który przed czterystu laty poległ w chwalebnej przeciw Turkom walce pod murami tej twierdzy“.

A w rok potem nowy dar, usiłujący nawiązać do dawnej tradycji toczonych przez Polskę z Turcją przesławnych bojów...

Tuż pobok wiszącej w kościele św. Jana chorągwi Mahometa, przez króla Jana III Sobieskiego zdobytej pod Wiedniem, rozkazał zawiesić buńczuki i chorągwie tureckie, w ostatniej kampanji zdobyte...

A potem, jakby przygotowanie, dekret ogłoszony dn. 17 kwietnia 1829 r. zapowiadający, iż w maju tegoż roku przybędzie do Warszawy, ażeby się na króla polskiego uroczyście w niej koronować...

To kokietowanie Polaków przez cara, te umizgi je-

go do narodu uciśnionego, nie wywołały takiego entuzjazmu, jakiego się spodziewał...

Zbyt niedawne były krzywdy doznane, a co najważniejsze, ucisk trwał bez zmiany, ażeby naród mógł uwierzyć w szczerość tych darów...

Tłum przyjmował je obojętnie, a niekiedy nawet i ze śmiechem, twierdząc, że za protekcją Sobieskiego i Warneńczyka car w łaski narodu wkupić się pragnie...

Przywódcy zaś narodu, politycy, łatwe znajdowali wytłumaczenie powodu tej szczodroblewości carskiej dla uczuć narodowych Polaków...

Wojna turecka ciężki miała przebieg, pochłaniała prawie wszystkie wojska rosyjskie, niszczone więcej przez zarazy i brak żywności, skutkiem niby małych kradzieży intendentów, niż przez wrogów, tak że państwo carów znajdowało się w bardzo trudnej sytuacji...

To też przykładanie lontu prześladowań, do takiej beczki z prochem, jakim był doprowadzony do rozpaczy naród polski, spowodować mogło katastrofę, nader groźną dla Rosji, a w skutkach swych nieobliczalną...

Stąd też ta łaska carska dla Polski te dary, sypiące się na nią, to wspomnianie jej przesławnych bohaterów, pod których tarczą pragnął car ukryć swą małość; swój despotyzm...

Rozumieli to wszystko bardzo dobrze politycy i naradzali się nad tem, co im w tym wypadku czynić należy i z jakimi żądaniami wystąpić wobec cara, w czasie jego pobytu w Warszawie...

Naradzali się też nad tem gorąco i spiskowcy Wysockiego...

XIV.

Ciemna, bezksiężycowa noc otuliła mrokiem swym Warszawę... Pustki już panowały na ulicach miasta,

zwłaszcza zaś na jego krańcach, zajętych tylko przez ogrody i małe domki... Przejście tamtędy zwłaszcza po ciemku, bez skrucenia karku, dla mieszkańców innych dzielnic stanowiło już wyprawę, na którą nie każdy chciał się narażać, zarówno w obawie przed grasującymi licznie w tych stronach opryszkami, którzy chętnie pozbawiali zbłąkanych tam przechodniów sakiewek, zegarków, a często bardzo i szat, jak i o całość swych kości i odzienia z powodu błota i niezliczonych wybojów...

A jednak nocy owej znalazło się kilkunastu tak odważnych, którzy wzgardziwszy niebezpieczeństwem przedzierali się ulicą Ogrodową, zatrzymywali się tam przed jednym z licznych parkanów, otaczających wielkie, ciągnące się do Leszna ogrody, i po zapukaniu do furtki, gdy rozwarła się ona bez szmeru, wkraczali do wnętrza, poczem krótki błysk latarki ślepej, oświetlającej na mgnienie twarz przybysza, zapytanie szeptem:

— Hasło?...

— Polska, — padała odpowiedź...

— Wolność, — brzmiał odzew, i przybysz kierował się w głąb ogrodu, wysadzaną lipami aleją do niższego domku, gdzie po wejściu na ganek to samo hasło i odzew powtarzały się wobec niewidzialnych wartowników...

Wtedy dopiero otwierały się drzwi i przybysz wpuszczony zostawał do obszernego pokoju, ze szczelnie zasłoniętymi oknami, słabo oświetlonego migotliwymi płomieniami czterech płonących na stole świec...

Przybyli, okryci płaszczami, z pod których ukazywały się to mundury wojskowe, to odzież cywilna, czasami zaś przebłyskiwała broń, jakby świadcząca o tem, że w razie niebezpieczeństwa gotowi są drogo sprzedać życie, — zbierali się grupami, rozmawiając o przeróżnych sprawach...

Północ się zbliżała, gdy wysoki i wysmukły Wysocki, policzywszy wzrokiem zebranych, rzekł dźwięcznym choć cichym głosem:

— Panowie, wszyscy już jesteśmy zebrani... Proszę zająć miejsca, otwieram posiedzenie...

Zasiedli wszyscy wokoło dużego stołu, a Wysocki ciągnął dalej:

— Przedewszystkiem chcę zdać waćpanom relację z rozmów moich z posłami sejmowymi i planu, który wspólnie z nimi ułożyłem... Plan ten przedstawiam do aprobaty zebranych... Sejm, a przynajmniej ci posłowie, którzy pragną gorąco i szczerze wolności Polski, przed samą koronacją podadzą carowi petycję o zniesienie artykułu dodatkowego i innych ograniczeń konstytucji, a w razie gdyby car odpowiedział odmownie, usuną się od udziału w uroczystości... Gdyby po tej doniosłej manifestacji rząd posunął się aż do uwięzienia jej uczestników, wtedy winno wybuchnąć powstanie... Cara z rodziną uwięzionoby w Warszawie, a wojsko przystąpiłoby do działań... Chwila po temu jest bardzo odpowiednia... Wszystkie wojska rosyjskie wciągnięte są w akcję przeciwko Turkom, nie będą więc miały, przynajmniej odrazu, możliwości stłumienia powstania... Ziemię, zabraną od Polski, ogołocone zupełnie z sił zbrojnych, będą mogły być zaraz zajęte, teatr wojny przerzucony odrazu nad południe i Dniepr, w okolice zasobne, gdzie ludność patriotyczna i wroga Moskwie wnet połączy się z nami... Da to nam możliwość uzbrojenia się do walki z nieprzyjacielem, osłabionym przez wojnę, rozrzuconym na olbrzymiej przestrzeni, mającym przed sobą groźnych Turków, a za sobą Dunaj i wygłodzoną Wołoszczyznę... Nie ulega też wątpliwości, że mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza Austria, której oddawna już ciąży przewaga Rosji, poprą nasze wysiłki i staną po naszej stronie...

Skończył mówić Wysocki i wśród zebranych zapanało milczenie. Jakby rozmyślali nad tem, co przed chwilą posłyszeli...

Po jakimś czasie dopiero rozległ się dźwięczny, nabrzmiały energją głos Mochnackiego:

— Powstanie... Wszyscy mówimy i myślimy o powstaniu, lecz nie robi się tego z dnia na dzień... Powstanie nie wybucha bez przygotowania, i to żmudnego, bardzo starannego...

Powstanie musi obalić rząd dawny, a stworzyć nowy, któryby zgodnie z potrzebami chwili sterował państwową ujął... Musimy wszystko przygotować, a żeby w biegu wypadków nie wytworzył się chaos, nie powstała próżnia, która nam tylko szkodę przyniesie może... Musimy mieć ten rząd gotowy, a żeby gdy chwila działania nadejdzie, naród cały wiedział, kto stoi na jego czele, kto odpowiada za jego losy i kto biegiem wypadków pokieruje... Musimy również mieć i wodza, któryby nazwiskiem swoim stanowił potęgę... Pan Wysocki jest tylko podporucznikiem, a ani naród, ani wojsko, go nie zna, nie słyszeli nawet o nim, niema więc on ani wiary, ani imienia, ani zaufania mas... Na jego głos nikt nie powstanie i naród nie powierzyłby mu losów swoich... Gdyby on, na przykład, stanął na czele rządów, powstanie w ciągu kilku godzin koniec by wzięło, bo nikt do niego by nie przystąpił... To samo by było, gdyby to uczynił każdy z nas... Przed przystąpieniem do czynu, potrzeba obrać rząd i wodza, którzyby odrazu wszystko w ręce swoje wzięli, w karby ujęli i całą sprawą należycie pokierowali...

Zamilkł Mochnacki, a wnet odpowiedział mu Wysocki:

— Rozumiem w zupełności obawy pana Mochnackiego i podzielam je w całej pełni... Naród nie może pozostać ani chwili bez rządu, jak i wojsko bez wo-

dza... Rozumiem i to, że ani ja, ani nikt z obecnych o stanowisku tem nawet myśleć nie może... Zbyt ma-
luczy i nieznani jesteśmy, ażeby naród cały pociąg-
nąć za sobą... Sprawa wtenczas napewno byłaby z gó-
ry przegrana, a nam nie wolno lekkomyślnie zarów-
no życia ludzkiego, jak i dalszej przyszłości narodu na
szwank narażać... Rozumiem i to, że do rządu należeć
muszą ludzie rozumni, światli, ojczyznę gorąco mi-
łujący, jak i to, że wodzem musi być mąż opromienio-
ny sławą, któryby cały naród porwał za sobą i do zwy-
cięstwa poprowadził... Lecz teraz trudno poszukiwać
tych mężów... przejęci są oni nieufnością do naszych
pocynań i ostrożnością, ażeby właśnie przez przed-
wczesne przygotowania szkody sprawie nie wyrzą-
dzić... Niech zamierzenia nasze staną się czynem,
niech pierwsze kroki nasze uwiecznione zostaną po-
wodzeniem, znajdzie się i rząd, znajdzie się i wódz,
który nas do zwycięstwa poprowadzi... Teraz przed-
wczesnie o tem rozprawiać...

Zaledwie skończył mówić Wysocki, gdy zerwał się
młody podchorąży Józef hr. Gurowski i zawołał:

— Co tu będziemy rozprawiać o rządzie i wodzu!..
Znajdą się oni, gdy chwila odpowiednia po temu
przyjdzie... Mówmy o planie, jaki nam przedłożył pod-
porucznik Wysocki... Plan jest dobry, tylko cara nie
należy uwięzić, ale zabić!... Zabić wraz z całą rodzi-
ną... Żeby ich nawet na nasienie nie pozostało... Car
żywy będzie dla nas jeszcze groźniejszym i za klęskę
poniesioną mścić się na nas będzie aż do ostatniego
pokolenia, on i potomkowie jego... Rosja po przegra-
nej, rychło siły odzyska... Ma ona dosyć ludzi, ażeby
nowe wojska wystawić... A wtedy biada nam... Zabić
ich, zabić!... W czasie przeglądu wojsk, my, podcho-
rążowie, dokonamy tego... A śmierć tyrana, otworzy
nam dopiero naprawdę drogę do wolności!... Zabić
go!...

Skończył Gurowski swe teńące nienawiścią, prze-
mówienie, i nim ktokolwiek na nie odpowiedzieć mu
zdołał, wstał starzec, o mądrym, pełnem dobroci obli-
czu... Poznali go wszyscy... Był to towarzysz więzienia
Kościuszki, bojownik wolności od lat wielu, znakomi-
ty poeta, Julian Ursyn Niemcewicz...

Wyciągnął przed siebie drżące dłonie i wyrzekł ci-
chym, ale mocnym głosem:

— Nie zabijać!... Polak żaden nie splamił i nie
splami rąk swoich krwią pomazańca bożego, a takim
już car będzie po koronacji... Nie zaczynamy walki
naszej świętej o wolność od skrytobójstwa... Nie ka-
lajmy naszych rąk krwią niewinnych niewiast i dzie-
ci... Nie wolno nam uczynić tego... Jako Polak, jako
człowiek, protestuję przeciwko temu... I wolę raczej,
ażeby sprawa cała przegrana została, niżby miała być
spełnioną ta zbrodnia...

W skupieniu słuchali wszyscy słów czcigodnego
starca, a gdy skończył, powstał zmieszany zgłębł gło-
sów, wśród których krzyżowały się głównie słowa:
„zabić, nie zabić“...

Trwało to czas pewien, przyczem słowa „nie za-
bić“ górowały, wreszcie nad wszystkimi zapanował
stentorowy głos porucznika Zaliwskiego, który rzekł:

— Przedwczesnie jeszcze jest rozprawiać o tem
wszystkiem... Wypadki same wskażą, co nam uczynić
należy, i one pokierują biegiem sprawy... Należy tyl-
ko, zdaniem mojem, pracę naszą prowadzić jaknaj-
energiczniej, kolisko spisku rozszerzać, wciągać do
niego coraz większe zastępy ludzi, ażebyśmy, gdy
chwila odpowiednia nadejdzie, mieli siły dostateczne...
Rząd się znajdzie, gdy zajdzie potrzeba, a wodzem
naszym będzie Chłopicki, lub Kniaziewicz, który na
wezwanie nasze do ojczyzny przybędzie... Głównie, a-
żeby mieć wszystko przygotowane, by ten wódz miał
kim dowodzić... Należy wzbudzać ducha rewolucyjne-

go w narodzie i wojsku, ażeby wypadki nie zaskoczyły ich nieprzygotowanymi.. Ot co... Niech każdy z nas pomnoży swą pracę, niech jedna zwolenników spisku wśród wojskowych i cywilnych, lecz niech czyni to ostrożnie, ażeby nie zepsuć sprawy... O zabiciu czy nie zabiciu cara będziemy mówić później... Położmy wprawd fundament dzieła naszego, a potem budować będziemy cały gmach...

— Racja... racja..., — odezwały się głosy, a gdy Wysocki zażądał ostatecznego wypowiedzenia się spiskowców, przychyłono się do zdania Zaliwskiego i połączono im dalsze rokowania z posłami sejmowymi i odpowiednio do tego układanie planów na przyszłość.

Północ już dawno minęła, gdy skończono obrady, i zebrani pojedynczo, ostrożnie, ażeby nie zwracać uwagi, opuszczać zaczęli samotny domek...

W opustoszałym pokoju pozostali tylko Wysocki i Niemcewicz...

Wyciągnął sędziwy poeta rękę do młodego podporucznika i drżącym głosem wyrzekł:

— Ciężkie i trudne zadanie wzięłeś na swe barki, podporuczniku... Wymaga ono wielkiej przezorności i przenikliwości... Niech cię Bóg błogosławi w dziele twojem, które natchnione jest li tylko gorącym umiłowaniem Ojczyzny... Błogosławię cię na ten czyn, który wyzwolenie Polsce przynieść może, lecz pomnij, iż krew choćby tyрана, bez potrzeby przelana, mści się... Pomnij o tem...

Ostatni opuścili samotny domek w ogrodzie i skierowali się do miasta...

Na niebie budził się już świt...

XV.

W połowie maja car Mikołaj zjechał do Warszawy... Zjechał z rodziną całą, z żoną i dziećmi, z bra-

tem, w. księciem Michałem, i zamieszkał w pałacu Łazienkowskim...

Pomimo swej dumy i pychy niepomiernej, wszelkimi sposobami starał się car zjednać sobie sympatję Polaków... Przywdział zarówno on, jak i brat jego w. ks. Michał, i syn — Aleksander, mundury wojska polskiego, mówił po polsku i na wszystkie strony sypał komplementy, starając się, choć nieudolnie, naśladować brata swego, cara Aleksandra I.

Gdy mu Konstanty przedstawiał oficerów polskich, pyszniąc się, słusznie zupełnie, ich rycerską postawą, rzekł do nich:

— Cieszę się, panowie, że jestem między wami; życzę sobie, abyście byli ze mnie kontenci, jak ja jestem z was kontent. Przedstawiam wam swego syna, a nowego kolegę waszego. Zaręczam wam, że jest dobrym Polakiem, bo był wychowany takim, i spodziewam się, że przyjdzie czas, w którym go za takiego uznacie...

Jakoż młodziutki w. książę Aleksander, będący właścicielem I pułku strzelców konnych, ubierał się w mundur polski, mówił po polsku, wyrażał się wraz z ojcem z uwielbieniem o królu Janie III, a nawet jeździł wraz z nim do Wilanowa, aby widzieć drzewa, sadzone ręką bohatera z pod Wiednia.

Wszystko to jednak nie mogło wywołać wśród narodu raptownej przychylności, nie mogło zatrzeć zbyt niedawnych krzywd i upokorzeń, nie mogło usunąć wspomnień krwawych ofiar...

Przyjęcie, jakiego doznał car Mikołaj w Warszawie, było chłodne i obojętne, a właściwa mu sztywność i wyniosłość, na którą z musu tylko kładł maskę uprzejmości, nie umiały wzbudzić dla niego zaufania, ani zapалу...

W okresie przed koronacyjnym w kołach politycznych, zwłaszcza poselskich Warszawy, panowało

wrzenie. Prowadzono narady ożywione nad tem, co czynić należy, jak wykorzystać najodpowiedniej polityczne położenie kraju i carstwa, zagrożonego równocześnie wojną turecką i widmem koalicji mocarstw zachodnich.

Większość posłów sądziła, że jest to chwila najodpowiedniejsza, ażeby zaprotestować przeciwko pogwałceniu konstytucji i domagać się zniesienia artykułu dodatkowego...

Toczono poufne narady, opracowywano projekty protestu, a gdy protest Niemojowskiego okazał się zbyt ostrym, przyjęto łagodniejszy Barzykowskiego i Lelewela.

Przystąpiono do zbierania pod nim podpisów.

Lecz rząd przez szpiegów swoich dowiedział się o tych naradach i o proteście, i postanowił jaknajenergiczniej przeciwdziałać temu...

Zaczęto wpływać na poszczególnych posłów, dowodząc im, że krok tak niezwykle, wobec tego, że izby zostały wezwane tylko dla uczestniczenia w obrządku koronacyjnym, że nie mają one najmniejszego prawa podawać do tronu pism zbiorowych, i że złożenie podobnego protestu, zwłaszcza po ostatnich wypadkach, byłoby do pewnego stopnia aktem buntowniczym...

I umiano tak wpływać na chwiejnych i tchórzliwych posłów, że kiedy przyszło do podpisywania protestu, czterdziestu kilku zaledwie odważyło się pod nim podpisać swój położyć... Że zaś podobna manifestacja mogła mieć skutek tylko przy jednomyślnem wystąpieniu wszystkich posłów, akt cały tracił znaczenie i musiał być wrzucony do kosza...

Wysocki, który gorączkowo interesował się całym przebiegiem tej akcji, ze względu na dalszy rozwój wypadków, w przeddzień nieomal samej koronacji, zgłosił się wraz z najgorliwszymi pomocnikami swoimi, Zaliwskim i Urbańskim, do posła Zwierkowskiego,

u którego zastali już posłów Trzińskiego i Małachowskiego.

Z nimi trzema porozumiewali się we wszystkich sprawach, związanych ze spiskiem, i przy ich pomocy starali się nawiązać łączność z posłami...

Przyjęli ich oni i nie czekając nawet na zapytanie Wysockiego, poseł Zwierkowski rzekł:

— Wszystko przepadło...

A gdy Wysocki z kolegami czekali na wyjaśnienie, poseł począł mówić gorączkowo:

— Tchórze... ułękli się... przestraszyli się grózb Konstantego... Lęk ich przejął, że wzięci zostaną za buntowników, i że może ich spotkać los Łukasiewskiego i Krzyżanowskiego... Drżenie ich przejęło w obawie o całość skóry i odmówili podpisów... Jesteśmy bezradni...

— Cóż więc nam czynić pozostaje? — spytał Wysocki.

— Czekać, — odrzekł poseł Małachowski: czekać, aż nadejdzie chwila odpowiednia...

— A jakaż chwila mogłaby być odpowiedniejszą od obecnej? — rzekł gorąco Zaliwski: chwila, gdy wróg jest osłabiony, a wojsko czeka tylko na rozkaz do wystąpienia...

— Tak, przyznaję panu słuszość, — poręcznikowi, — rzekł Zwierkowski, — tak odpowiednia chwila nie zdarzy się prędko, ale coż poradzimy... Występując teraz, całą sprawę na pewną przegraną narazilibyśmy, gdyż byłibyśmy garścią tylko, a nietylko wróg byłby przeciwko nam, ale i oni... oni, którzy stanowią, niestety, większość w narodzie... A bez poparcia narodu nic nie poradzimy...

— Ale czasami dla dobra narodu, wbrew temu narodowi czynić należy, — energicznie rzekł Urbański: i myśmy tak uczynić winni...

— Lecz nam nie wolno iść na niepewne, — rzekł

Trzeciński: nie wolno narażać na przegraną sprawę, gdyż nie my za to pokutować będziemy, tylko naród cały...

— Więc cóż czynić? — powtórzył swe zapytanie Wysocki.

— Czeakać i tylko czekać, — odrzekli posłowie...

Zakończyli na tem rozmowę, pożegnali się i wyszli...

W milczeniu doszli do placu Trzech Krzyży, gdy Urbański gorączkowo żegnać się zaczął z Wysockim i Zaliwskim...

— Gdzie idziesz? — spytał go Wysocki.

— Idę Podchorążówkę szykować do czynu, — odrzekł Urbański i śpiesznie w stronę Łazienek podążył...

— Co ten szalony zamierza? — przebiegło błyskawicą przez głowę Wysockiego: co on chce zrobić?... Czyżby?...

I w szalonym pędzie przemknęły wspomnienia: narada nocna, gdy Gurowski postawił wniosek zabicia cara i jego rodziny... Protest Niemcewicza i jego błaganie: nie zabijać!...

I paroma szybkimi krokami dopadłszy do Urbańskiego, schwytał go za ramię, zatrzymał i rzekł:

— Słuchaj, ty zamyślasz coś szalonego?...

— Puść mnie... Pilno mi...

— Słuchaj, — powtórzył z naciskiem Wysocki: przypomnij sobie słowa przysięgi... że wszystko musi być podporządkowane dobru ogólnemu... zastanów się, co chcesz czynić...

Zachwiał się Urbański i z wzrokiem utkwionym w ziemię, rzekł:

— Trudno... trzeba czynu, któryby obudził z uspienia te odrętwiałe w niewoli dusze... Czyn musi się stać... Tyran zginąć musi...

— Szalony... Czyż nie wiesz, że z nim kraj cały

zginąć może... że śmierć jego może się stać powodem śmierci wielu, wielu tysięcy nie tylko już mężczyzn, ale i niewiast i dzieci, że Polska może wpaść w sroższą jeszcze niewolę... że odwrócą się od nas, jako od królobójców, wszystkie narody świata... ba, nawet ci wszyscy, którzy nam pomoc obiecują... naród cały... i my, garść tylko, zostaniemy odosobnieni... wystawieni na hańbę i zagładę...

Argumenty jego, z mocą wypowiedziane, trafiały stopniowo do przekonania Urbańskiego, który pod ich wpływem chwiał się, miękł, tracił swą energję...

— Co czynić więc?... Mów, co czynić?... — pytał gorączkowo.

— Czeakać... rozważyć wszystko i uderzać, ale na pewno, niechybnie...

A widząc, że Urbański bliskim jest wyrzeczenia się swych zamiarów, dodał:

— Przysięgnij mi dla dobra Polski, że nie przedsięweźmiesz nic bez porozumienia się ze mną...

— Zakłąłeś mnie tak, że przysięgnę, — odrzekł Urbański, poczem wracając do swej myśli pierwotnej, rzekł z uporem manjaka:

— Ale podchorążym rozdaję skałki i ostre naboje... niech będą gotowi na wszelki wypadek...

— Dobrze, to można, — rzekł Wysocki, robiąc mu ustępstwo; ale pamiętaj, że nic nie wolno czynić bez znaku, danego przezemnie...

Rozstali się.

A następnego dnia, 24, 1829 r., w sali koronacyjnej w zamku, arcybiskup Woronicz pomazał olejem świętym skronie tego, który uzurpatorsko mianował się królem polskim, i włożył na stronie jego koronę królewską. Uroczystość cała odbyła się z wielkim przepychem i okazałością. Przybyli na nią ambasadorowie obcych mocarstw i mnóstwo cudzoziemców...

Przybyli licznie posłowie i senatorowie, oraz znakomici obywatele z całej Polski...

Lecz brak było tej uroczystości radosnego nastroju, przeciwnie, na twarzach wszystkich widniał smutek lub obojętność, przypominała ona raczej obchód pogrzebowy, niż radosna ceremonja ukoronowania tego, który losy narodu w ręku swoim dzierżył...

A gdy prymas, włożywszy na skronie cara koronę, zawołał trzykrotnie:

— Vivat rex in aeternam! — głuche mu odpowiedziało milczenie... Milczenie aż przykre, przerwane przez huk dział z tarasu zamkowego...

Dnia tego odbył się obiad w zamku, dany na 300 osób, na którym panował nastrój sztywny i ceremonialny...

Odbyła się również zabawa dla ludu na placu Ujazdowskim, i tam podpite pospólstwo tylko witało głosnemi okrzykami rodzinę carską, powracającą z zamku po uroczystościach do Łazienek, lecz w okrzykach tych nie było radości, zapалу, entuzjazmu...

A następnego dnia na placu Saskim odbył się przegląd wojsk...

Przybył nań car z całą rodziną, a Konstanty z uśmiechem dumy i zadowolenia pokazywał carowibratu, to wojsko polskie, które kochał i które chlubą jego było, dla którego prawie że poświęcił wszystko, aż do korony nieomal...

Szedł pułk za pułkiem, oddział za oddziałem, krokiem sprężystym i energicznym, tak różnym od ciężkiego kroku żołdaka moskiewskiego...

Szli żołnierzykowie polscy, patrząc prosto w twarz tego cara, który wrogiem ich był i władcą zarazem...

A gdy przyszła kolej na szkołę podchorążych, szli oni skupieni, milczący, a w oczach ich gorzał płomień dziwnej determinacji... szli, patrząc nie na cara, a w

stronę, gdzie wśród innych oficerów stał skromnie na uboczu Wysocki...

Patrzeli, czy nie da on im znaku do czynu... Oczekiwali na ten znak, boć przecież nie napróżno Urbański rozdał im rano skałki i ostre naboje...

Wysocki stał pochylony, zamyślony, z wzrokiem utkwionym w ziemię...

Od niego zależało, by z całej świetnej rodziny carskiej, z otaczającego ich roju błyszczących dworaków, nic nie pozostało... By cały plac Saski zlany został potokami krwi; okryty stosami drgających w męce ciał... By zapanował na nim bój śmiertelny, w którym wiadomo kto byłby zwycięzcą... By dokonany został czyn, który by może dał wolność narodowi, lecz na wieczne czasy okrył go hańbą skryto i królobójstwa...

Od jednego jego znaku...

I on znaku tego nie dał...

Cofnął się, po całonocnem zmaganiu z sobą, w ostatniej niemal chwili...

Cofnął się przed hańbą i przed mordem niewinnych niewiast i dzieci, które plac zapelniały...

A w uszach jego brzmiały wciąż błagalne słowa Niemcewicza:

— Nie zabijajcie!... Nie czyńcie hańby!...

I podchorążowie, zdumieni, że znaku niema, odmaszerowali do koszar, a car dziękował wodzom, nie wiedząc, że cudem nieomal uniknął śmierci, że życie jego i rodziny zależało od skromnego, nikomu nieznanego podporucznika grenadierów, stojącego na uboczu...

Parę dni jeszcze zabawił car w Warszawie, niezadowolony ogólnie z zimnego przyjęcia, jakiego doznał. Życie w Warszawie wróciło do dawnego trybu...

A spiskowcy stracili najlepszą okazję do wystąpienia, — stracili, skutkiem małoduszności posłów sejmowych...

A niewiadomem było, czy prędko się druga podobna nadarzy...

XVI.

Po wyjeździe cara Mikołaja, pozorny spokój zapanał w Warszawie... Zdawało się nawet, że spiskowcy zaprzestali swych działań, wyrzekli się zamiarów swoich, gdyż przynajmniej niczem nie objawiali działalności swojej...

Lecz było to tylko pozorne, gdyż wewnątrz spisku praca wrzała, może nie tak gorączkowa, nie tak nerwowa, lecz za to systematyczna, starająca się zaprowadzić pewien ład i porządek w całej organizacji.

Praca ta coraz szersze zataczała kręgi, obejmując coraz to nowe zastępy oficerów, młodych, zapalnych, nie mogących patrzeć obojętnie i spokojnie na ucisk, jaki znosiła Ojczyzna...

Równocześnie poczęto do pracy organizacyjnej wciągać i młodzież akademicką, licząc na to, że w chwili wybuchu zapalem swoim wciągnie ona do czynnego udziału w walkach ludność cywilną, na której w znacznym stopniu spiskowcy oprzeć się zamierzali...

Trzej przywódcy spisku, Wysocki, Urbański i Zaliwski czynni byli bez przerwy, to wiodąc narady z posłami Zwierkowskim, Małachowskim, Trzcińskim i innymi, którzy w działalność i zamierzenia spiskowców wtajemniczeni byli, to znów z poszczególnymi spiskowcami, którzy zdawali im sprawę z działalności swojej i posuwania się naprzód spraw spiskowych...

Od działalności spiskowej odsunął się Maurycy Mochnecki, zrażony niepowodzeniem projektów swoich o wyłonieniu zawczasu przyszłego rządu, lecz mimo to, związany z grupą młodych pisarzy, uzyskawszy skutkiem zwolnienia ucisku cenzury prawo wydawania pisma „Kurjer Polski“, przez rzucane w niem

ostrożnie hasła wolności i postulaty, jakie naród miał prawo wysuwać — budził świadomość ogółu, przygotowywał grunt do przyszłych wystąpień...

Wszyscy jednak ogólnie uznawali, że chwila do wystąpienia zbrojnego nie była odpowiednią...

Po uroczystościach koronacyjnych i wyjeździe cara Mikołaja, ucisk jakby się zmniejszył, zapanowało jakby odprężenie dotychczasowego systemu, aresztowania zmniejszyły się znacznie, a, jak już wspominaliśmy, cenzura stała się łagodniejszą...

Główną jednak przyczyną był nad wyraz pomyślny stan gospodarczy kraju, zapewniający wszystkim dobrobyt i nie dający żadnych powodów do narzekania.

Było to prawdziwą zasługą ministra skarbu, księcia Lubeckiego, który mądrą i przewidującą polityką swoją, doprowadził do świetnego stanu ekonomicznego...

Lojalny w stosunku do cara, jako do króla polskiego, toczył zaciętą walkę z ministrami, generałami i urzędnikami rosyjskimi, a zwłaszcza z Nowosilcowem, którzy z Polski kolonję moskiewską urządzić chcieli...

Walka ta zaciętą była, lecz, ożywiony swą ideą i miłością kraju, Lubecki, zawsze zostawał w niej zwycięzcą...

Tworzył też przemysł krajowy, zdobywając dla zbytu wyrobów jego rynki nie tylko rosyjskie, ale het, daleko, na wschodzie i zachodzie.

Stworzył Tow. Kredytowe Ziemskie i Bank Polski, które łatwym i tanim kredytem przyczyniały się do rozwoju zarówno rolnictwa, jak i przemysłu... Stworzył szereg fabryk, wyzwalaając w ten sposób kraj z zależności od obcych i dając pracę tysiącom ludzi; stworzył żeglugę parową na Wiśle, wielkie zakłady żyrardowskie, ożywił górnictwo...

Ażeby przysporzyć na te wszystkie zamierzenia

funduszów, mądry i przewidujący Lubecki powziął projekt, z którym miał wystąpić na najbliższym, na r. 1830 wyznaczonym sejmie...

Był to śmiały projekt sprzedaży wszystkich dóbr narodowych, ażeby uruchomiony w ten sposób olbrzymi majątek narodowy, obrócić na cele produkcyjne...

Czyniono mu z tego powodu zarzuty, lecz odpowiadał śmiało:

— Dobra narodowe jest to przedmiot ciągłych pragnień i pożądliwości generałów rosyjskich; domagają się ich bezustannie od cara, jako wynagrodzenia, twierdząc, że ich walecznością i poświęceniem ten kraj zdobyty został, dodając nadto, że w ten sposób Polska odrazu moskalami się zasiedli i zarazem zmieni się w prowincję moskiewską... Nowosilcow, ten zły duch Polski, szczególnież tę myśl popiera, bo zapewne i sam ma nadzieję na tem skorzystać i wie dobrze, że byłby to dla nas cios śmiertelny. Car wprawdzie dotychczas opiera się wytrwale temu natrętnemu judaszowskiemu żebractwu, ale inne okoliczności, inne rady mogą z czasem zmianę w jego zdaniu wprowadzić, może naleganiom ulec i dobra rozdaruwane być mogą... Stracimy je i Moskali wśród siebie dostaniemy... Aby wyjść z tego niebezpieczeństwa, niema innego środka, jak sprzedać dobra. Nie rozdarują tego, czego nie będzie, a kapitały tymczasem pójdą na pożytek kraju... Brak kapitałów sprawia, że przemysł i handel ożywić się nie mogą. Część funduszów zebranych wypożyczyć na dobra prywatne i procent będzie mi tyle czynił, ile dawniej dobra całe przynosiły. Z części założę Bank Krajowy, aby industrii i handlowi przyjść z pomocą, część zaś włożę w kuźnię rządowe, gdzie nie tylko żelazo i narzędzia rolnicze i fabryczne wyrabiać się będą, ale mniemam, że z czasem i to zrobić potrafię, że nam wyrabianie broni do-

zwolonom zostanie i naród będzie posiadał wszystko, co do jego istnienia jest potrzebne...

Doniosły a mądry projekt jego spotkał się z gorącą opozycją, wywołaną głównie tem, że książę minister nie posiadał sympatji, ani zaufania u powszechności...

W końcu maja 1830 r. przybył do Warszawy car Mikołaj na posiedzenie sejmu. Spodziewania jego co do spokojnego przebiegu obrad spotkały się z zawodem... Opozycja tym razem wystąpiła energicznie, nie dopuszczając do uchwalenia wszystkich przedłożeń rządowych...

Jakby ogarnięty dziwną jakąś gorączką, sejm z małemi wyjątkami odrzucał jeden projekt za drugim, a gdy przyszło do rozważań nad raportem Rady Stanu, wystąpił z ostrą krytyką wszystkich poczyną i zamierzeń Rządu...

Wystąpił Barzykowski z ostrą krytyką działalności Komisji Oświecenia, wytykał nieprawne zaprowadzenie cenzury, zmniejszenie liczby szkół elementarnych, zupełne zaniedbanie szerzenia oświaty i t. p.

Lelewel znów poruszył kwestję samowoli policji, zaniedbanie szpitali i więzień...

Krytykowano ostro wszystko, co rząd zrobił, a w ferworze opozycyjnym posunięto się aż do krytykowania działalności Lubeckiego, lecz sprawa ta zakończyła się dla niego triumfem...

Podobne stanowisko sejmu zadziwiło wielce cara Mikołaja, który spocząwszy dopiero co na laurach zwycięzcy, po zawarciu z Turcją pokoju w Adrjanopolu, czuł się silnym bardzo i w pysze swej lekce sobie ważył wszystko...

Odjechał też z Warszawy wielce niezadowolony z „jakobińskich“ wystąpień Sejmu, i z postanowieniem w głębi duszy ukrócenia tej zarazy wolnościowej, która idąc z zachodu przez Polskę, groziła po-

ważnie samowładztwu jego w Rosji, a przed którą nie mógł obronić się żadnemi rogatkami i murami.

Opozycyjny, wprost bojowy nastrój Sejmu podziałał elektryzująco na całe społeczeństwo, przygotowując grunt odpowiedni dla działalności spisku.

XVII.

Wysocki nie zniechęcił się bynajmniej niepowodzeniem projektów, związanych z pobytem cara w Warszawie... Przeciwnie, jakby zachęcony napotykaniami przeszkodami, do tem wytrwalszej przystąpił pracy nad rozszerzeniem i umocnieniem związku, cały czas wolny od wykładów w szkole podchorążych tej sprawie poświęcając...

Porozumiewał się stale ze spiskowcami, dawał wskazówki, usprawniał ich działalność, pochłonięty jedną jedyną myślą, ażeby związek rozrósł się tak, by objął swem koliskiem całą ziemię polską, a wtedy walka z wrogiem nie byłaby trudną...

Lecz zjednoczyć wszystkich, zestrzelić ich myśli w jedno potężne ognisko, z którego wykwitnąłby cudowny kwiat zmartwychwstania, wydawało mu się z każdym dniem rzeczą coraz mniej możebną...

Miał zresztą przykłady tego dość liczne w samym związku...

Ot, choćby wziąć za przykład takiego Mochnackiego... Zdawało się, że gorętszego i gorliwszego od niego patrioty trudno byłoby znaleźć, że dla umiłowanej nade wszystko sprawy wyzwolenia Ojczyzny poświęci wszystko, nawet życie swoje, a tymczasem po krótkiej próbie okazało się, że i owszem, poświęci wszystko, oprócz własnej... ambicji...

Obrażony bowiem, że na jednej z porad zdanie jego w sprawie spisku zostało zlekceważone, usunął się zupełnie ze sprzysiężenia i to do tego stopnia, że

nagabywany przez jego uczestników, zamknął drzwi przed nimi, a z Wysockim zerwał zupełnie stosunki...

Rozgoryczony odrzuceniem poglądów swoich, zwątpił całkowicie w powodzenie sprawy, zdaniem jego nieudolnie zaczętej, zaczął bowiem naraz widzieć w spisku całym różne złe strony, a gdy mu tłumaczono, iż rzecz już za daleko posunięta została, ażeby można było się cofnąć, gdyż to narazić może ludzi w spisku poważnie zaangażowanych, twierdził bez wahania, że jednak lepiej się cofnąć, niż źle zaczynać. Mówił:

— Nie robi się powstania dla tego, aby ocalić kilku ludzi, którzy się przedwcześnie posunęli za daleko; lepiej jest poświęcić kilku, aniżeli samą sprawę narodową...

Trudno też opisać zdumienie Wysockiego, gdy powróciwszy pewnego wieczoru do domu, na parę dni przed przyjazdem cara do Warszawy na otwarcie sesji sejmowej w maju 1830 r., znalazł kartkę z krótkim napisem:

„Będę jutro o szóstej w ważnej sprawie. M. Mochnacki“.

Szymek, wręczając mu tę kartkę, oznajmił, że oddał mu ją sam pan Mochnacki, który przyszedł z jakimś drugim panem.

Co się stało, że teraz Mochnacki chciał się z nim widzieć, jak sam pisał, w ważnej sprawie?... Czyżby zmienił swe zdanie?...

Wysocki dobrze rozumiał i oceniał należycie znaczenie udziału w spisku tak potężnej indywidualności, jaką był Mochnacki, z ciekawością też oczekiwał jego wizyty...

O oznaczonej godzinie, punktualnie, przybył Mochnacki, a towarzyszyło mu dwóch młodych jeszcze ludzi, o powierzchowności zwracającej uwagę...

Przedstawił ich Wysockiemu, jako przyjaciół swoich, Nabelaka i Goszczyńskiego, — poetów...

Nabielak, z zawodu prawnik, z zamiłowania jednak poeta, literat i badacz, natura bujna, zawadająca, o sercu gorącym, przed niedawnym dopiero czasem przybył z Galicji, ażeby wziąć udział w wypadkach rewolucyjnych w Królestwie, o przygotowaniach do których głuche wieści tam krążyły. Z oczu jego wyzierała odwaga szalona, niepomahowana, nieznająca przeszkód...

Poetą również i to niepowszednim, był i drugi towarzysz Mochneckiego, Goszczyński Seweryn... Odznaczał się i on również szaloną odwagą, jak również i poszukiwaniem niezwykłych przygód, rojeniami o czynach wielkich, bohaterskich...

Głośne były przygody jego, gdy jako młody chłopiec, nie mając ani grosza w kieszeni, o żebranym nieomal chlebie, podążył do Grecji, ażeby wziąć tam udział w walkach o wolność tego wyzwającego się z pod jarzma tureckiego narodu...

Nadzieje jednak zawiodły go i siedem lat spędził na tułaczce, od chaty do chaty, w poszukiwaniu zarobków, aż wreszcie przybył do Warszawy, bogaty w doświadczenie, z wyrobioną przez życie wytrwałością, stanowczością i hartem...

Poznawszy się z Mochneckim, zbliżył się do niego, stał się prawie nieodłącznym towarzyszem jego, a wtajemniczony przez niego w projekty spiskowe, zapalił się do nich, i dotąd nalegał, aż go wreszcie tenże przywiódł do Wysockiego.

Po przywitaniu, przez czas pewien trwało kłopotliwe milczenie, aż wreszcie przerwał je Mochnecki i rzekł:

— Panie Piotrze, przychodzę do pana, ażeby wznowić rozmowę, jaką mieliśmy przed rokiem, gdy car miał przyjechać do Warszawy na koronację... Rozmyślałem nad nią długo, i przyszedłem do przekonania, iż wobec zapowiedzianego znów przyjazdu

cara snute wtedy projekty mogłyby teraz ulec urzęczywstnieniu...

— Tak, — przyświadczył Wysocki: — mogłyby, tylko że chwila jest o wiele trudniejszą, niż wtedy... W czasie owym car był uwikłany w wojnę z Turcją i wojska rosyjskie prawie wszystkie były na placu boju... Wtedy zwycięstwo było prawie pewne, a teraz jest inaczej... Wojna skończona, car zwycięzcą, mógłby rzucić na nas całą potęgę wojsk swoich i zgnieść nas...

— Tak, ma pan słuszość, — rzekł Mochnecki: — pod tym względem jest gorzej... Ale musimy brać pod uwagę i inne okoliczności... Wtedy nie było pewnem, czy cały naród stanie przy nas, czy znajdziemy poparcie wśród niego, czy nie będziemy garścią osamotnionych szaleńców, od których z przerażeniem wszyscy się odwrócą... Dziś jest inaczej... Dziś nie ulega wątpliwości, że naród cały stanie po naszej stronie, że poprze nasz wysiłek, a przez to stworzymy moc granitową, o którą rozbije się moc moskiewska...

— Wszędzie unosi się jakieś dziwne tchnienie wolności, — śpiewnym głosem wtrącił Nabielak: — od zachodu idzie jakiś wiew czarowny, który rozszerza piersi ludzkie, budzi w nich uśpione pragnienia i chęć zrzucenia kajdan niewoli...

— Wiem o tem, — odrzekł Wysocki: — zaczyna się ludziom palić w głowach... Podchorążowie nie mogą doczekać się chwili wybuchu... Tak samo jest i w wojsku, które czeka tylko na znak... Zwłaszcza, że z zachodu, szczególnie z Francji, idą dziwne jakieś prądy, zwiastujące walkę z uciskiem... Lecz nam nie wolno być lekkomyślnymi... Pamiętać musimy o tem, że nie swoje osoby tylko wystawiamy na niebezpieczeństwo, ale i kraj cały... Że nieobmyślany, lekkomyślny krok przypłacić możemy niewolą jeszcze gorszą ca-

tego kraju... Gdyby szło tylko o nasze głowy, nie wa-
hałbym się i chwili, ale tu idzie o miliony istot...

— Więc co? — przerwał Goszczyński.

— Musimy dobrze rozważyć wszystko, porozumieć
się, obliczyć...

— Znów kunktatorstwo, — zachnął się Nabelak.

— Tak, kunktatorstwo, podyktowane przez ro-
zum, — odrzekł z powagą Wysocki.

Zapanowała chwila milczenia, poczem Mochacki
rzekł z namysłem:

— Tak, przyznaję panu słuszność, panie Piotrze...
Takich rzeczy, jak rewolucja, nie robi się bez namy-
słu i zastanowienia... Choć wierzę, że powstanie może
teraz przybrać taką postać, jakiej już żadna siła kontr-
rewolucyjna nie będzie mogła zmienić, musimy jednak
podporządkować się warunkom chwili i czekać na naj-
odpowiedniejszą... Mam też niezłomną pewność, że ona
wkrótce nadejdzie...

— I ja w to wierzę, — odrzekł Wysocki: — i dla-
tego i my, wojskowi, i panowie, cywilni, musimy przy-
gotowywać tak wszystko, ażeby ona nas nie zasko-
czyła nieprzygotowanymi... Praca nad rozszerzeniem
naszego szczupłego dotychczas grona, musi być pro-
wadzona śpiesznie, ażeby gdy pożar wybuchnie, pło-
mienię jego ogarnęły wszystkich, ażeby wroga można
było pokonać nieochybnie i zwycięzcami wyjść z walk,
które nas czekają...

— Zgadza się w zupełności ze zdaniem pana, —
rzekł Nabelak: — my jesteśmy w zupełności z wa-
mi... Chcemy pracować i walczyć wspólnie i dlatego
pragnęlibyśmy porozumieć się bliżej, celem zjedno-
czenia naszych wysiłków...

— Proszę panów bardzo, — odrzekł Wysocki, a ra-
dostć błysnęła w oczach jego...

Rozumiał bowiem dobrze, że spiskowi przybywał
sukces potężny, gdyż znanym mu był dobrze wpływ,

jaki ci trzech najwybitniejsi przedstawiciele młodej
generacji na społeczeństwo, a zwłaszcza na młodzież
wywierali...

Przystąpiono też do omawiania szczegółowego wa-
runków współpracy, tworzenia nowych kół organiza-
cji, rozszerzania zakresu działania...

A po wyczerpaniu tematu, wstali goście, a przy
pożegnaniu, ściskając gorąco dłoń Wysockiego, Moch-
acki rzekł wzruszony:

— Teraz, panie Piotrze, razem pracować będzie-
my wszyscy, ażeby zamierzenia nasze czemprędzej
w czyn się przyobkleły...

XVIII.

Nie doszło jednak do wybuchu w czasie bytności
cara Mikołaja w Warszawie, gdyż kierownicze koła
sejmowe uznały, że czas jeszcze nie nadszedł, że trze-
ba czekać...

Lecz mnogie bardzo znaki ostrzegawcze, a zwła-
szcza wieści, płynące z zachodu, wieści ożywcze, bu-
dzące w sercach prawie wszystkich nadzieję i radość,
zwiastowały, iż chwila tak upragniona nadchodzi,
zbliża się olbrzymimi krokami i lada chwila potężnym
dzwonem wybije na zegarze dziejów, wzywając do
czynu, do walki...

I oto rozległo się pierwsze uderzenie...

Paryż powstał!... w Paryżu rewolucja! Lud fran-
cuski, w którym nie wygasły tradycje i wspomnienia
1789 r., w którym, jak żywe, przetrwały tradycje
świetnej epoki Napoleona, nie mógł znieść dłużej pęt
reakcji Burbonów, zateśknił do wolności, do odzyska-
nia utraconych praw, i jednym potężnym wybuchem
zrzucił z siebie w lipcu 1830 r. jarzmo tyranów, i wy-
ciągnął oswobodzone ręce ku jasnemu słońcu wolno-
ści...

Próżno rząd moskiewski stawiał roгатki, ba! mury wznosił prawie, by ta wieść radosna nie przedostała się do ziem, pod jarzmem jego pozostających... Próżno odgradzał się nieprzebytymi wprost przegrodami, by nawet szept najmniejszy o tej straszliwej zbrodni buntu przeciwko świętym, przyrodzonym prawom monarchów, o tym ohydny triumfie jakobinów, — nie przerwał murów więzienia, w którym żyli wszyscy wierni poddani jego carskiej mości, by w mózgach tych poddanych nie zbudził zbrodniczych myśli, za które tylko szubienica, knut i Sybir ich czekały, i nie zachwiał gmachem, zbudowanym na przemocy i gwałcie, gmachem carskiego samowładztwa...

Próżno jednak car i oddani mu duszą i ciałem satrapi, chcieli wieść radosną powstrzymać, myśl ludzką ujarzmić, uwięzić...

Lotna, jak ptaszę, przebyła wszystkie przeszkody, wszystkie kordony, i radosnym uśmiechem krasila usta niewolników, w jarzmie jęczących...

— W Paryżu rewolucja!... Lud zwycięzca!... Reakcja zwalczona...

I szerzyła się wieść radosna z szybkością błyskawicy, budząc wszędzie nadzieję, a z uciśnionych piersi mknęło tylko jedno westchnienie:

— Kiedyż to u nas?...

Wszędzie też szeptano sobie wieści o tem, jak lud francuski, sprzykrzywszy sobie ucisk rządu reakcyjnego, powstał, jak walczył z pogardą życia na barykadach o wolność, którą umiłował tak gorąco, i jak kosztem wielu ofiar zdobył ją...

Tajnymi, nieuchwytnymi dla szpiegów moskiewskich drogami przedostawały się pisma francuskie i inne, opisujące szczegółowo te wypadki, rozchwytywano je, odpisywano, uczono się nieomal na pamięć, i pod ich wpływem serca ludziom żywsem były tętnem, oczy patrzyły śmielej, budziły się skryte do cza-

su tego nadzieje, że jednak i polskiej niedoli kres najdziej musi, że i dla nich kiedyś zaświta zorza wolności...

Jakby pod jakimś ożywcem tchnieniem zmienili się ludzie... Znikło gdzieś przygnębienie i pokora, które dotychczas cechą prawie wszystkich były...

Ludzie wyprostowali się, głowy podniosły się hardo do góry, a potulna i uległa do czasu tego publiczność, śmiało się wobec władz wszelkich stawiać poczęła...

Ba, doszło nawet do tego, że zwykły, potulny do czasu tego mieszcuch, Janiszewski, kijem obił na ulicy Długiej powszechnie nie lubianego prezydenta miasta Wojdę, któremu zarzucano zbytnią uległość władzom, zagnieżdzenie szpiegostwa na ratuszu, przeróżne nadużycia na szkodę miasta i ludności...

Fakt ten ludność przyjęła z aplauzem, a młodzież akademicka nosić poczęła grube kije, nazywane „wojówkami“.

Ba, nietylko kije nosiła młodzież, ale i specjalne guziki z portretem Kościuszki; zrzuciła z siebie mundury i pojawiała się na mieście w czamarkach i konfederatkach...

Zbierała się gromadnie i ciągle w kawiarniach Baroka i Brzezińskiej, w sklepie Grassona, oraz w kółkach prywatnych, i śpiewała tam pieśni burszowskie, jak: „Gaudeamus igitur“, „Sic vivamus“, „Dusić książkę“, „Ostry bursz“, lub patryjotyczne: „Cześć polskiej ziemi, cześć“, „Hej Sarmato luby!“... i t. p.

Krażyły opowieści, że na jednej z wakacyjnych wycieczek pieszych spotkali się akademicy warszawscy w Częstochowie, z akademikami krakowskimi, przebranymi za górali, że odbywali tam z nimi tajemnicze narady i składali przysięgę...

Jednocześnie z młodzieżą akademicką ruszać się zaczęła i młodzież rzemieślnicza... Czeladź zaczęła od-

bywać jakieś tajemne narady po gospodach, stawiać się buńczucznie, porzucać pracę, szepać, o jakichś nadzwyczajnych wypadkach w końcu roku, a przede wszystkim ostro występując przeciwko policji, która chciała ją w karby posłuszeństwa ująć...

Jakby pod nowem, przepojonem rewolucyjnymi miazmatami tchnieniem, przestali ludzie w pokorze i milczeniu znosić wszelki ucisk i krzywdy, poczęli głośno domagać się praw swoich, i śmiało występować w ich obronie...

Znikły bez śladu ciche, pełne lęku szepty, a rozległy się głośne rozmowy, ba, nawet i śmiałe zdania, krytykujące władzę...

Pojawiły się na rogach ulic kartelusze, nieznaną ręką naklejane, a wyśmiewające władzę, albo też ujawniające ich nadużycia...

Zdawało się, że powiew z Francji natchnął odwagą wszystkich, że czują oni za sobą moc jakąś potężną, która w razie czego stanie przy nich i obroni ich... Zdawało się, że powietrze całe przesiąknięte jest konspiracją, że unosi się ona wszędzie, i że potrzeba tylko jednej iskry, ażeby nagromadzone przez lat tyle prochy nienawiści wybuchnęły i potęgą swoją zmiotły z powierzchni ziemi tych wszystkich, którzy sprawcami krzywd narodu byli...

To też władze państwowe, a zwłaszcza policja, ułękły się tego, i zdeorientowane zupełnie, nie wiedziały, co czynić, nie pojmowały, w którą stronę uderzyć, obawiając się niezręcznemi posunięciami doprowadzić do tak fatalnego dla siebie wybuchu...

Nieliczone zastępy szpiegów potraciły głowy... Próżno ich szefowie: Roźniecki, Lubowidzki, Birnbaum, Gendre i inni, gnali ich na wszystkie strony, ażeby im nic spisku schwytali... Czuli, wiedzieli, że spisek ten istnieje, rośnie, rozwija się, obejmując coraz szersze koliska, lecz na trop jego w żaden spo-

sób trafić nie mogli, czy też w obawie wybuchu i skutków jego dla nich, nie chcieli...

A tymczasem spisek rósł, potężniał...

Z rozkazu Konstantego ściągnęły wszystkie wojska pod Warszawę na ćwiczenia i rozłożyły się obozem pod Powązkami...

Tam, w namiotach, tuż pod bokiem samego Konstantego, prowadzoną była pod kierunkiem Wysockiego, Urbańskiego i Zaliwskiego gorączkowa agitacja... Liczba spiskowców rosła, potężniała, i nie było już pułku, w którymby spisek nie miał swoich przedstawicieli, przygotowujących grunt do wybuchu, oczekujących tylko na znak, ażeby wystąpić do czynu...

Próżno policja skrzętnie na rozkaz Konstantego na rogatce Powązkowskiej zapisywała nazwiska wszystkich, jadących do obozu w odwiedziny do znajomych oficerów...

Tyle ich było i tak różnorodnych, że najwytrawniejsi szpiedzy połapać się w nich nie mogli...

Lęk przed wybuchem ogarnął władze moskiewskie w Warszawie, ba, sięgnął nawet i do Petersburga, zwłaszcza gdy sam cesarz austriacki, Franciszek I, osobiście ostrzegł posła rosyjskiego, Tatiszczewa, przed Polakami, którzy, zdaniem jego, pójdą niewątpliwie za hasłem, danem w Paryżu...

W chwili takiego naprężenia ogólnego, jak grzm spadła nowa wiadomość:

— Rewolucja w Niderlandach!...

— Belgja uciśniona powstała i oderwała się od Niderlandów, tworząc odrębne niepodległe państwo!...

Nowe te wieści elektryzująco i podniecająco wpłynęły na społeczeństwo, a pod ich wpływem zrozumieli spiskowcy, że wybuchu już powstrzymać nie można, zwłaszcza, iż z Petersburga nadchodziły dziwne, alarmujące, a zgrozą szczerą przejmujące serca wszystkich wieści...

Skąd ta wieść przysła i kto ją przyniósł, literalnie nikt nie wiedział, lecz twierdzono ogólnie, że nadeszła wprost z Petersburga, z dworu carskiego...

Wiadomo tylko było, że rozeszła się ona po całym mieście i kraju wprost z błyskawiczną szybkością, budząc raczej wszędzie większe wzburzenie, niż niepokój...

Bo też zaiste dziwną była ona wielce...

Oto głosiła ni mniej ni więcej, że car, uważając siebie za głównego, a nawet i jedyne obrońcę podeptanej we Francji i Belgji nieograniczonej a danej przez Boga władzy monarszej, postanowił, jak nowy Gotfryd de Bouillon wyruszyć z wyprawą krzyżową przeciwko owym jakobinom i liberałom, by siłą oręża zmusić ich do uległości i zarzą tę, która z tych krajów do innych państw przeniknąć mogła, wytrzebić...

Głoszono, iż w Petersburgu sztab opracowuje już plany nowej kampanji, że wojska wyruszyć już mają w lutym 1831 r., a na czele ich mają iść wojska polskie, że tylko Konstanty opór temu stawia, nie chcąc umiłowanego wojska na szwank narażać...

Nie dziwota też, że aż huczało wszędzie ze zgrozy nad takim projektem, a zwłaszcza wśród wojska...

Jakto?... Więc oni, którzy marzą tylko i szykują się do śmiertelnej walki o własną wolność, na rozkaz carski iść mają do dalekich obcych krajów, i to krajów, związanych z Polską tyloma węzłami odwiecznej i serdecznej przyjaźni, by im wolność z takim trudem, kosztem tylu ofiar i potoków krwi zdobyć, odbierać?...

Kipiało wprost wszędzie, czy w salonach prywatnych, czy u „Honoratki“ lub „pod Dzwonnica“, wreszcie w koszarach wojskowych, a wszędzie miotano gromy pełne oburzenia na ten projekt carski, i zaprzy-

sięgano, że raczej wszyscy zgina, a rozkazu carskiego nie usłuchają...

Jedni z pierwszych otrzymali wieść sprzysiężeni, i Wysocki odrazu zrozumiał, jaką korzyść z niej spisek wyciągnąć może... Porozumiał się wnet z Urbańskim i Zaliwskim, i zarządził zebranie wszystkich spiskowców ważniejszych w mieszkaniu posła Zwierkowskiego, gdyż obawiając się, że częsta bytność u niego wielu naraz osób zwrócić może uwagę szpiegów, nie urządził zebrania od dłuższego czasu u siebie...

Stawili się wszyscy, rozgorączkowani, podnieceni, z oburzeniem powtarzający i komentujący krążące wieści, które miały wszelkie cechy prawdopodobieństwa...

Ze skupieniem też słuchano słów Wysockiego, który, zdając relację ze stanu rzeczy, mówił:

— Wiadomości, które nadchodzą ze wszystkich stron, stawiają nas wobec groźnego niebezpieczeństwa... Car, łamiąc w dalszym ciągu konstytucję, wbrew niej wojska polskie użyć zamierza do walki poza granicami kraju i nie w jego obronie... Austria pono już wyprowadziła z Galicji swoje pułki polskie i zastąpiła je węgierskimi, oraz broń urlopników przewozi do miast większych. Z Wielkopolski nadchodzą wieści, że landwera tamtejsza ma być przeniesiona na Śląsk... Jednem słowem widać ze wszystkiego, że reakcja, że ucisk bierze się za ręce, że szykuje się do zaciętej walki z dążeniami wolnościowymi ludów, że zgnieść je pragnie i w dawnej niewoli i ciemnocie pogrążyć... I my, którzy marzymy o walce o wolność, mamy być użyci, jak zgraja niewolników, do oprymowania cudzej, z takim trudem zdobytej wolności, kładąc jednocześnie tem samym kres wszelkim marzeniom nawet o zdobyciu własnej wolności i połączeniu w jedną całość ziem rozdartej Ojczyzny... Czas już nam przestać być biernem narzędziem gwałtu i

przemocy, czas wystąpić, by dowieść carowi, że Polacy nigdy do podobnej zbrodni ręki nie przyłożą... Chwila czynu nadeszła, i musimy chwycić już za oręż, by bronić nie tylko już swojej wolności, ale i wolności innych, na którą car zamach uczynić zamierza...

— Słusznie, słusznie, — rozległy się liczne potakujące głosy, a Wysocki ciągnął dalej:

— Chwila jest obecnie jaknajbardziej odpowiednia... Wśród wojska panuje wzburzenie... Wojsko już z trudem daje się powstrzymać, a wszystkim znane są fakty, że przy zbieraniu składek na pomnik cara Aleksandra, niektóre kompanie grenadierów dały tak mało, że generał Żymirski zwrócił im ich listy składkowe... Że ten sam pułk wniósł skargę na złą żywność i na starą słomę w siennikach... Polepszono im żywność, ale za to, z racji panującej w stolicy drożyzny, zwiększono znacznie potrącenia z żołdu szeregowych na jej poprawę... Dwie kompanie odmówiły przyjęcia żołdu, i ostatecznie generał Żymirski musiał ustąpić i potrącenia grubo obniżyć... Po szynkach i gospodach dochodzi nieustannie do bójek pomiędzy naszymi szeregowymi a żołnierzami moskiewskiego korpusu rezerwowego gwardji... Skończyło się na tem, że tym ostatnim władze zakazały bezwzględnie wychodzenia na miasto w godzinach wolnych od służby. Oficerowie rosyjscy i polscy, lubo nigdy nie byli w dobrej harmonji ze sobą, zaczęli od siebie stronić... Niektórzy oficerowie rosyjscy, ze względu na coraz częstsze pogroźki, z jakimi spotykają się na ulicach, chodzą już z nabitemi pistoletami w kieszeniach, a z powodu ciągłych zaśnięć między akademikami a oficerami rosyjskimi, zakazano pierwszym uczęszczać na wykłady profesora Osińskiego, polecono unikać powodów do awantur... A nadomiar wieść o wyprawie do Francji wzburzyła już wszystkie wojska do tego stopnia, że nie znajdzie się chyba wśród nich nikt, ktoby na-

szego wezwania nie usłuchał... A przytem, wystąpieniem naszym, zyskamy sobie wdzięczność i pomoc Francji, którą od ciężkich walk i przejść w ten sposób uwolnimy...

Umilkł Wysocki, a wtedy zabrał głos Mochnacki, który rzekł:

— Wywody pana podporucznika Wysockiego są zupełnie słuszne, i każdy przyznać musi, że chwila do wybuchu jest jedyna... Lecz zanim przystąpimy do czynu, należy w pierw zliczyć siły, jakimi w pierwszej chwili rozporządzać możemy, jak również opracować plan działania choćby na pierwsze dni... Czy pan podporucznik Wysocki może nam na to odpowiedzieć?...

— Mogę, — odrzekł Wysocki, i wyjąwszy karteluszek z kieszeni, odczytywać zaczął numery i nazwy pułków, oraz liczbę oficerów w nich, wciągniętych do spisku...

Padaly cyfry jedna za drugą, a w miarę ich wzrostu westchnienie ulgi wyrывало się z piersi zebranych... Nie była to już garstka, była to już siła, była potęga, z którą bardzo dużo dokonać można było, gdyż nie było prawie pułku, któryby do sprzysiężenia nie należał, nie miał w swem gronie ludzi, oddanych sprawie... Prawda, byli to wszystko porucznicy lub podporucznicy, rzadko kiedy padło nazwisko kapitana lub pułkownika, lecz nie ulegało wątpliwości, że nie oprą się oni ogólnemu porywowi i pójda za wszystkimi...

Nie było natomiast wśród spiskowców ani jednego generała, któryby naczelne dowództwo mógł objąć...

Zwrócił na to uwagę poseł Zwierkowski, lecz odrzekł mu Urbański:

— Z generałami nikt jeszcze nie rozmawiał, obawiając się, że w porywie lojalności, w złem zrozumie-

niu dyscypliny wojskowej, mogliby oni spisek zdradzić... Lecz nie ulega wątpliwości, że pod ogólnym naciskiem przyłączą się oni do nas, a wtedy wśród nich łączno wódzów znajdziemy... Zresztą mamy Machnickiego i Chłopickiego, którzy na czele naszym staną... A toć wreszcie generał Staś Potocki, gdy ostatnio podchorążówkę zwiedzał, wyrzekł: „Panowie! Jeżeli kiedykolwiek co ma nastąpić, spodziewam się, że nie obróćcie broni na swoich rodaków!...” Czyż to nie daje do myślenia?...

Rozległy się głosy aprobaty, a wtedy Mochnacki znów rzekł:

— A plan działania?... Pragnęlibyśmy go poznać, o ile panowie wojskowi mają go już gotowy...

— Plan przedstawi porucznik Zaliwski, — rzekł Wysocki.

Zaliwski wstał i silnym, pewnym głosem mówić zaczął:

— Plan jest następujący: W dn. 18 października ma się odbyć na Saskim Placu przegląd wojsk... W. księcia Konstantego, gdy będzie jechał z Belweduru przez Szpitalną ulicę, otoczą nasi koledzy cywilni, ukryci w szynkach po obu stronach ulicy, i zabiją, a jednocześnie na Saskim Placu zebrane tam nasze wojska otoczą i uwiężą generałów rosyjskich, obecnych na paradzie... Potem wojska razem ze zbrojną ludnością zajmą arsenał i rozbiorą w koszarach pułki rosyjskie... Gdy to dokonamy, utworzony zostanie rząd i wybrany wódz, który dalszą akcję, gdy stolica wolną będzie, poprowadzi...

W skupieniu wysłuchali wszyscy tego planu, nie padł żaden głos sprzeciwu, tylko Nabelak porwał się z miejsca i silnym głosem rzekł:

— Jak o łaskę największą i zaszczyt proszę, by kierownictwo akcją na Szpitalnej ulicy mnie powierzono...

— I ja również proszę, bym mógł mieć w tym czynnie udział, — porwał się Goszczyński...

Przystano na to, powierzając jednocześnie Urbanowskiemu akcję na Saskim placu, i polecając im dobranie odpowiednich ludzi...

Gdy skończono z tem, poseł Zwierkowski rzekł:

— Radziłbym tylko nie zabijać Konstantego... Jako jeniec w naszych rękach oddać nam może znaczne usługi... Zresztą plan jest dobry i akceptuję go w zupełności...

— I my go akceptujemy, — rozległy się głosy: a wykonanie składamy w ręce panów Wysockiego, Urbanowskiego i Zaliwskiego, którym przyrzekamy bezwzględne posłuszeństwo...

Omówiono jeszcze niektóre szczegóły i spiskowcy rozeszli się, pełni nadziei, że nareszcie to długie, męczące wyczekiwanie skończy się, a zaczną się czyn, czyn, który ma wszystkim przynieść wyzwolenie...

Lecz do czynu w dn. 18 października nie doszło...

Doniesienia szpiegów o wrzeniu i przygotowywaniach wśród wojska i studentów odniosły skutek...

Rozpoczęły się aresztowania i to aresztowania masowe, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej...

Dokonywując je, władze moskiewskie liczyły, że studenci, jako element zapalny, lecz mniej zahartowany, mniej odporny, będą mniej wytrwali przy składaniu zeznań, że zagrożeni torturami wypowiedzą wszystko, na czem tymże właśnie zależało...

I nie zawiodły się... Aresztowani studenci składali zeznania, lecz treść ich była tak fantastyczną, tak niewiarogodną, że prowadzący śledztwo wiary wprost im dać nie chcieli...

Przewijała się przez nie stale nic wiadomości o zamachu na Konstantego, lecz w tak różnorodnej formie, że trudno było uwierzyć w jej prawdziwość...

Znaleźli się też i nikczemni denuncjatorzy, którzy,

tłumacząc się chęcią zapobieżenia nieszczęściu, składali zeznania władzom, zdradzając kolegów...

Takim był student Kruszelnicki, który spisek studencki Lubowidzkiemu denuncjował... Powodowała nim obraza i chęć zemsty za to, że koledzy gardzili nim za niemoralność, i posunięcie się do zabierania i sprzedawania tajemnie rzeczy cudzych, a więc za kradzież...

A i ten, nieprzyjęty odrazu po zgłoszeniu się, przez Lubowidzkiego, cofnąć się zamierzał, przestraszony widocznie ohydą czynu swego, lecz odnaleziony przez tegoż w uniwersytecie, namowami i groźbami do zeznań zmuszony został...

Na skutek też jego denuncjacji, iż studenci zbierali się celem spiskowania w coraz innych miejscach, że skupywali broń i amunicję, że na zebraniu tajemnym na górach Dynasowskich postanowiono powiesić generała Różnieckiego, Haukego, Krasińskiego, Kurnatowskiego, ministra skarbu Lubeckiego, prezydenta Wojdę i wielu wyższych urzędników policji; podał nazwiska wszystkich członków koła akademickiego, o planie działania w Warszawie, o trzech terminach wybuchu, o zależności studentów od wyższej organizacji i t. p. — aresztowano kilkunastu studentów, kilku cywilnych i wojskowych...

Zeznania jego kompromitowały poważnie porucznika Urbańskiego, gdyż stwierdzały jego udział w spisku koronacyjnym i główną rolę w spisku szkoły podchorążych, a jako członków przyszłego rządu powstańczego wymieniały ppłk. Kazimierza Paszkowicza, Władysława Ostrowskiego, Romana Sołtyka i Grzymałę...

Przystąpiono wnet do badania aresztowanych studentów, i zeznania ich, złożone pod przymusem, dość ogólnikowo wspominały o spisku, mającym za cel walkę z Rosjanami, wspominały chaotycznie o osobach, biorących w nich udział, twierdziły o zamachu na w. księcia, lecz nie dawały jeszcze prawdziwych nici, któ-

reby doprowadzić mogły do samego ogniska spisku, a przede wszystkim wskazały przywódców tegoż...

Takież sam skutek miała denuncjacja podoficera Tomasza Zagrabińskiego, który wysłany z raportem służbowym do gen. Kuruty, prosił go o rozmowę w cztery oczy i złożył mu meldunek o istnieniu sekcji związku w 3 pułku strzelców... Ten, poza podaniem nazwisk paru podoficerów i dwóch oficerów, o spisku samym wspominał dość ogólnikowo, nie znając bliższych szczegółów...

Daleko obfitszem w szczegóły było doniesienie płatnego już szpiega i prowokatora, Antoniego Petrykowskiego, dymisjonowanego majora, agenta generała żandarmerji Różnieckiego, który potrafił się wślizgnąć w ścisłe kółka młodzieży uniwersyteckiej i tam prowadził swą działalność szpiegowską i prowokatorską.

Wszystkie te zeznania pokrywały się w zupełności z otrzymywanymi raportami szpiegów, którzy specjalną swą opieką otoczyli szkołę podchorążych.

Zwęszyli oni, że Wysocki jest jedną z główniejszych postaci w spisku i otoczyli go szczególną swą opieką... Mackrott wydelegował nawet w tym celu jednego z najzdolniejszych prowokatorów, lecz Wysocki, zwierzywszy niebezpieczeństwo, potrafił mu się wykreścić...

Inni szpiedzy natrafiali wszędzie na ślady spisku, na osoby w nim zamieszane, lecz głównych nici schwytać nie mogli...

Wyznaczona znów komisja śledcza pod przewodnictwem Bleszyńskiego, prowadziła dochodzenia bardzo łagodnie, a zeznania większości oskarżonych, zwłaszcza zaś Meyznera i Wołowskiego, przeczyły wyraźnie wszystkiemu...

Znaleźli się jednak i małoduszni, jednostki słabe, które ułękłszy się możebnych tortur, w zeznaniach swych oskarżali innych, płacząc w sposób trudny do

rozwikłania różne zamiary i projekty spiskowców, tak że władze śledcze niewiele z nich zrozumieć mogły...

Wszystkie zeznania i raporty przedłożono Konstantemu, który skutkiem tego znalazł się w sytuacji rzeczywiście bardzo trudnej...

Wyrażnem bowiem było ze wszystkiego, że sprzyśięnienie, zmierzające do rewolucji, istnieje, że rozwija się ono, że opiera się na wojsku i na młodzieży uniwersyteckiej, i że staje się ono groźnem dla bezpieczeństwa władz...

Nowosilcow twierdził, że w spisek wmieszani są najwybitniejsi członkowie społeczeństwa polskiego i radził rozpoczęcie energicznych kroków, celem zdławienia ruchu i nie dopuszczenia do rozszerzania się go...

Lecz doradzana przez niego droga represji, jak dobrze wiedział o tem Konstanty, szła na rękę zamiarom Mikołaja w sprawie okupacji wojskowej Królestwa, ograniczenia stanowiska prawnopństwowego tegoż, zwinięcia wojska, a przez to i zlikwidowanie tego udzielnego stanowiska, które było dla niego jakby nagrodą za utraconą koronę carską...

Chętniej też znacznie słuchał rad Czartoryskiego, który mówił mu, że cały kraj z oburzeniem przyjął wiadomość o spisku na jego życie, że w wielu miejscach z tego powodu złożono dowody sympatji dla niego... Twierdzono przytem ogólnie, że sprzyśięnienie nie zdobędzie się na żaden wysiłek, że najwyżej skończy się na drobnych rozruchach ludowych, których nie poprze ani wojsko, ani mieszczaństwo Warszawy...

Uśluchał tych dowodzeń Konstanty i postanowił zlikwidować sprawę aresztowanych możliwie najłagodniej, a Nowosilcowowi, którego pomawiano, że wskrzesza bunt, kazał wyjechać i nie wracać, aż wszystko się skończy...

Wszelkie też nadchodzące ostrzeżenia z kraju i z

zagranicą o możliwości rewolucji, przyjmował lekceważąco, irytował się niemi, wydawał zarządzenia alarmowe dla wojska rosyjskiego, w końcu jednak uspokajał się pod wpływem generałów polskich, lekceważących niebezpieczeństwo...

Szczególnie zaś postanowił nie wciągać oficerów polskich w tę sprawę, a nad denuncjantem Zagrabińskim nawet kazał roztoczyć dozór policyjny...

Aresztowanego na skutek denuncjacji porucznika Urbańskiego, kazał po paru dniach uwolnić, a Wysokiego, skompromitowanego zeznaniami Łubieńskiego, przesłuchiwał tylko powierzonejmu ppłk. Olędzki...

W szkole podchorążych, na skutek doniesienia Łubieńskiego, przeprowadzono tylko rewizję, która nie wykryła nawet ostrych naboju. Skończyło się na tem, że oddał ją Konstanty pod dowództwo gen. Trębickiego, polecając mu przeciąć jej związek z miastem i dać jej jak najwięcej zajęcia; równocześnie powierzył ją specjalnej opiece Mackrotta.

Rozmówiony w podchorążówce, zwał całą winę za ferment na uniwersytet, zwrócił przeciwko niemu cały gniew swój, i nawet dawał do zrozumienia, że dąży do zamknięcia go, lub przeniesienia na prowincję.

Gdy po aresztowaniach objawy fermentu w Warszawie ustały, czujność Konstantego uległa zmianie. Lekcewazył sobie doniesienia policji, nie dawał im wiary, a nawet skłaniał się do pogłosek, że Roźniecki mniemane spiski sam tworzy, by uzyskać coraz więcej ufności i pieniędzy.

Gdy Roźniecki przynosił mu na końcu raporty coraz ściślejsze, wybuchnął raz ostro:

— Tyle razy od dwóch miesięcy donosicie mi o dniach i godzinach, przeznaczonych do wybuchu, że nakoniec widzę się zmuszonym do odmawiania wiary wszelkim tym doniesieniom...

Wreszcie też policja, widząc bezowocność swoich

doniesień, zaniepokoiła się, stała się ostrożniejszą i poczęła się liczyć z tem, aby nie narazić się zbyt nadchodzącej rewolucji...

Coś podobnego stało się i w cenzurze, która naraz złagodniała i stała się wyjątkowo uprzejmą dla wszystkich autorów...

Uległa zmianie też i czujność oddziałów rosyjskich, które znużone ciągłymi alarmami, przestały wprost wierzyć w możliwość jakiegokolwiek niebezpieczeństwa...

Mimo jednak lekceważenia grozy niebezpieczeństwa przez Konstantego, obawa wybuchu rewolucji była tak silna, że poczęli wyjeżdżać z Warszawy Polacy, zbyt silnie związani z Rosją. Tak wyjechał St. Grabowski, a w połowie listopada Szaniawski, który z swej praktyki jakobińskiej 1794 r. wiedział, iż podobny stan rzeczy jest najniebezpieczniejszy... Wyżsi dygnitarze rosyjscy nagwałt zaczęli wysyłać swe rodziny z Warszawy, a Nowosilcow, który dobrze wiedział, że w razie wybuchu rewolucji będzie musiał głową zapłacić za wszystkie przewiny, poprostu uciekł z Warszawy, pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich w Słonimskim powiecie...

A tymczasem groźna chmura zbliżała się, i spiskowcy wyraźnie widzieli, że dla dobra sprawy dłużej już zwlekać nie można, zwłaszcza, że wśród nich poczęły rozlegać się szemrania i tworzyć rozłamy...

XX.

Nastrój spiskowy, jakim przepojoną była Warszawa, działał podniecająco na coraz szersze warstwy społeczeństwa, przenikając coraz głębiej i ogarniając nawet tych, którzy napozór zdala od wszelkich poczynań rewolucyjnych się trzymali...

Wpływały też na to niepomniernie coraz gęściej krążące po mieście wieści o bardzo bliskim dniu wybuchu rewolucji... Poczynano o niej mówić coraz głośniejszej, już to na zebraniach prywatnych, już to w kawiarniach, ba, nawet w komnatach pałacu belweder-skiego Konstantego, gdzie księżna Łowicka nowennami i litanjami próżno starała się precz odpędzić złowrogie widmo... Szeptano o niej sobie niby o tajemnicy, wszystkim jednak dobrze znanej...

Wielu jednak było takich, którzy nie chcieli wierzyć w możliwość wybuchu i wszelkie o nim pogłoski w żart obracali...

Do liczby takich sceptyków należał wybitny uczoney, profesor uniwersytetu, poseł żelechowski, Joachim Lelewel... nie był on wtajemniczony w rozwój i działalność spisku, choć o istnieniu jego wiedział z mętnych pogłosek, które mu w zaufaniu zwierzano... Nie brał jednak tego na serjo, a całe to podniecenie, jakie ogarnęło społeczeństwo, składał raczej na karb wieści o walkach i zwycięstwach rewolucji, z Francji i Belgji płynących.

I oto razu pewnego, w m. październiku, siedząc w bibliotece publicznej uniwersytetu, schylony nad jakąś kroniką i głęboko zatopiony w jej badaniu, uniósł nagle głowę, i ogarnawszy zebranych swemi mądrymi, pełnemi dobroci oczyma, dla żartu zawołał:

— Panowie, wkrótce będzie rewolucja!

Te zuchwale wypowiedziane w miejscu publicznem słowa, wywołały niemałą konsternację wśród zebranych, którzy spieszenie zagłębili się w czytaniu ksiąg, nie odpowiadając ani słowem na ten okrzyk.

Powtórzył go więc Lelewel po raz drugi i trzeci, za każdym razem dając nurka w swoje foljały...

Zbliżył się wtedy do niego jeden ze starszych profesorów, i nachylając się do ucha jego, rzekł szeptem:

— Kolego, nie mówcie tego tak głośno, gdyż narażić się możecie na wielką nieprzyjemność...

— Jakto, — odrzekł mu głośno na to Lelewel: mam chyba prawo mówić o tem głośno, gdyż wypowiedział to publicznie sam radca stanu Szaniawski, pod którego najwyższą dyрекcją jest cenzura w Polsce, a to przecież jest miarą, co można myśleć, pisać i mówić w całym kraju...

Zdarzenie to rozeszło się po całym mieście, głośno komentowane i powtarzane...

A gdy w jakiś czas potem, na zebraniu u jednego z profesorów uniwersytetu rozmowa zeszła na rewolucję Kościuszkowską, która za jedno z najważniejszych zadań postawiła sobie zjednanie dla sprawy klasy rzemieślniczej — rzeźników, szewców, krawców, ślusarzy, robotników z browarów i młynów, oraz ludu wiejskiego, z pominięciem prawie jednostek o głośnych nazwiskach historycznych, z czego wyciągano wnioski, że krążących pogłosek o przygotowaniach rewolucyjnych nie należy brać poważnie, gdyż nie czyniono żadnych przygotowań, ażeby lud warszawski dla sprawy rewolucji pozyskać.

Gdy w trakcie rozmowy zwrócono się do Lelewela o zdanie, odrzekł:

— Lud warszawski na pierwszy raz drzemie, przebudzi się potem, a wtedy nie go powstrzymać nie zdoła, do ostatniego tchnienia walczyć będzie z tymi, którzy go ciemieją... Zresztą, panowie, zróbmy próbę... Za parę dni przypada rocznica rzezi praskiej... Urządzmy w kościołach nabożeństwo, a z zachowania się ludności łącznie zbadamy jej nastrój...

Przystano na to i Lelewel zamówił sam nabożeństwo w kościele O. O. Paulinów przy ul. Długiej, młodzież akademicka zaś u O. O. Kapucynów przy ul. Miodowej.

Nadszedł ów żałobny dzień 4 listopada 1830 roku.

W kościele O. O. Paulinów odprawiono nabożeństwo, lecz w świątyni pustki panowały... Nie stały się nawet bractwa...

Trwoga przed represjami policyjnymi przejęła ich serca... Wielu też, rozrzuconych tem, że są jednak tacy, co o srodze pomordowanych ofiarach pamiętają, zamknęło się jednak przeźornie w mieszkaniach swoich... Po co kusić lichu...

Inaczej trochę było u Kapucynów. Nabożeństwo odprawiono z wielką uroczystością. Na środku kościoła ustawiono katafalk, który policja, dowiedziawszy się o intencji nabożeństwa, rozebrać kazała, lecz mimo to księży nabożeństwa nie przerwali...

W świątyni zebrał się dość liczny tłum nabożnych, lecz była to tylko inteligencja, w większości młodzież uniwersytecka, lecz ludu wśród niej nie było, — przedstawiciele jego nie dopisali...

Młodzież uniwersytecka jednak na tych manifestacjach nie poprzestała...

Następnego dnia rano zebrała się tłumnie na dziedzińcu uniwersyteckim, i zamiast iść na wykłady, ustawiła się w ordynku i opuściwszy uniwersytet, ruszyła przez Krakowskie Przedmieście ku mostowi...

Po drodze spotkawszy księdza staruszka, zatrzymała go i prosić poczęła, by poszedł z nią na Pragę i tam na miejscu rzezi odprawił mszę żałobną... Wysłuchał ich ksiądz, a dowiedziawszy się, na jak znaczną intencję ma być to nabożeństwo, zgodził się bez wahania, więc młodzież wzięła go między siebie i ruszyła w dalszą drogę...

Przed samym mostem zastąpiła im drogę policja, żądając rozejścia się i nie przepuszczając na most, lecz młodzież odepchnęła ją i ruszyła dalej...

Po przejściu mostu udano się do kościoła, stojącego na miejscu rzezi, i po odprawieniu tam nabożeń-

stwa, wróciła młodzież w ordynku do uniwersytetu na wykłady.

A gdy opowiadano o tem Lelewelowi, rzekł:

— Z cicha zapukaliśmy do serca i myśli, a ci, co dosłyszeli z młodego pokolenia, śmiało ogrzane serce okazali...

Tymczasem spiskowcy, przerażeni zbudzoną nagle czujnością władz i licznymi aresztowaniami, by nie narażać całej sprawy na upadek, mogący wyrządzić krzywdę krajowi, postanowili ostatecznie przyspieszyć wybuch i pomyśleli o władzy, któraby stała na czele i nadała kierunek rewolucji.

Na codziennie odbywanych posiedzeniach naradzano się nad wynalezieniem człowieka, znanego w kraju całym ze swego sposobu myślenia i z uczuć pa-trjotycznych... Szukano powagi, któraby przyzwoliła na wybuch i dała mu swoją sankcję...

Padało coraz czyjeś nazwisko, lecz po rozważeniu wszystkich pro i contra, odrzucano je...

Aż wreszcie wybór padł na Lelewela.

Znakomity historyk miał głośnie imię i najlepszą opinię, a cieszył się nieograniczonym zaufaniem młodzieży, jako najgorętszy zwolennik demokracji...

Nic dziwnego też, że młodzież widziała w nim mę-ża opatrnościowego i w jego ręce postanowiła zło-żyć losy całego przedsięwzięcia.

Nawiązanie porozumienia z Lelewalem poruczono Mochnackiemu, który z nim w bardzo ścisłych pozo-stawał stosunkach.

I oto pewnego dnia listopadowego, wieczorem za-pukał do gabinetu mędrca Mochnacki, i po przywita-niu z zagłębionym w pracy Lelewalem, cichym, lecz pełnym entuzjazmu i zapału głosem, opowiadać zaczął o utworzonym spisku,, mającym za zadanie przynie-sienie wolności Ojczyźnie...

Nie wdając się w drobiazgi, w ogólnych zarysach podawał mu szczegóły spisku...

Śluchał go w skupieniu milczący Lelewel, a gdy Mochnacki skończył swą przemowę słowami:

— I oto sprzysiężeni pragną rozmówić się z tobą, profesorze, w sprawie największego dla kraju znacze-nia, wskaż zatem czas i miejsce tej rozmowy,—nie od-rzekł mu zrazu ani słowa, a trwał dalej w tem pełnem zadumy milczeniu...

Blyszczące od wewnętrznego ognia oczy utkwiał w przestrzeni i rozmyślał nad tem, co mu czynić należy, jaką ma dać odpowiedź tej zapalnej młodzieży, która z taką ufnością i wiarą zwracała się do niego...

Wszakże to ona w czyn zamieniała to, o czem nie tylko marzył, ale i co głosił i nauczał w przeciągu lat szeregu... Wszakżeż to jego hasła i dążenia wystawia-ła ona na sztandarze swoim, sztandarze buntu prze-ciwko uciskowi i przemocy, w obronie umiłowanych zasad wolności i równości...

I w chwilach tych, gdy młodzież ta składała ofiar-nie życie swe na ołtarzu Ojczyzny, jemu, który był du-chowym jej przewodnikiem, który wszczepiał w nią te wszystkie zasady, nie wolno cofnąć się, nie wolno opuszczać jej w tych chwilach ciężkich i niebezpiecz-nych...

On musi być nietylko z nią, ale i na jej czele... Inaczej zaparłby się wszystkiego, co ewangelją jego było od lat tylu...

Musi iść z nią razem, choćby na krańcu wysiłków śmierć i zguba były...

Lecz i on, jak ta młodzież, wierzył w ostateczny triumf dobra, wierzył, że wysiłek z takim entuzjaz-mem i wiarą poczęty, pomyślnie zakończyć się musi...

Wierzył, że w końcu sprawiedliwość zwyciężyć mu-si, że Polska odrodzi się wolna, niepodległa, wspania-ła, nietylko sobie, ale i innym wolność niosąca...

Długo trwał namysł jego... Na poblądziej, ascetycznej twarzy, jak w zwierciadle, odbijały się miotające nim uczucia, wreszcie wyrzekł cichym głosem:

— Dobrze, zgadzam się...

Uśmiech zadowolenia przewinął się po ustach Mochnackiego, który z ożywieniem zawołał:

— Wiedziałem, że zgodzisz się, profesorze... Nie mogłeś inaczej uczynić... Lecz gdzie i kiedy nastąpić ma to spotkanie?...

Znów chwila namysłu i Lelewel odrzekł:

— 21 listopada, w bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w godzinach rannych... Wtedy tam nikt nie bywa...

Uścisnął mu dłoń Mochnacki i wyszedł, nie mówiąc ani słowa...

A Lelewel pozostał sam z myślami swemi...

A ważkie wielce musiały być one, gdyż dnia tego foljałów i ksiąg, na biurku rozłożonych nie dotknął nawet...

XXI.

Woźny Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Pałacu Staszica, sędziwy weteran armji napoleońskiej, mrużąc pod nosem godzinki, zabrał się do sprzątnięcia sal, mieszczących liczne a bogate zbiory, gdy naraz uwagę jego zwrócił hałas, wywołany otwarciem drzwi w przedsionku, oraz kroki kilku osób, połączone z brzękiem ostróg...

Zbiegł też, o ile tylko mu starcze nogi pozwalały, ze schodów i w mroku przedsionka, nie rozjaśnionego jeszcze przez światło późnego dnia listopadowego, ujrzał trzech młodych panów, z których dwaj byli wojskowymi a trzeci cywilny, oglądających się ciekawie wokoło.

Podszedł śpiesznie do nich i spytał:

— A czego to, panowie, sobie życzą?...

— Chcielibyśmy obejrzeć zbiory Towarzystwa, — odrzekł mu jeden z wojskowych, wysmukły i wysoki... Podrapał się w głowę woźny i zakłopotany odrzekł:

— Wcześniej jeszcze bardzo... żadnego z panów niema... Przytem dziś niedziela...

— To nic... My i tak obejrzemy... Zresztą pan Lelewel ma przyjść zaraz, to on nam pokaże...

Nazwisko Lelewela, połączone z wsuniętą w rękę monetą, uspokoiło woźnego, który już, skłaniając się, rzekł:

— Pan Lelewel powinien zaraz przyjść... On zawsze najwcześniej przychodzi... A może tymczasem panoczkowie tę salę obejrzą...

Wprowadził ich do wielkiej sali, zapelnionej zbiorami, a sam wrócił do przerwanej pracy...

Z całym spokojem pozostawił przybyłych samych w sali z beczennymi zbiorami, boć przecież byli to wojskowi, a według pojęć jego, nikt, kto tylko nosił mundur wojskowy polski, nie mógł popełnić czynu nieuczciwego.

Przybysze tymczasem w sali zachowywali się dość dziwnie. Zamiast oglądać, jak mówili, ciekawe wielce zbiory, skupili się w jednym z kątów sali i wiedli tam szeptem jakby naradę jakąś, z niecierpliwością i niepokojem spoglądając coraz na drzwi, wiodące do przedsionka...

Minuta upływała za minutą, a każda z nich wiekiem się im wydawała, gdy wreszcie dał się słyszeć trzask drzwi na dole, szybkie, lekkie kroki na schodach i drzwi sali rozwarły się bez szmeru. Na progu stanęła szczupła, niska postać Lelewela, o głębokich oczach mędrca, płonących gorączką, na pociągłej, okolonej ciemnym zarostem twarzy...

Przez chwilę stał nieruchomo przy drzwiach, roz-

glądając się w mrokach sali, a spostrzegłszy wreszcie skupionych w kącie wcześniejszych przybyszów, szybkim krokiem skierował się w ich stronę.

Wyprostowali się na jego widok...

— Lelewel jestem, — rzucił dźwięcznym głosem, podając im rękę.

A wtedy, ściskając gorąco dłoń jego, odrzekli:

— Wysocki, Bronikowski, Zaliwski...

— Panowie darują, że musieli czekać na mnie, — rzekł Lelewel, a prowadząc ich do przyległej sali, dodał:

— Tu będziemy mogli rozmawiać swobodnie... Nikt nam nie przeszkodzi...

Weszli do sali niewielkiej, rozjaśnionej przez trzy okna, a przedstawiającej się, jakby sala rycerska... Na ścianach wisiały portrety wojskowych w mundurach, broń przeróżna, sztandary, a naczelne miejsce zajmował wielki portret twórcy Legjonów, gen. Henryka Dąbrowskiego.

— To jest sala gen. Dąbrowskiego, — objaśnił Lelewel, prowadząc ich do okrągłego stołu, zarzuconego albumami, ze stojącymi wokoło krzesłami: nazwana tak od pamiątek po wielkim wodzu, w niej zebranych...

Zajęli na jego znak miejsca, a Wysockiemu błysnęła myśl, że jednak los sam, jakby wskazówką, wyznaczył im na miejsce, w którym powziąć mają wielkiej wagi decyzję, salę, poświęconą czci tego, który niezłomnie przez całe życie walczył o niepodległość Polski, nie tracąc nigdy nadziei, nawet wtedy, gdy wszystko zdawało się sprzysięgać przeciwko niemu, gdy sprawa cała zdawała się być pogrzebaną na wieki...

— Słucham panów, — rzekł cicho Lelewel, zajmując miejsce i obrzucając wszystkich badawczym spojrzeniem mądrych, a przenikliwych oczu.

— Panie profesorze, — zaczął mówić Wysocki: — wiadomo ci dobrze, że ucisk najeźdźców przeszedł wszelką miarę, że pogwałcenie, jakie znosi nasz naród, doszło już do kresu, że znosić go nadal jest nad siłę ludzką... Najlepsi synowie narodu siedzą w więzieniu lub zesłani są na Sybir. Konstytucja, zagwarantowana przysięgami carów, gwałcona na każdym kroku, a ucisk z każdym dniem staje się sroższym... Najeźdźcy z narodu wolnego uczynić chcą niewolników, posłusznych każdemu ich skinieniu, ba, nawet chcą nas zmusić do odebrania wolności innym ludom, które ją kosztem niezliczonych ofiar i potoków krwi zdobyły... Dłużej taki stan rzeczy trwać nie może... Wojsko, które jest ożywione najlepszym duchem, a które cierpi najdotkliwiej nad tą niedolą matki — Ojczyzny, narażone na znęcanie się despoty, czeka tylko na znak, gotowe każdej chwili wspólnie z narodem podnieść oręż ku obronie swobód i konstytucji... Przemów do nas twoim we wszystkich Polsce znanym głosem. Niechaj nam twoje światło w tej dobie przewodniczy. Widzisz w nas posłanników bardzo wielkiej liczby oficerów, dzielących te same uczucia...

Zamilkł Wysocki, a oczy wszystkich zawisły na ustach Lelewela, oczekując od niego odpowiedzi.

A Lelewel milczał. W umyśle swym wagi, co ma odpowiedzieć tej zapalnej młodzieży, z taką ofiarnością niosącej życie swe i krew dla wyzwolenia umęczonej Ojczyzny.

Odczuwał w całej pełni bezmiar jej niedoli, bolał nad nią wraz ze wszystkimi, lecz jednocześnie rozum mędrca zmuszał go do zastanowienia się, czy nieczesny wybuch, czy ten poryw szalony, choć ożywiony najlepszymi chęciami, nie pograży jej w jeszcze większe nieszczęście.

Rozumiał dobrze, że ta młodzież, poświęcająca się tak bezinteresownie, mająca na celu tylko dobro Oj-

czynny, nie mając odwagi brać na barki swoje odpowiedzialności za skutek swojego czynu, szuka tylko światła i przyzwolenia, szuka decyzji, któraby w owej chwili była wyrokiem, na który zgóry się godzono...

Rozumiał, że mógł się przeciwstawić zamiarom młodzieży, mógł, analizując je rozumem, skłonić ją do porzucenia tych zamierzeń, — lecz czy to było celowe?... Czy nie wywoła to odruchów rozpacz, które mogą mieć nieobliczalne skutki?... Czy nie pograży to raczej narodu w otchłani straszliwej, z której trudno będzie znaleźć wyjście?... Czy w ten sposób jednak nie zwichnie dzieła, które może rzeczywiście, poparte przez naród cały, wyzwolenie przynieść Polsce?

Rozumiał też, że mógł je zatwierdzić, od niego bowiem zależało odłożyć lub przyspieszyć projektowany wybuch, nadać powstaniu charakter i wytknąć wielki cel polityczny... W jego mocy było narzucenie spiskowcom władzy powstańczej, skład i dobór rządu. Od niego zależała decyzja. Jego słowo miało teraz moc prawa i wagę rozkazu...

W rozumieniu też tego zmagał się ze sobą, rozważając wszystko, biorąc pod uwagę każdy najdrobniejszy szczegół, a przywódcy spisku z niecierpliwością oczekiwali odpowiedzi, która miała zdecydować o wszystkim.

Wreszcie po długim namyśle, Lelewel mówić zaczął, wolno, ostrożnie:

— Naród podziela uczucia wojska... Tym samym duchem, co i wy, tchną wszyscy dobrzy Polacy... Nie wątpię o pomyślnym skutku waszych usiłowań, jeżeli całe wojsko macie za sobą. Czterdzieści tysięcy zbrojnych ludzi, mających jedną chęć, jedno życzenie, naród cały pociągną za sobą...

Z płonącymi oczami słuchali go spiskowcy, a gdy umilkł, Zaliwski zawołał:

— Więcej wojska mamy za sobą... Niema wprost pułku, w którym by nie było naszych, a zarówno oficerowie, jak i żołnierze, jednym tylko płoną pragnieniem, — walki za Ojczyznę, śmierci lub zwycięstwa...

Uśmiechnął się na ten zapal Lelewel i odrzekł:

— Bardzo dobrze... Gdyby jeszcze można było wiedzieć, że Austria lub Francja ujmie się za nami, natenczas moglibyśmy przedsięwziąć, inaczej wątpię, gdyż mimo nawet znacznych sił, nam samym trudno będzie się oprzeć... A jakież warunki panowie sami stawiacie w razie wybuchu?...

A wtedy począł mówić Bronikowski, a w głosie jego czuć było ból:

— Panie profesorze... My jesteśmy tylko tymi, którzy chcą nowe życie obudzić w narodzie, wyrwać go z uśpienia, w jakim jest pograżony, wskazać cel wielki, wzniosły, jakim jest wolność i niepodległość... Nie chcemy szukać z racji czynu naszego ani rang, ani nagród, ani urzędów, wszyscy pragniemy pozostać na swych miejscach bez żadnych pretensji... Wstrzymujemy się od wszelkich proklamacyj, od wszelkiego objawiania swej woli, w nadziei, że starsi bracia, którym kierunek sprawy pozostawić zamyślamy, trafniej przed światem prawa swego narodu objawią, stan kraju i mieszkańców jego ulepszą, że żołnierzowi, w sprawie Ojczyzny walczącemu, wydzielenie własności ziemskiej obmyślą i zapewnią, że dołę włościan poprawią... My nie stawiamy żadnych warunków, wiedząc, że starsi, jako dobrzy Polacy, dojrzeli w doświadczeniu, sprawę narodową lepiej poprowadzą... Życzeniem naszym tylko jest, aby generałowie i niektórzy wyżsi oficerowie, do których zaufania mieć nie możemy, usunięci byli... Pragniemy wiedzieć, czy Sejmowi możemy ufać?

I na to pytanie nie odrzekł im odrazu, wzruszony bezinteresownością tych zapaleńców, wszystko na ol-

tarzu Ojczyzny złożyć gotowych. Po namyśle dopiero odpowiedział:

— Zbyt ważne jest to pytanie, by od razu można było na nie odpowiedzieć.. Pozwólcie mi zastanowić się nad tem, a za dni parę udzielię wam odpowiedzi...

— Panie profesorze, — rzekł z zapalem i naciskiem Wysocki: — czas nagli... Dłużej już powstrzymać wojska nie możemy, gdyż straci zapal, chęć do walki... Musimy zacząć najpóźniej za tydzień, albo spiszek rozwiązać i zdać się w ten sposób na łaskę i niełaskę wroga... Błagamy cię, panie profesorze, zajmij się zorganizowaniem władzy rządowej... Porozum się, z kim uważasz za właściwe, i nakłoń, by, dla dobra Ojczyzny, na czele państwa stanęli... Od ciebie to zależy, i ty jeden możesz to zrobić...

Słuchał go Lelewel i niezdecydowanie odbiło się na twarzy jego; nie wiedział sam, co ma odpowiedzieć tym szaleńcom, którzy zapalem swoim porywali go, lecz w powodzenie zamiarów których nie wierzył...

Rzekł wreszcie:

— A kogóż panowie w rządzie tym widzieć by pragnęli?...

Poczęły padać nazwiska: Pac, Władysław Ostrowski, Wincenty i Bonawentura Niemojowscy, Roman Sołtyk...

Przy każdym z nich kiwał głową z aprobatą Lelewel, a gdy skończyli, rzekł:

— Zapomnieli panowie o najważniejszym — o księciu Czartoryskim...

— Azaliż będzie on chciał łączyć się z ruchem rewolucyjnym, on, arystokrata — z motłochem, — zapalczywie zawołał Zaliwski: — wszakże on, jako legalista, od razu będzie przeciwko nam...

Lecz na to odrzekł mu spokojnie Lelewel:

— Prawda, księżę Czartoryski jest arystokratą i legalistą, i stoimy z nim na wręcz przeciwnych bie-

gunach, lecz pozatem jest gorącym patriotą i miłuje Polskę nadewszystko... Udział jego w rządzie rewolucyjnym mieć będzie olbrzymie znaczenie, nada mu specjalny charakter, zapewni nietylko pomoc wyższych sfer społeczeństwa, ale i zagranicy, która się z powagą jego liczy...

A po chwili namysłu dodał:

— Na życzenie panów porozmawiam z tymi panami i zbadam grunt, i o ile się uda, postaram się ich przychylnie dla sprawy usposobić...

Spiskowcy, uważając rozmowę za skończoną, chcieli już tylko dowiedzieć się o terminie przyszłego spotkania i odejść, gdy naraz Lelewel zapytał:

— A kto będzie naczelnym wodzem wojsk powstańczych?...

— Chłopicki, — odrzekł bez wahania Wysocki.

— Chłopicki, — powtórzył Lelewel: — a czy pewni tego jesteście panowie?... Czyście porozumiewali się już z nim?...

— Wprost jeszcze nie, — rzekł Zaliwski, — lecz sądzimy, że się zgodzi...

— A gdy się nie zgodzi? — spytał Lelewel: — wszakże wiadomo panom, że czuje on wstręt do wszelkich ruchawek, że nienawidzi spisków. Prawda, jest on gorącym patriotą, kocha Polskę, ale na swój sposób... Pamiętne jest jego powiedzenie, gdy w roku 1821 gen. Umiński zaklinał go na miłość Ojczyzny, by wstąpił do związku: „moją ojczyzną jest namiot, wasza ojczyzna nie sprawiłaby mi i butów“...

— Generał nie zmienił się w niczem i teraz, — odrzekł na to Wysocki: — gdy przez osoby trzecie zapytowano go, czy przyjmie dowództwo w zbrojnym powstaniu, zbywał je lakonicznem: „Dajcie mi sto tysięcy regularnego wojska, to zobaczymy“. A gdy niedawno, na skutek mej prośby, referendarz Chłebowski badać go począł, odrzekł już otwarciej: „Woj-

sko tylko burdę zrobić może, a nie rewolucję lub powstanie; co do mnie, nigdy od spiskowych dowództwa nie przyjmę“... Spodziewać się jednak należy, że bieg wypadków zmusi go do zmiany zdania...

— A gdy się stanowczo nie zgodzi? — spytał po raz wtóry Lelewel...

— Wtedy mamy jeszcze majora Machnickiego, który już w zasadzie wyraził zgodę...

Ustalono jeszcze dzień następnego spotkania, na którem ostateczne decyzje zapaść miały, i spiskowcy opuścili progi pałacu Staszica, uradowani z odniesionego wrażenia, że mają Lelewela za sobą, że on ich wesprze całą potęgą swojego wpływu i zwiąże z nimi swoje losy...

XXII.

A w trzy dni potem, gdy Wysocki z Zaliwskim, w najwyższym napięciu oczekując decyzji Lelewela, w mieszkaniu pierwszego prowadzili naradę, kreśląc coś na rozłożonej na stole mapie i obliczając starannie siły wojska, jakim w danej chwili rozporządzać mogli, w przedpokoju rozległ się głos dzwonka, dało się słyszeć człapanie idącego ku drzwiom Szymka i po krótkiej wymianie zdań z tymże, wpadł raczej, niż wszedł Bronikowski.

Na spokojnej, poważnej zwykle twarzy jego, malowało się wzburzenie, a w oczach przeblyskiwał niepokój.

Zdumieni nieoczekiwanem przybyciem jego, spojrzeli nań z zaniepokojeniem i ciekawością, a on, padłszy na krzesło przy stole, wyszeptał zdławionym głosem:

— Musimy się śpieszyć... Nie możemy już dłużej zwlekać, gdyż inaczej wszystko może być stracone...

— Lecz cóż się stało? — spytał gorączkowo Wysocki.

— Konstanty otrzymał pocztę od cara Mikołaja, — odrzekł Bronikowski.

— I co?... i co? — zapytali jednocześnie pełni niespokojnej ciekawości Wysocki i Zaliwski.

— Car daje mu zupełne „carte blanche“, nakazuje oddanie pod sąd wojenny, bez oglądania się na konstytucję i odwoływanie się do Petersburga, tych wszystkich, którzy zostali już zanotowani przez śledztwo, podejrzani... W Belwederze układają już nowe listy kandydatów do aresztowania, a na czele ich podobno stoi Lelewel i Ostrowski.

Nieoczekiwana zgoda ta wiadomość, wywołała piorunujące wrażenie... Wszakżeż wprowadzenie w czyn rozkazu cara mogło od jednego zamachu zburzyć cały wysiłek spisku, setki, a nawet tysiące osób narazić na karę i męki, a kraj w ostateczną już pogrozić niewolę.

Wysocki, pobladły ze wzruszenia, jakby teraz dopiero, po tej wiadomości, poczuł, jaki ciężar odpowiedzialności wziął na barki swoje, jakby uginając się pod tem brzemieniem, siedział czas pewien w milczeniu, wpatrzony w przestrzeń, rozmyślając nad tem, co mu czynić należy, jak ratować sytuację, jak nie dopuścić do klęski, i w końcu spytał:

— Skąd ta wiadomość?

— Zawiadomił mnie o tem poufnie przyjaciel mój, Nemezy Kozuchowski, bibliotekarz Rady Stanu... Twierdzi, że napomknął mu o tem sam Sobolewski, prezes Rady Administracyjnej, któremu znów poufnie zakomunikował o tem sam Konstanty... W Belwederze podobno aż wre, Konstanty chodzi wściekły, gdyż rozkaz cara psuje mu jego politykę, a chce i musi być posłusznym... Kuruta z Gendrem, Rożnieckim i Lubowidzkim układają już listy, a na miasto pu-

szczono nowe sfory szpiegów, nakazując im baczne śledzenie wszystkiego...

Nie ulegało już wątpliwości, że wiadomość była prawdziwą i że zbliżało się groźne, ponure, a nieubłagane, jak fatum, niebezpieczeństwo... Stawało przed nimi jedno już tylko zapytanie: co czynić?

Rozważali je w milczeniu, pogrążeni w myślach, gdy wreszcie Wysocki podniósł głowę i wyrzekł mocnym, stanowczym tonem:

— Trzeba zaczynać!...

I tyle było mocy w głosie jego, tyle krzepiącej ducha stanowczości, że wnet towarzyszy jego opuściło przygnębienie, lęk, niezdeterminowanie...

— Trzeba zaczynać i działać, — powtórzył Wysocki: — i to jaknajprędzej, ażeby ubiec wrogów i nie dopuścić do pierwszych wielkich aresztowań, które wszystko rozbić mogą...

— A kiedy? — zapytali, poddając się odruchowo, nieświadomie może, jego kierownictwu...

— Natychmiast trzeba zwołać Komitet, — mówił już spokojnie, tonem rozkazu, Wysocki: opracować z nim plan ostateczny, a wybuch nastąpić musi najpóźniej 28, w niedzielę...

Zaliwski zajął do rozłożonych przed nim notatek, i spokojnym już głosem wyrzekł:

— Proponuję przesunąć wybuch na 29, na poniedziałek...

— Dlaczego?...

— Gdyż w dniu tym służbę garnizonową pełnić będzie drugi batalion 4 pułku, w którym wszyscy są nasi, a to jest dla nas bardzo ważne i w znacznym stopniu przyczynić się może do powodzenia sprawy...

— Argument ważki bardzo, i dla tego przyjąć go należy, — zgodzili się Wysocki i Bronikowski, poczem pierwszy rzekł:

— A teraz zabierajmy się do pracy, ażeby nie tra-

cić napróżno drogiego czasu, — i zwracając się do Bronikowskiego, spytał:

— Jaka jest odpowiedź Lelewela?

— Sejmowi możecie ufać, możecie w zupełności, — brzmiała zagadkowa, a im dobrze rozumiała odpowiedź...

Zadowolili się też nią i zagłębili się w pracy, obliczając po raz ostatni swe siły, układając ostateczny plan działania w chwili wybuchu, wybierając emisariuszy, których wysłać należało do pułków, rozlokowanych w pobliżu Warszawy, ażeby je do przyłączenia do powstania i do uderzenia na wojska rosyjskie skłonić.

A w piątek wieczorem, w ciasnym mieszkaniu podporucznika Borkiewicza, w Aleksandryjskich koszarach 7 pułku piechoty linjowej, na odległym Żoliborzu, gdzie nie zachodziła zbyt wielka obawa, że dotrą szpiegdy, zebrał się Komitet główny spisku, w którym wzięli udział z wojskowych: Wysocki, Zaliwski, Urbański, Szlegel i Borkiewicz, z cywilnych zaś: Bronikowski, Nabelak i Goszczyński.

Wszyscy byli poważni, skupieni, w zrozumieniu wagi decyzji, jakie powziąć mieli...

W krótkich słowach zdał Wysocki relację ze wszystkiego, co zaszło w ostatnich dniach, poczem zakończył ją jednym krótkim a ważkim zapytaniem:

— Co czynić?

— Zaczynać, — brzmiała jednomyślna odpowiedź.

Zgodzono się też na dzień 29 listopada, jako termin ostateczny wybuchu, poczem Zaliwski odczytywać zaczął opracowany przez siebie plan działania.

Wybuch miał nastąpić o zmierzchu, gdy już wszystko w mieście uspokoi się, gdy wojska, zwłaszcza rosyjskie, będą w koszarach szykować się do spoczynku, przez co łatwiejsze będzie ich pokonanie,

i gdy nikt, ze stojących u władzy, nie będzie się tego spodziewać...

Wysocki przewodzić miał Szkole Podchorążych, która mu ślepo oddaną była, i kompanjom wyborczym strzelców pieszych. Jedna z tych kompanji zająć miała wąwóz od Łazienek, druga przeznaczone miała stanowisko przy Wiejskiej Kawie, trzecia od Solca, czwarta od rogatek Czerniakowskich. Miał on wraz ze szkołą podchorążych połączyć się z kompanją strzelców w wąwozie i posłać do kawalerji rosyjskiej z wezwaniem o złożenie broni, a gdyby nie usłuchała — rozbroić ją... Zaliwski miał z jednym bataljonem pułku 4 piechoty linjowej, jak również z kompanjami wyborczemi pułku 5 i 8 działać przy arsenałach i opanować go.

Urbański z kompanjami wyborczemi, które konsystowały w koszarach Aleksandryjskich i z pułkiem grenadierów gwardji, prócz kompanji wyborczej 1 pułku piechoty linjowej, która przeznaczoną była do opanowania prochów na Pradze, miał działać w koszarach wspomnianych, mianowicie wezwać pułki gwardji litewskiej do złożenia broni. Do pułku gwardji wołyńskiej przeznaczony był bataljon saperów. Kompanje wyborcze 6 pułku piechoty miały stać w rezerwie...

Tu nastąpiła przerwa, a na usta wszystkich cisnęło się zapytanie:

— A Belweder?... Kto uderzy na główną siedzibę wroga i co zrobić z wielkim księciem?...

Padło wreszcie to zapytanie z ust Nabelaka, a Zaliwski odrzekł:

— Podchorążowie będą mieć najbliżej...

Lecz przerwał mu gwałtownie Wysocki:

— Nie... nie... wojsko nie powinno uderzać na swego naczelnego wodza... Wpłynęłoby to źle na nie

i mogłoby popsuć całą sprawę, gdyż niejednemu z żołnierzy zadrażałaby przy tem ręka...

— Pan podporucznik Wysocki ma zupełną słuszość, — przerwał mu spokojnym głosem Nabelak: to nie sprawa wojska rozprawiania się z naczelnym wodzem... To rzecz nasza, cywilnych, i dlatego proszę, ażeby funkcję tę powierzono mnie i przyjaciółom moim... Dajcie nam tylko broń...

— Tak... tak... tak będzie najlepiej, — gorączkowo zawołał Wysocki: zwłaszcza, że będzie to oznaką, że nie tylko wojsko walczy z tyranami, lecz i lud cywilny...

I w porywie wdzięczności, że wnioskiem swym wybawiał Nabelak wojsko z przykrej, trudnej sytuacji, rzucił mu się na szyję i uściśnął serdecznie...

— Dobrze zatem, — rzekł Zaliwski, kreśląc szybko tę zmianę w planie działania: cywilni z panem Nabelakiem otrzymają broń z Podchorążówki, i uderzą na Belweder... Lecz co uczynić z Konstantym po wzięciu go do niewoli?

— Zabić go, — padły dwa głosy: zabić tyrana!...

— Nie — zawołał żywo Wysocki: zabicie nie doprowadzi do celu... Krew ta nie przyniosłaby nam pożytku, a raczej szkodę, gdyż doprowadziłaby do wściekłości pułki rosyjskie i wywołałaby zaciętą walkę, której ze względu na potrzebę wzmocnienia sił naszych, na skupienie przy nas wszystkich wojsk i całego ludu unikać należy... Proponuję, ażeby po wzięciu Konstantego do niewoli, zaprowadzić go do arsenału, lub innego pewnego miejsca i tam trzymać... Mając go w ręku, jako zakładnika, z łatwością skłonić go zdolamy do wstawienia się do cara, ażeby w całej pełni szanował konstytucję i zniósł wszystkie nadużycia, o co głównie przecież walkę toczyć będziemy...

I choć Urbański i Borkiewicz powtarzali uparczywie:

— Zabić tyrana! — pozostali z projektem Wysokiego zgodzili się, uznając go za przewidujący i słuszny...

— A teraz rola panów cywilnych, — ciągnął dalej Zaliwski, gdy skończono z tą sprawą: więc pan Nabelak z Trzaskowskim i dobranymi towarzyszami uderzają na Belweder, panowie zaś Bronikowski i Mochnacki, który ma wśród ludu wielki posłuch, obwieszczają ludowi o rozpoczętej rewolucji i wzywają go do wzięcia w niej udziału, poczem prowadzą go pod arsenał dla zaopatrzenia w broń... Lud łączy się z wojskiem i działają wspólnie pod komendą oficerów...

— A co robić z generałami, oficerami i wojskiem rosyjskiem? — padło znów zapytanie.

— Rozbroić, trzymać pod strażą i nic więcej; gdy się im broń zabierze, napewno oporu stawiać nie będą, — odrzekł Zaliwski: wogóle unikać walki i próżnego krwi rozlewu...

— A gdyby który z generałów polskich opór stawiał i nie chciał połączyć się z nami? — spytał Szlegel.

— Ależ takiego nie będzie! — zawołał z oburzeniem Bronikowski: wszyscy oni przecież są patriotami, i gdy tylko rewolucja wybuchnie, połączą się dobrowolnie z nami...

— A gdyby? — powtórzył z naciskiem zapytanie Szlegel.

— Wtedy zabić, zabić bez litości! — zawołał z płonącymi oczyma fanatyka Urbański: nie godzien nazwy Polaka ten, kto nie z nami, a przeciw nam!...

— A teraz ostatnia kwestja, — rzekł Nabelak: czas rozpoczęcia działania i znak dla wszystkich, że nadeszła pora czynu?

— Najlepiej będzie o szóstej, — rzekł Zaliwski: gdyż zmrok już panuje i w koszarach wojsk rosyjskich szykować się już będą do spoczynku, więc tem

łatwiej zmusimy ich do poddania... A sygnał... sygnał... — zamyślił się przez chwilę, wreszcie rzekł: sygnałem będzie pożar browaru Weissa na Solcu, podpalą go podchorążowie.. Luna, rozlana na niebie, najlepiej powiadomi wszystkich, że czas już działać...

— Lecz łuny tej nie będzie widać w północnej dzielnicy miasta, z powodu mgły i odległości, — zauważył Borkiewicz.

— Zatem, gdy zapłonie browar na Solcu, tu się zapali drewnianą rudę Zaleskiej na rogu Dzikiej...

Zdawało się, że już kwestje wszystkie wyczerpane zostały, gdy naraz Nabelak spytał:

— A kwestja wodza i rządu?

Pytanie to zaskoczyło wszystkich... W wirze przygotowań do decydującej rozprawy, która miała stanowić o powodzeniu rewolucji, zapomnieli o tem zupełnie... Nikt też nie mógł udzielić odpowiedzi na to zapytanie, gdy odezwał się Bronikowski:

— Nie czas już teraz myśleć i zabiegać o wodza i rząd... Przez dnie, które nas dzielą od wybuchu, porozumiem się z majorem Machnickim i uprzedzę go, ażeby był gotów do objęcia dowództwa, jak również i z Lelewelem, ażeby się zajął formowaniem rządu...

Odpowiedź ta zadowolniła wszystkich, gdy naraz Urbański wysunął nową kwestję:

— Jak wiadomo, pułkom polskim, z obawy przed wybuchem, zabrano wszystkie prawie naboje ostre... Jakżeż żołnierze walczyć będą bez naboji?... Trzeba nagwałt wydobyć je i zaopatrzyć ich w nie...

Nową tę trudność, i to bardzo poważną, rozstrzygnął odrazu Szlegel, mówiąc:

— Zajmę się tem... Całą tę sprawę przeprowadzą nasi oficerowie ze spisku, tak, że wojsko ostre naboje otrzyma w porę...

Wyczerpano wszystkie sprawy... Rozdano wszyst-

kie role bohaterom wielkiej tragedji, która za dni parę na ulicach Warszawy rozegrać się miała... Przygotowano wszystko do wzniesienia olbrzymiego pożaru, który ze stolicy rozszerzyć się miał na kraj cały...

Trzeba było tylko uprzedzić wszystkich członków wielkiego związku, wskazać im posterunki, by każdy w chwili decydującej walki na swoim znalazł się stanowisku i wypełnił wszystko, co do niego należało...

Rozeszli się spiskowcy, wyznaczając ostatnią naradę na poniedziałek, na parę godzin przed samym wybuchem, by ostatnie poczynić posunięcia i wydać rozkazy...

XXIII.

W ostatnich dniach listopada Warszawa podobną się stała do wielkiego jeziora, którego powierzchnia pozornie spokojna i gładka, kryje w głębinach moc podziemnych źródeł, bijących wartkim prądem, odświeżających wodę jego i grożących każdej chwili wzburzeniem spokojnych pozornie wód i rozlaniem ich szeroko.

Ustalenie daty wybuchu rewolucji miało być właśnie tem wzburzeniem źródeł podziemnych, które bijąc całą swą potęgą wzwyż, wstrząsnąć miały spokojem jeziora, zmącić je i spienione fale rozlać szeroko po kraju całym...

Ostatnie dwa dni spiskowcy spędzili na pracy gorączkowej, denerwującej, lecz nazewnątrż tak pozornie spokojnej, że nie zwróciła ona niczyjej uwagi, oszukać nawet zdołała baczne, wszystko zda się widzące oczy szpiegów...

Zawiadomiono śpiesznie wszystkich uczestników spisku, by byli gotowi na każde wezwanie, by czekali na sygnał i jednocześnie wskazywano im, co czynić mają...

W wojsku z oddziału do oddziału; z pułku do pułku biegł cichy parol: 29 listopad, 6 wieczór, — i przeżyły się nań postacie żołnierskie, szykowały w tajemnicy ryszunek bojowy, by nic nie zawiodło w chwili ostatniej, decydującej; młodzi oficerowie szeptem pouczali zaufanych, pewnych żołnierzy, co czynić mają, gdy znak danym będzie, i starali się zapewnić sobie największe możliwości zwycięstwa...

I nawiązywała się błyskawicznie nieomal nić porozumienia między wielogłową rzeszą spiskujących zapaleńców a niewtajemniczonym, jednak żywiącym te same uczucia szarym tłumem żołnierskim; bliskość chwili napełniała ich dziwną jakąś energją, dodawała gorączkowego blasku oczom, w których od czasu do czasu przebijał się jakby niepokój, jakby troska, czy tylko się uda, czy nie będzie ten straszliwy, krwawy wysiłek bezowocnym, czy wróg pokonany zostanie i do ustąpienia zmuszony, i czy nareszcie zabłyśnie dla umęczonego narodu promienne słońce wolności...

Oprócz tej troski gnębiła ich druga — brakło naboju ostrych, a czemże walczyć będzie żołnierz polski z dobrze uzbrojonym żołdakiem moskiewskim?

Lecz troska ta znikła w sam dzień wybuchu...

Wydelegowani przez Szlegla dwaj dzielni oficerowie, porucznik z pułku piechoty Florjan Dąbrowski i podporucznik I pułku strzelców polskich Józef Przyborowski, przybrawszy sobie do pomocy kilku zaufanych a pewnych szeregowców, zabrawszy dwa wielkie furgony, wyruszyli rankiem w poniedziałek do obozu Powązkowskiego, do baraku generała Blumera, i tam wylegitymowawszy się przed wartą rzekomym rozkazem gen. Lewickiego, rosyjskiego gubernatora Warszawy, zmienili wartę na ludzi sprawie oddanych, i spokojnie naładowali na furgony tyle naboju, ile tylko zabrać mogli...

Skończywszy tę czynność, wyruszyli spokojnie z powrotem do miasta, lecz na rogatce zatrzymała ich straż, pytając:

— Co wieziecie?...

— Nie widzicie, — odrzekł im spokojnie Dąbrowski, choć dreszcz niepokoju przebiegał mu po skórze: nowe mundury dla oddziałów naszych...

Uwierzyła straż zapewnieniom oficera, nie badała zawartości furgonów i puściła je dalej spokojnie...

Przewiezione do koszar naboje wnet rozdzielone zostały między kompanie wyborcze, rozwiezione im na przygotowanych zawczasu wózkach chłopskich, a dla Szkoły Podchorążych zabrał je bryczką sam Szlegel....

Jedna więc troska usunięta została, pozostała tylko druga, o naboje działowe, które znajdowały się w prochowni na Pradze. Tam sprawa trudniejszą była, lecz pocieszano się nadzieją, że w chwili wybuchu, gdy opanowaną zostanie prochownia, naboje te i tak wpadną w ręce zwycięzców...

A gdy nadszedł apel wieczorny o godzinie 5, przybyli nań do oddziałów, należących do spisku, oprócz oficerów służbowych i oficerowie związkowi. A gdy apel skończono, formowali z żołnierzy koło generalne, uprzedzając ich, że niedługo nastąpi alarm, lub kontrapel, że nie wolno im wychodzić z koszar, że winni być w pogotowiu... Inni znów zapowiadali patrol generalny lub inspekcję nocną przełożonych, i nakazywali, by żołnierze czuwali w ubraniu, z bronią w ręku... A że były to rzeczy zwykłe w czasach owych, niczyjego nie budziły zdziwienia...

Żołnierze spoczywali na pryczach swoich w mundurach i z bronią w ręku, lub też siedzieli zebrani w salach koszarowych w pogotowiu bojowym, czekając na znak, a między nimi krążyli oficerowie i podoficerowie związkowi, rzucając słowa zachęty, napomykając o krzywdach, podburzając, szykując grunt do

czynu, do którego porwać mieli te szare masy żołnierskie...

Wojsko było gotowe do wystąpienia i czuwało...

I cywilni również nie zasypiali sprawy...

Krążyli między ludem, rzucając ostrożnie słowa podburzające, uprzedzając i wzywając zarazem do pomsty, badając poraz ostatni grunt, czy też szary tłum, zajęty pozornie swemi drobnymi, codziennymi sprawami, da się porwać do czynu, czy wykrzesze z siebie ten zapal i ten poryw, który cuda czynić jest zdolny...

I serca ich przejmowała radość, gdyż lud Warszawy, w którym nie wygasły jeszcze tradycje Kilińskich i Sierakowskich, nie pozostał głuchym na rzucone wśród niego hasła, słuchał ich w skupieniu, zaciskał pięści i patrzył ponuro i groźnie w dal, jakby wypatrując tam wroga, na którego miał uderzyć.

Noc z soboty na niedzielę większość spiskowców cywilnych, jakby chcąc po raz ostatni zabawić się przed możliwą śmiercią w walce, albo też może chcąc odwrócić od siebie uwagę szpiegów, spędziła na balu w resursie kupieckiej...

A nazajutrz rano wszyscy prawie w kościołach warszawskich przystąpili do spowiedzi i Komunii św., ażeby przez to pojednanie z Bogiem umocnić się duchowo na wielki czyn, jakiego dokonać mieli...

Nabielak tego pobożnego aktu religijnego dopełnił u Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu, okazując przez to wielkość niebezpieczeństwa i nieograniczone poświęcenie swoje...

Mochnacki, pogrążony w gorączkowej pracy nad dziełem swoim o literaturze polskiej, które właśnie drukował, odcięty prawie od świata, ażeby nie stwarzać sobie dystrakcji, kreślił właśnie ostatni rozdział

o muzyce polskiej, gdy w dniu 29 listopada, w godzinach rannych, do drzwi pokoju jego zapukano.

— Proszę wejść! — zawołał zirytowanym głosem, zły, że mu przerywano.

Na progu stanął Goszczyński, który zamknawszy starannie drzwi za sobą, po uściśnięciu dłoni jego, rzekł krótko:

— Dziś wieczorem zaczynamy nieodmiennie...

Porwał się Mochnacki z miejsca, wpatrzył się w niego zdumiony, jakby z głębokiego snu zbudzony, przetarł dłonią czoło, i spytał:

— Co?... Dziś...

— Rewolucję... Tak, dziś wieczorem nieodmiennie, — powtórzył spokojnie Goszczyński.

W przygarbionej od pracy postaci Mochnackiego nastąpiło momentalnie przeobrażenie, — wyprostował się, z oczu jego strzeliły płomienie, na ustach wykwitł uśmiech radości. Schwytał ostatnie arkusze pracy, której tyle trudu poświęcił, w którą włożył tyle wysiłków ducha swego i przekreślając je na krzyż wielkimi pociągnięciami pióra, zawołał:

— Zostawmy to na później... A teraz natychmiast biegnę do szaserów...

I słuchając relacji Goszczyńskiego o wypadkach dni ostatnich, ubierał się spiesźnie, poczem wybiegł z Goszczyńskim na miasto, dążąc do szaserów, wśród oficerów których miał wielu przyjaciół, których spodziewał się dla sprawy pozyskać, jak i udał się również do licznych znajomych, których chciał uprzedzić o wybuchu i do czynu zachęcić...

Goszczyński, który w obawie aresztowania nie nocował w domu, wraz z Nabelakiem czynił toż samo, gromadząc tych, którzy wraz z nimi szaleńczego ataku na Belweder dokonać mieli.

A podczas gdy zarówno wojskowi, jak i cywilni czynili przygotowania do wystąpienia, w koszarach Aleksandryjskich, w mieszkaniu porucznika Borkiewicza, zebrali się o godzinie trzeciej po poł. na ostatnią naradę przywódcy spisku: Wysocki, Urbański, Zaliwski i Szlegel.

Krótkimi, urywanymi słowami zdawali sobie sprawozdanie z przygotowań...

Ostre naboje były już rozdane...

Oddziały wojskowe uprzedzone stały w pogotowiu...

Cywilni organizowali się nagwałt, by w odpowiedniej chwili wystąpić...

Podoficer 6 pułku piechoty Wiktor Tyłski, otrzymał już polecenie podpalenia browaru Weissa na Solcu...

Wszystko, wszystko było przygotowane, teraz tylko od sprawności wykonania tych zarządzeń zależało powodzenie sprawy...

Zmienili jeszcze parę drobnych poleceń, przygotowali ostatnie rozkazy, i wyszli, by udać się na stanowiska swoje...

Mocnym uściskiem dłoni pożegnali się, gdyż kto wie, czy zobaczą się jeszcze, wszak w wirze walki o śmierć nie trudno...

Wysocki dążył do siebie, wpatrzony w szare, pochmurne niebo listopadowe, zwisające nisko nad miastem, otulające je zmrokiem zapadającego wcześniej zimowego wieczoru...

Szedł, dum ciężkich pełen, pochłonięty myślami, czy powodzenie uwieńczy ich wysiłek, czy nie czeka ich w ostatecznym wyniku przegrana, i śmierć, i zagłada, i stokroć gorsza od nich — niewola.

Wtem wzrok jego padł na zachodnią stronę nie-

ba, gdzie zimowe słońce, przebiwszy mocą swoją szarą oponę chmur, zwisało nad ziemią wielką czerwoną kulą, złocącą szczyty domów promieniami swemi...

I zaraz przypomniał mu się ustęp z cudnego wiersza Mickiewicza, który stał się Ewangelią jego życia:

„Witaj jutrzeńko swobody, za tobą wolności słońce!...”

I jakby natchniony nową, przepotężną mocą i otuchą, podniósł do góry głowę i szybkim krokiem podążył do Szkoły Podchorążych, na wyznaczone mu stanowisko, by poprowadzić zastęp młodych Termopilan do czynu, do walki o wolność Ojczyzny, do zwycięstwa...